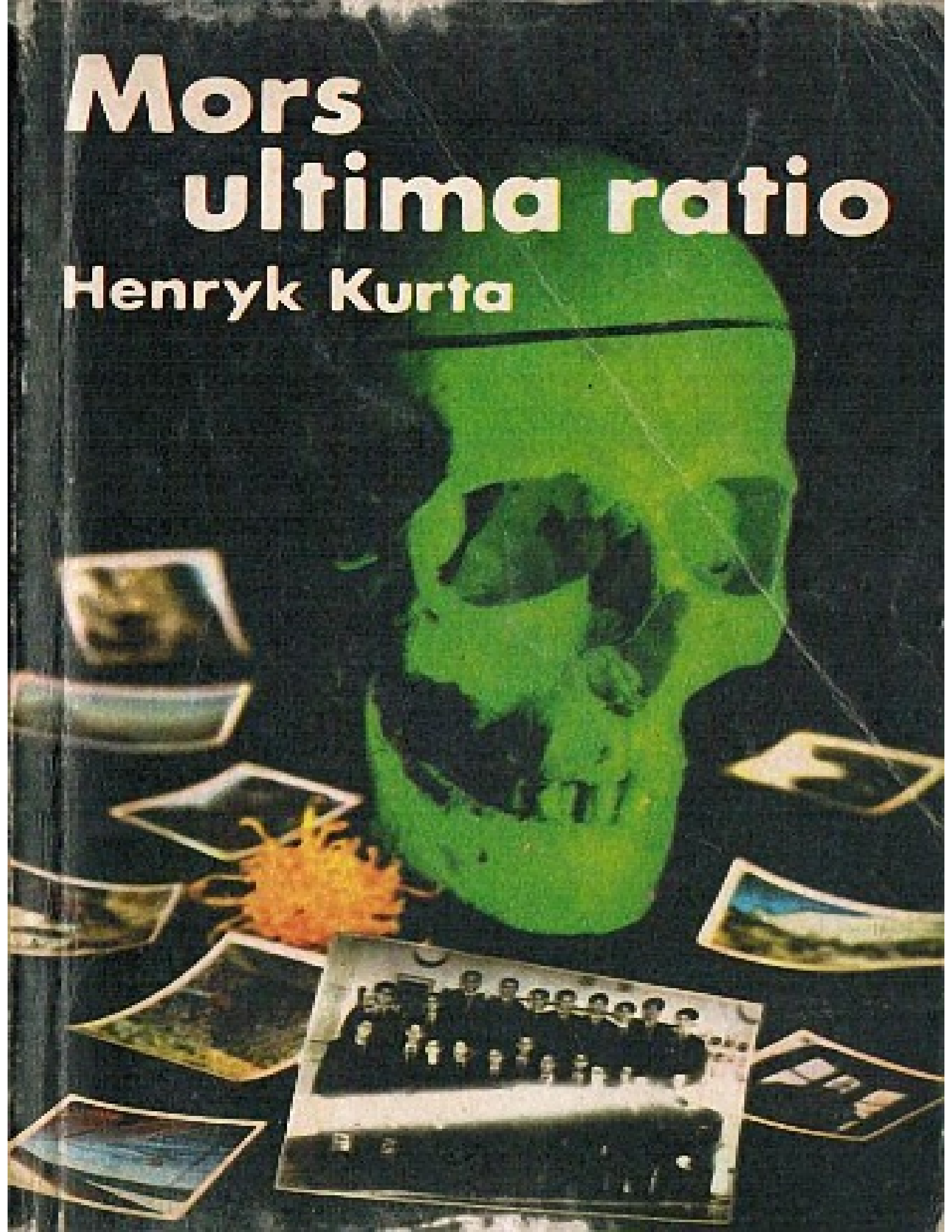


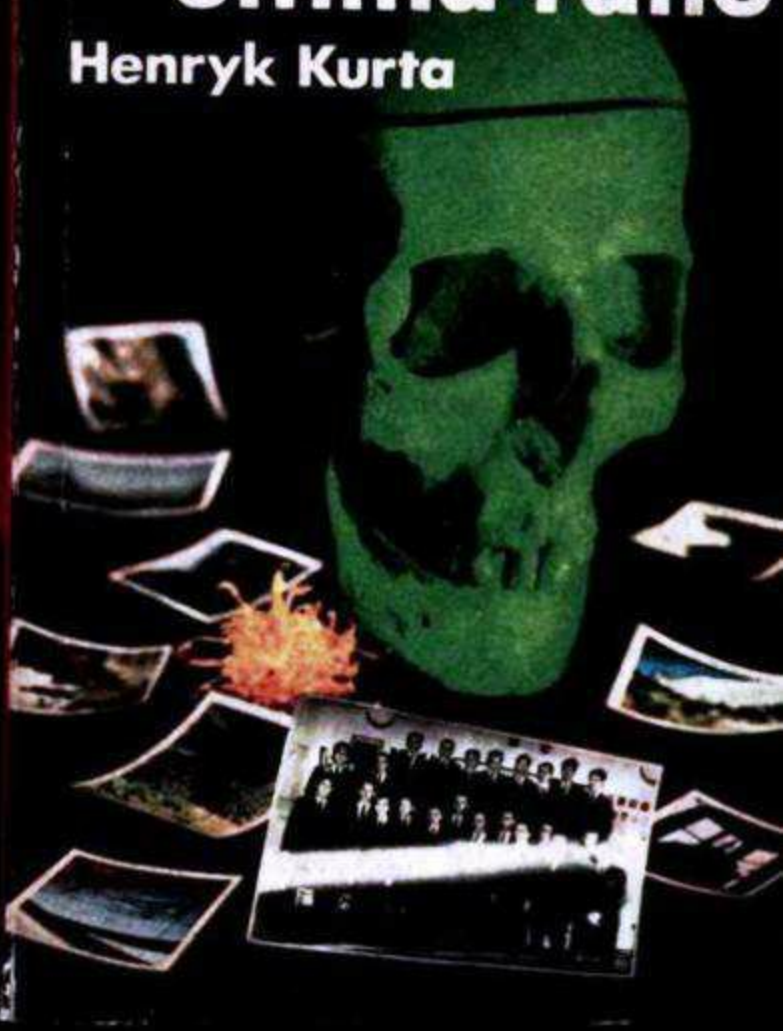
Mors ultima ratio

Henryk Kurta



Mors ultima ratio

Henryk Kurta





- Larose był żonaty? Nic mi o tym nie powiedział - przerwał policjant.
- Nic dziwnego. Żona opuściła go, gdy Paul zrobił z niego złodzieja. On to bardzo przeżył.
- Czy wiadomo gdzie Margarret przebywa obecnie? - zapytał West.
- Chyba w stolicy. Po przeprowadzeniu rozwodu wyszła ponownie za mąż - wyjaśnił Norman.
- A czy w tym albumie mogło być coś takiego na czym ktoś mogło bardzo zależeć?
- Nie rozumiem pana, poruczniku?
- Może było jakieś zdjęcie czy zdjęcia, które kogoś kompromitowały? - wyjaśnił policjant.
- Skądże znowu. Ot, po prostu zwykłe pamiątkowe fotografie z uroczystości szkolnych. Jakies bale, wycieczki do stolicy, grzybobranie, przedstawienia teatralne, nierozłączne pary... Przez chwilę Norman zamyslił się, co zwróciło uwagę Westa.

Mors ultima ratio

Krajowa Agencja Wydawnicza

Układ typograficzny okładki i karty tytułowej

Jan i Waldyna Fleischmannowie

Projekt typograficzny serii

Teresa Cichowicz-Porada

Redaktor

Bożena Rytel

Redaktor techniczny

Grażyna Pielaszek

Korekta *Zespół*

© Copyright by Henryk Kurta, Warszawa 1978

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

RSW „Prasa-Książka-Ruch” Warszawa 1979 r.

Wydanie I.

Objętość: ark, wyd. 7,01, ark, druk. 5,74

Papier offset, ki. V, 70 g, rola 96 cm

Nr prod.:XII-5/1464/77

Oddano do składu dn. 23 lutego 78 r.

podpisano do druku 20 marca 1979 r.

druk ukończono w kwietniu 1979 r.

Skład, druk i oprawa:

Zakłady Graficzne

ul. Miedziana 11

Zam. 2073/k S -9 8

Cena zł 25-

Upał

ciężył nad miasteczkiem od przeszło sześciu

tygodni. Nikt takiego żaru nie pamiętał. W orędziu skierowanym do mieszkańców miasteczka w sprawie oszczędności wody, Peter E. Murphy, wielo-letni burmistrz i autor comiesięcznych kronik w miejscowej gazecie, barw-nie określił sytuację stwierdzając, że „od pierwszych dni maja zawisła nad nami ognista kula Słońca. I wszystko wskazuje na to, że wbrew utartym poglądom astronomów i innych specjalistów opłacanych z kas rządowych, ów środek naszego wszechświata postanowił się zatrzymać i odpoczywać właśnie nad naszymi głowami”. Dla wielu, słowa burmistrza stanowiły aluzję do opieszałości władz centralnych w kwestii przyznawania kredytów na rzecz modernizacji sieci kanalizacyjnej i wodociągowej. Aluzje aluzjami, ale w wyniku zarządzenia władz miejskich, od miesiąca nie wolno było używać wody bieżącej ani do mycia samochodów, ani do zraszania chodników i ulic przed ich zamiataniem. Pojawienie się względnie czystego auta na ulicach miasteczka stanowiło więc pewną sensację towarzyską i oznaczało niemal ze stuprocentową pewnością, że do jedyne go miejscowego motelu trafił gość z innego świata.

Henry West, takie bowiem nazwisko wpisał on do księgi gości motelu, 3

został natychmiast rozszyfrowany przez stałych bywalców baru „Błękitny Anioł” (kierownik lokalu był kiedyś zawodowym statystą w kilku wytwór-niach filmowych, a nawet kaskaderem, o czym świadczyły złamana kość policzkowa i sztywne lewe ramię), którzy bezbłędnie odgadli, że pochodzi ze stolicy. Z doniesień prasy i radia wynikało, że upał nie był tam tak do-kuczliwy jak w miasteczku. Analiza barowych gości, opierająca się na naj-lepszych wzorach logiki formalnej wykipianej w maturalnych klasach miejscowego liceum, uwzględniła następujące elementy, czyli przesłanki: Henry West był w miasteczku osobą nieznaną, po drugie - przybył w samochodzie porządnie umyтым co najmniej trzy dni wcześniej, po trzecie - nosił ciem-nobrazowy garnitur i tegoż koloru miękki kapelusz, wreszcie - co było chyba rozstrzygające dla całokształtu analizy - tablica rejestracyjna jego wozu nosiła litery i cyfry charakterystyczne dla samochodów zarejestrowa-nych w stolicy kraju.

Po rozstrzygnięciu tej kwestii - i tu trzeba dodać, że znaczną rolę odegrał jedyny kelner, który mimo spiekoty przeszedł przez cały plac, aby odczytać tablicę rejestracyjną, za co goście postawili mu aż dwa cudownie zimne piwa - w barze rozgorzała dyskusja na temat; kim jest ów gość z dalekiej stolicy. Niemal natychmiast wytworzyły się dwa obozy. Jedni byli zdania, że w garniturze tego rodzaju może chodzić tylko komiwojażer. Co prawda, przeciw takiemu wnioskowi przemawiał fakt, że pan West nie nosi ani teczki, ani walizeczki, ale ponieważ dopiero co przyjechał, mógł zostawić narzędzia pracy w motelu albo w bagażniku. Przedstawiciele drugiego obozu skłaniali się ku koncepcji, iż przybysz jest agentem ubezpieczenio-wym, a to dlatego, że przy tym upale zwiększyło

się dość znacznie prawdopodobieństwo pożarów. Nie mówiąc już o tym, że zbliżał się sezon wakacyjny, co, jak wiadomo, łączy się ze zwiększoną aktywnością włamywaczy.

4

Ktoś wówczas nieśmiało zasugerował, co brzmiało dość kompromisowo, że ten pan West, czy jak mu tam, mógłby być właśnie przedstawicielem biura podróży organizującego tanie wycieczki do zamorskich krajów.

Trudno orzec jak długo trwałaby dyskusja - prawdopodobnie do chwili, kiedy głód rozpędziłyby towarzystwo do ich domów, gdzie po whisky z lodem lub szklance zimnego piwa zasiadłoby do obiadu - ale faktem jest, że spór został przerwany wtargnięciem do baru przybysza, który po dotknięciu runda zapoconego kapelusza zapytał: - Czy panowie nie wiedzą, gdzie można zastać sierżanta Kennana?

Sierżant Ted Kennan, szef miejscowego posterunku policji, z reguły przebywał o tej porze w służbowym samochodzie. Jako jednak człowiek towarzyski i jednocześnie dbający o opinię dobrego stróża porządku, Ted Kennan, nie zważając na upał, regularnie okrążał gospodarstwa sąsiednich farmerów. Prawdę mówiąc, przy tej spiekocie wolał on siedzieć w wozie niż w biurze, choćby dlatego, że samochód ów miał znakomitą klimatyzację, a farmerzy częstowali go chętnie czymś chłodnym.

- Kiedy mniej więcej może wrócić z obchodu? - zapytał dość obcesowo przybysz.

- Trudno powiedzieć, proszę pana, bywa, że Teda ktoś może ugościć obiadem - odpowiedział właściciel baru, i natychmiast przeszedł do natarcia pytając czego się gość napije.

Henry West poprosił o zimne piwo i dwa sandwicze, gdyż od rana nie miał nic w ustach. Cisza, która zapanowała została przerwana nieśmiałym pytaniem kelnera:

- Czy pan jest znajomym Teda, znaczy się sierżanta Kennana?

- Nie, ale mam do niego pilny interes. Gdyby któryś z panów wiedział, 5

gdzie może teraz przebywać, byłbym mocno zobowiązany o podanie mi numeru telefonu.

Goście zaczęli się zastanawiać, gdzie sierżant Kennan mógł być o tej porze, ale ilość proponowanych wariantów była tak wielka, że Henry West machnął ręką, oświadczając, że poczeka przed posterunkiem policji. Przy-pomniawszy sobie jednak panujący upał, dodał po chwili, że pójdzie do motelu i będzie czekał na wiadomość.

- Myślę, że mogę na panów liczyć, gdyby się tu zjawił - powiedział

jeszcze przybysz.

- Oczywiście - odparł barman - ale co mamy mu dokładnie przekazać?

- zapytał sprytnie.

- Proszę powtórzyć sierżantowi Kennanowi, że w motelu czeka na niego Henry West. On już będzie wiedział o co chodzi - odpowiedział gość ze stolicy.

Po czym zamknął za sobą oszklone drzwi i, wykorzystując każdą plamę cienia, udał się w kierunku motelu. Przez dłuższą chwilę, bywalcy „Błękitnego Anioła” patrzyli na oddalającego się przybysza starając się w myślach odpowiedzieć na jedno i to samo pytanie: kim jest ten facet mający tak pilny interes do Teda Kennana. W chwili, gdy właściciel baru przeszedł zza kontuaru na środek sali i już otwierał usta, aby oznajmić wszystkim do jakiego wniosku doszedł, gwałtownie pchnięte drzwi otworzyły się szeroko i do lokalu wszedł stary Louis. Był to miejscowy emerytowany listonosz tak stary, że niektórzy twierdzili całkiem serio, że Louis pamięta czasy dyliżan-sów pocztowych. Mimo że od lat nie pracował na poczcie, nadal był znakomitym źródłem informacji, tyle tylko że niepisanych. Jako czołowy plot-karz miasteczka, był postrachem wszystkich, a szczególnie par spotykają-

cych się po kryjomu.

Nie zamykając za sobą drzwi, stary Louis, jeszcze zasapany, podniósł

rękę tak jakby chciał składać przysięgę, iż wszystko co za chwilę powie 6

jest prawdą i tylko prawdą. Dla bywalców, znak ten oznaczał, że stary ma coś ciekawego do powiedzenia. Barman zamilkł, a kelner, który wiedział z doświadczenia, że każda informacja starego Louisa musi być opłacana w naturze, zaczął nalewać piwo do wielkiego kufła z matowego szkła. Po relacji, jeśli zgromadzenie uzna wiadomość za godną rozpowszechnienia dalej, emerytowany listonosz dostanie, jak to było w zwyczaju, spory kielich jałowcówki, za którą przepadał. Dawno już stwierdzono, że Louis wy-myślał niezwykle sytuacje, aby mieć prawo do kielicha fundowanego przez byłego kaskadera. Ale tym razem wszystko wskazywało na to, że staruszek uczciwie zasłużył na poczęstunek na koszt firmy.

Stary Louis zatrzymał się przy kontuarze, wziął do ręki kufel, wypił łyk, a następnie rzucił wzrokiem na znajomych. Nikt go nie ponaglał, gdyż wiadano, że do rytuału należało teraz nabicie i zapalenie małej fajeczki z kukurydzianej kolby. Dopiero po wypuszczeniu pierwszego kłębu niezwykle ostro pachnącego dymu, stary Louis zaczął mówić:

- Oczom nie wierzyłem, ale co fakt, to fakt. Szedłem więc uliczką biegnącą na tyłach cmentarza. Pewnie, że nadkładałem drogi, aby dojść tutaj, ale za to tamtędy chłodniej w cieniu drzew i starego muru. Idę sobie spokojnie i nagle zgadnijcie co zobaczyłem przy starym hydrancie?

Zanim emerytowany listonosz odpowiedział na to retoryczne pytanie, pociągnął z kufła długi łyk, a następnie wytarł pianę z górnej wargi:

- Otóż przy hydrancie stał, jak gdyby nigdy nic, Leo Norman i mył

swój samochód. Muszę powiedzieć, że już wiele w życiu widziałem, ale to mnie zatkało.

Słowa starego Louisa wywarły wrażenie na obecnych, którzy głośno zaczęli komentować przyniesioną wiadomość. Ktoś zapytał, jaki wóz 7

Norman mył - jego prywatny czy karawan. Leo Norman był bowiem wła-

ścicielem jedyne w miasteczku zakładu pogrzebowego i w godzinach pracy używał wielkiego czarnego pojazdu dobrze wszystkim znanego. Gdy narrator i świadek w jednej osobie tego, co się wydarzyło przy cementarnym hydrancie potwierdził, że chodziło o karawan, kelner zauważył rozsądnie, że Norman wybrał właściwe miejsce do mycia swego smętnego wozu. Na to któryś z gości przypomniał, że choć rozumie, iż karawan musi odpowiednio wyglądać, to jednak w miasteczku nadal obowiązuje zarządzenie burmistrza w sprawie oszczędności wody.

- A może Leo uzyskał zgodę Murphy'ego? - wtrącił właściciel baru, co zostało uznane przez obecnych za wyraz jego solidarności z Leo Normanem, który jak on, należał do tej samej warstwy społecznej. Zanim ktokolwiek podjął kwestię, przypomniał fakt, który w pewnym stopniu usprawiedliwiał ewentualne wykroczenie Normana. W końcu udało się ściągnąć ekipę fachowców, którzy naprawili nieszczelne rury i teraz woda lepiej leci.

Słowa te spowodowały, że przestano się interesować wydarzeniem związanym z myciem karawanu. Rozmyślano teraz nad sprytem burmistrza, któremu udało się jednak wykukać pomoc ze stolicy. Kilka dni temu przybyła specjalna ekipa wyposażona w należyty sprzęt. Szybko uporała się z niesprawnymi węzłami w sieci rurociągowej, a przy okazji, skoro wszystkie rury i kable znajdują się w jednych przewodach, przeprowadziła przegląd sieci telefonicznej oraz gazociągu. Największy podziw budził u wszystkich specjalnie wytresowany pies (spory i jak gdyby senny alzacyk), wędchem bezbłędnie odnajdujący miejsca, z których ulatniał się gaz. Ekipa pracowała w nocy, między innymi z powodu panujących upałów, ale sporo było ludzi śledzących z zainteresowaniem pracę owego psa. Jeden z gości opowiedział, że z powodu psa oberwało się porządnie jego najstarszemu synowi, 8

gdyż myślano w domu, że on to właśnie wyłączył w piwnicy gaz, a żona nie mogła w nocy naparzyć ziółek. Chłopak lubił przeprowadzać w warsztaciku w piwnicy różne doświadczenia i podejrzewano, że znowu coś zmajstrował.

Dopiero na drugi dzień okazało się, że w czasie uszczelniania rur wyłączono na kilka godzin gaz w całym miasteczku.

- Z babami, to zawsze tak jest - nigdy nie rozumieją chłopca, i to niezależnie od jego wieku. - oświadczył sentencjonalnie stary Louis, który w ten sposób przypomniał o sobie, delikatnie dając do zrozumienia, że należ-

ny mu kieliszek jałowcówki zbyt długo na siebie czekać.

Po przyzwalającym geście właściciela baru, kelner spełnił pośrednio wyrażone życzenie listonosza. Zza kontuaru przytaknął ruchem głowy jednemu z gości, który wychwalał „Błękitnego Anioła” za to, że do tego lokalu kobiety nie mają właściwie prawa wstępu. Nawet wówczas, gdy wyruszają one na poszukiwanie mężów, którzy nie wrócili do domów zaraz po zainkasowaniu tygodniówki. Być może sytuacja ta uległaby zmianie, gdyby go-

ściom obsługiwała kelnerka zamiast starego kelnera.

Wejście nowego gościa przerwało dyskusję o zaletach lokalu i uciążliwości zbyt obcesowych żon. Wszyscy obecni przywitani się z Tedem Kennanem, który w nieskazitelnym mundurze i bez jednego pyłka kurzu na czubkach lśniących niemal jak lakierki butów, wrócił właśnie z codziennego obchodu. Policjant przysiadł się do stołu, przy którym siedział obecnie właściciel baru i został bez żadnych słów poczęstowany ulubionym jego napojem - whisky z lodem i coca-colą.

- Ale dzień, chłopcy. Gdyby nie klimatyzacja wróciłbym ugotowany na twardo - rzekł Kennan po wypiciu szklanki jednym długim haustem. -

Chwała Bogu, że mieszkają tu sami porządni i spokojni ludzie - podjął

9

dalej sierżant, wycierając kraciastą chustą pot, który nagle zaczął spływać mu z czoła i karku. Jego organizm zawsze tak reagował na wypitą szklankę lodowatej coca-coli z whisky. Obecni patrzyli na niego w milczeniu, czekając na codzienną porcję najnowszych informacji z życia sąsiednich farmerów.

- Miałem trochę kłopotów ze starą Jenny - dodał po chwili Kennan. -

Znowu strzelała z dubeltówki do kłusownika. Tym razem okazał się nim być jakiś komiwojażer, który skradł się po cichu pragnąc oszołomić ją cudownie błyszczącymi garnkami aluminiowymi. Całe szczęście, że nie trafi-

ła, ale facet był na tyle sprytny, że zaczął ją straszyć i, przy moim aprobują-

cym milczeniu, udało mu się sprzedać komplet rondli, które z pewnością nie są starszce potrzebne. Ona kiedyś sprowadzi jakieś nieszczęście tą pukawką.

Opowieść o sprytnym komiwojażerze, któremu udało się wykorzystać sytuację dla swych handlowych celów skojarzyła się barmanowi z niedawną wizytą gościa ze stolicy.

- Ted, przypomniało mi się, że czeka na ciebie w motelu jakiś facet.

Powiedział, że nazywa się West i będziesz wiedział, że to ważna sprawa.

Co to za gość? - spytał jak gdyby od niechcienia właściciel baru, który w chwilach, gdy udawał obojętną ciekawość, przypominał sobie czasy, kiedy był statystą.

- West, powiada pan? Coś mi to nazwisko mówi. Ze stolicy? Taaak, to już wiem, co to za gość - policjant wyraźnie bawił się sytuacją, w której wszyscy goście baru umierali z ciekawości. Bez pośpiechu zapalił papierosa i, również powoli, z obojętną miną, dodał: - to zwyczajny glina. No, znaczy się inspektor śledczy z komendy głównej.

Nie wiadomo było czy nonszalancja Kennana wynikała z faktu, iż dla 10

niego przybycie inspektora ze stolicy było rzeczą normalną, czy raczej chodziło mu o wywołanie takiego nastroju, aby zaczęły sypać się ze wszystkich stron pytania. Pierwszy odezwał się właściciel baru, który wła-

ściwie zinterpretował ton sierżanta.

- Co sprowadza do nas tak znakomitego gościa? Co prawda mnie to wszystko mało interesuje, ale chyba po raz pierwszy w dziejach miasteczka ktoś taki u nas się zjawia...

Zawiesił głos i rozejrzał się po obecnych czekając na dalsze głosy. Nikt jednak nie zakłócił ciszy, choć wszyscy patrzyli na policjanta spodziewając się wyczerpującej odpowiedzi.

- To co powiem musi zostać między nami. Panowie - zaczął Ted Kennan - otóż w stolicy mają wątpliwości, czy okoliczności śmierci Paula Walda zostały należycie przedstawione w moim raporcie.

- Czyżby nie wierzyli... - zaczął kelner.

- Nie wiem czy nie wierzą - przerwał mu sierżant - ale wiem, że gry-ziptórki z prokuratury generalnej proszą, abym złożył ustny raport inspekto-rowi. W telefonogramie, który otrzymałem jest również polecenie, abym temu Westowi ułatwił kontakty z ewentualnymi świadkami. Zatem muszę panów opuścić prosząc o dyskrecję.

Były to zbędne słowa, gdyż szef miejscowego posterunku policji wiedział, że za godzinę pojawienie się inspektora ze stolicy stanie się głównym tematem rozmów. Wiedział również, że swoim oświadczeniem wyprzedził

zaledwie o dobę to, co i tak było nieuniknione. Po rozmowie z pierwszym świadkiem, West stałby się ośrodkiem powszechnego zainteresowania, a wszyscy wiedzieliby, że ktoś daleko w stolicy uważa, że śmierć Paula Walda wymaga dalszych wyjaśnień. Zamykając za sobą drzwi baru, sierżant Ted Kennan wyłowił kilka niepoehlebnych uwag na temat „tych ze stolicy”, 11

którzy wszędzie węższą... Przecież w tym miasteczku nikt nikogo nie zabił

od przeszło stu lat...

Mimo że do motelu było zaledwie kilkaset metrów, sierżant Kennan wsiadł jednak do służbowego wozu. Może dlatego, że wielki napis po obu stronach karoserii czy niebieska latarnia na dachu dodawały mu powagi. A może po prostu dlatego, że skwar był nadal zbyt uciążliwy...

Po niecałej minucie samochód zatrzymał się niemal bezgłośnie przy sze-

ścianie z czerwonej cegły, w którym mieściła się recepcja i poczekalnia motelu. Wsiadając z wozu raz jeszcze Ted Kennan zastanowił się nad tym, który to mógł zrobić. W barze wszyscy zachowali się normalnie, również inni jego dzisiejsi rozmówcy nie zdradzili się niczym podejrzanym... A jednak ktoś napisał anonim do prokuratury, i to w dwa dni po pogrzebie.

Rzeczywiście, czegoś takiego tu jeszcze nie było...

Cmentarz

znajdował się w obrębie miasteczka. Kiedyś

był on extra muros, ale od czasów jego założenia, to co było przedmie-

ściem, stało się częścią składową osady. Nie znaczy to bynajmniej, że na przykład z głównego placu do bramy miejscowego nekropolis było bardzo blisko, ale również trudno byłoby rzec, iż jest daleko. Jeszcze kilka lat temu wszystkie pogrzeby odbywały się pieszo, a kondukt żałobny wyruszał z jednego z dwóch domów Bożych, aby trafić do celu najdalej w przeciągu pół godziny. Tak było do chwili, gdy właścicielem jedyne w miasteczku zakładu pogrzebowego został Leo Norman, który bez większych zabiegów zmienił tutejsze zwyczaje. Nabył on bowiem czarny karawan samochodowy oraz ośmioosobowy wóz, również czarny, w którym z łatwością zajmowali, miejsca najbliżsi zmarłego. Z chwilą, gdy trumna jak i żałobnicy udawali 12

się samochodami na cmentarz, to i reszta uczestników tych smutnych acz-kolwiek niezbędnych ceremonii doszła do wniosku, że nie ma powodu, a nawet sensu iść piechotą. Innowacja będąca dziełem Leo przyjęła się tak szybko, że dziś nikt nie pamięta, kiedy odbył się tutaj ostatni pieszy pogrzeb. Jediną wadą nowej formy pożegnania z Drogim Nieodżałowanym było to, że w drodze z cmentarza nie miano już okazji zamieniania kilku zdań ze znajomymi na temat zalet i wad bohatera uroczystości. Jedzie się do domów samochodami, początkowo wolno, dodając gazu w chwili, gdy niskie mury cmentarza znikają za pierwszym zakrętem. Jedyne karawan oraz wóz z najbliższymi wracają do miasteczka z nie zmienioną prędkością.

Pogrzeb Paula Walda odbył się w pierwszy piątek czerwca. Mimo że wybrano porę, w której słońce nie prażyło już tak dokuczliwie, to jednak upał gniótł niesamowicie. Był to chyba najgorętszy dzień tego lata...

- Czy mnie słuchasz? - zapytał sierżant Kennan, który zauważył, że przybysz ze stolicy miał minę człowieka wyraźnie znużonego.

Henry West słuchał uważnie; może to, iż nie robił żadnych notatek spowodowało, że szef miejscowego posterunku policji sądzi, że jego relacja jest niezbyt interesująca. Nie mógł przecież wiedzieć, że porucznik West miał pamięć słuchową, że po każdej rozmowie tego rodzaju zamykał się w swoim pokoju i przynosił istotne szczegóły na kartki średniej wielkości notesu, którego okładka była zawsze zielonego koloru. Gdy West trzymał w ręku taki notes, koledzy wiedzieli, że jest na tropie jakiejś tajemnicy.

- Mów dalej. Wszystko mnie interesuje. Byłeś przecież na tym pogrzebie i może miało miejsce coś, co uszło twojej uwadze. A poza tym, twoja znakomita relacja daje mi wyobrażenie o miasteczku i jego mieszkań-

cach. To też bardzo pomaga w sprawie.

- No dobra. Na czym to ja stanąłem? Aha, przypominam sobie...

Sierżant Kennan nalał Westowi i sobie zimnego piwa z puszek dopiero co wyjętych ze służbowej lodówki, w której na wyższych półkach z butelkami wody mineralnej sąsiadowały jakieś chemikalia i preparaty rzadko używane.

- Mimo że Wald nie był tu żadną osobistością, to jego pogrzeb ścią-

gnął sporo ludzi. Naliczyłem kilkanaście wozów, w tym autobus szkolny pełen młodzieży z klasy maturalnej. Wald był ich wychowawcą. Autobus jechał tuż za karawanem i samochodem burmistrza. Nie było natomiast wozu dla najbliższej rodziny. Po prostu Wald jej nie miał, przynajmniej tutaj. Wiem, że wysłano depeszę do jakiegoś dalszego krewnego, to chyba był wuj czy siostrzeniec, ale i on się nie zjawił. Może depesza nie dotarła na czas, a może i on nie czuł żadnej sympatii do zmarłego. Jak staliśmy nad grobem, ktoś z tyłu, chyba jakiś uczeń, bo głosu nie rozpoznałem, powiedział, że gdyby Wald był zamożnym człowiekiem, to i rodzina by się znalazła, i to taka, o której sam zmarły nawet nie wiedział. Tak to niestety bywa w życiu... Może to brzmić dziwnie, ale myślę sobie, że pogrzeb Walda nie przeszedł bez echa w miasteczku przede wszystkim dlatego, że nikt go tu właśnie nie lubił. Nie, trudno mówić o nienawiści, raczej o antypatii. Wiesz jak to nieraz w życiu bywa. Są ludzie, których się nie lubi, ot tak, po prostu.

I nikt właściwie nie wie dlaczego. Tak chyba było z Paulem... Ja też go dobrze znałem. Chodziłem do tej samej szkoły co on, co prawda do niższej klasy, bo byłem młodszy, ale pamiętam dobrze jego klasę. Chodzili do niej Norman, Wolsky, Larose... Wymieniam tylko tych, którzy tu zostali, bo spora grupa uciekła od nas. Do stolicy, do większych miast, a nawet do innych krajów. Była to niezwykła klasa. W miasteczku uważano, że ten rocznik składał się niemal z samych geniuszy.

14

Ted Kennan znowu wyjął puszkę piwa z lodówki i nalał sobie pełną szklankę zapominając o poruczniku, który dalej się nie odzywał.

- My, młodszy, wiedzieliśmy na przykład, że Wolsky, syn miejscowego krawca - zakład już nie istnieje, bo konfekcja zabiła dobre rzemiosło - zostanie wielkim naukowcem. Zanim zaczęto do niego mówić „profesor” - a to było jeszcze w czasach szkolnych - niektórzy nazywali go „filozofem”, bo wszystko wiedział, wszystko umiał, na wszystko znajdował sensowną lub niezwykle oryginalną odpowiedź. Nie ulegało wątpliwości, że Ernest zostanie kimś. I myślano rzeczywiście o filozofii.

Niektórych zaskoczyło, że Wolsky stał się wybitnym fizykiem, ale wiedziano, że skoro wybrał tę dziedzinę nauki, to zrobi światową karierę, co też się stało. Słyszałeś o nim, prawda, Henry?

Henry West podniósł wzrok i kiwnął głową. Oczywiście, że słyszał o Ernestie Wolskym. Nie wiedział tylko, zanim tu przyjechał, że jest chlubą miasteczka.

- Uważaliśmy również, że Wald zrobi wielką karierę, że zostanie matematykiem. I rzeczywiście został nim, ale tylko w naszej mikroskali. (Porucznik West uśmiechnął się nieznacznie, gdyż bawiły go wtrącanie przez sierżanta „mądre” słowa rodzaju *mikro*, *extra muros* czy *nekropolia*). Przez

długie lata sądzono, że Wald nad czymś pracuje, że po powrocie ze studiów w stolicy, tu w miasteczku dokona takiego odkrycia, że cały świat o nas będzie mówił. Czekaliśmy i nie doczekaliśmy się. I Paul się załamał. Nikogo nie zdziwiła za bardzo wiadomość o jego samobójstwie, tym bardziej, że od pewnego czasu coraz częściej zaglądał do butelki. I to nie w barze, co byłoby w normie, lecz u siebie w domu, w samotności. Tego ludzie nie lubią. Czy zauważyłeś, poruczniku, że nawet najgorliwsi bywalcy barów nie lubią tych, którzy piją do lustra? Gdyby takim alkoholikiem został Leo 15

Norman, to by to ludzie zrozumieli. Ich zdaniem miałby prawo do picia, gdyż kto jak kto, ale on mógł się załamać... Leo był również na pogrzebie, i to nie tylko z urzędu, jako właściciel zakładu pogrzebowego, lecz jako kolega Paula. Był trzecim z tej klasy „geniuszów”, o którym mawiano, że zrobi wielką karierę naukową. Ale nastąpiła tragedia, która zmieniła bieg jego życia...

Porucznik West jak gdyby się ożywił. Wstał z fotela i zapalił papierosa.

Po chwili usiadł i swą postawą dał do zrozumienia sierżantowi, że dalej słucha go uważnie.

- Było to tak. Na kilka miesięcy przed egzaminem dojrzałości, w czasie lekcji chemii nastąpił wybuch w laboratorium. Wald i Norman coś tam zmagistrowali i skończyło się fatalnie. Nie wiem co to dokładnie było, ale mówiło się wtedy, że jakaś podgrzana próbówka pełna jakiegoś kwasu wybuchła w chwili, gdy nad nią nachylał się Leo. Poparzyło mu pół twarzy i lewą rękę. Po powrocie ze szpitala okazało się, że stracił również lewe oko. Wina spadła na Walda, gdyż niektórzy koledzy mówili, że on namówił

Normana do tego eksperymentu. Trzeba powiedzieć, że jeśli to była prawda, to Leo zachował się po dżentelmeńsku, gdyż cały czas brał wszystko na siebie, przez co też uratował profesora chemii, który mógł mieć poważne przykrości. Osobiście wydaje mi się, że Wald nie mógł namówić Normana do tego głupiego i tragicznego w skutkach doświadczenia, gdyż wiadomo, że Leo był lepszym chemikiem od Paula... Gdy Norman wrócił do miasteczka było już dawno po maturze. Oszpecony młody człowiek miał silne kompleksy, nie chciał się pokazać publicznie. Nie zdał więc matury i, siłą rzeczy, nie rozpoczął studiów. Zaczął wegetować, choć znalazł pracę jako pomocnik u aptekarza. Działo się to jeszcze wtedy, gdy starsi farmerzy mieli więcej zaufania do odręcznie przygotowanych syropów czy maści niż 16

do gotowych produktów. Aptekarz powiedział później, że Leo zachowywał

się na zapleczu tak jakby się bał retort i moździerzy... Wtedy przyszła mu z pomocą Maud Murphy. Była ona córką burmistrza i koleżanką szkolną Normana. Chodziła do tej samej klasy. Wszyscy się w niej kochali, i to nie dlatego że była najlepszą partią w miasteczku. Była naprawdę piękna...

- W jaki sposób pomogła Normanowi? - przerwał porucznik West w obawie, że Kenann popadnie znowu w liryczny, mało rzeczowy nastrój.

- Myślała jak wszyscy tutaj, że Leo pragnie stąd wyjechać i zacząć nowe życie tam, gdzie nikt nie okazywałby mu współczucia, choćby dlatego, że w nowym miejscu nie wiedzieliby, że kiedyś Leo był całkiem przy-stojnym chłopcem. Poprosiła więc ojca, aby udzielił mu pożyczki, którą Norman

zwróciłby po kilku latach. Stary Murphy zgodził się chętnie, mimo że miał węża nie tylko w kieszeni, ile w kasie pancernej, bowiem życzenia córki były dla niego najwyższym nakazem. Norman dostał więc sporą po-

życzkę i już miał wyjechać, gdy zmarło się właścicielowi zakładu pogrzebowego. Nic nie mówiąc nikomu i wykorzystując gotówkę otrzymaną od Murphy'ego, Leo kupił zakład. Pamiętam jak ta jego decyzja zaskoczyła wszystkich. A on, z właściwym sobie wisielczym poczuciem humoru, odpowiadał niezmiennie, że z jego gębą, taki fach jest wymarzony. Dziś wszyscy przyzwyczaili się do tego, że Leo prowadzi ten zakład, a bywa już tak, że niektórzy mówiąc o kimś, kto umarł, powiadają, że „poszedł na jednego do Normana”. Musisz wiedzieć, że poprzedni właściciel zakładu był również cichym akcjonariuszem bardzo ograniczonej spółki, jaką był ówczesny bar...

- A co się stało z Maud Murphy?

- Umarła kilka lat temu. To była przykra sprawa. Wiem tylko tyle, że zmarła w trakcie porodu czy zaraz po nim. Ale o tym najlepiej porozmawiać 17

z samym Murphym. On chętnie lubi opowiadać o Maud, a poza tym była ona żoną Paula Walda, więc będziesz musiał na jej temat rozmawiać jak gdyby służbowo - zakończył sierżant.

- A co wiesz o jej ślubie z Paulem Waldem - powiedział z naciskiem porucznik West.

- Tyle tylko, że w dniu ślubu musiałem założyć galowy mundur, bo mnie o to poprosił burmistrz. Chciał, żeby wszystko było jak najbardziej podniosłe. On to robił dla córki, bo chyba nie lubił zięcia. Naprawdę nic więcej na ten temat nie mogę powiedzieć... To było dość dawno... - ostatnie zdanie sierżant wypowiedział takim tonem, jakby chciał usprawiedliwić się przed porucznikiem, a jednocześnie dać mu do zrozumienia, że w jego sytuacji trudno mu coś więcej powiedzieć.

- Tak, porozmawiam z panem Murphym. Ale możesz mi chyba powiedzieć, jakim cudem Murphy znalazł się na pogrzebie Walda, skoro ich stosunki nie układały się najlepiej? - zapytał West.

- W pierwszej chwili, to my również byliśmy zaskoczeni. Niektórzy myśleli nawet, że dojdzie do jakiejś dra... do incydentu. Może dlatego tyle osób przybyło. Dopiero później zrozumiałem, że Murphy musiał przyjść, gdyż od lat pełnił funkcję prezesa rady opiekuńczej szkoły, która żyje czę-

ściowo z funduszków publicznych, a częściowo z pomocy miejscowych notabli, którzy z reguły byli kiedyś jej uczniami. Stary Murphy jest upartym człowiekiem, na dobre i na złe. Skoro jest prezesem rady musiał w jej imieniu pożegnać byłego nauczyciela szkoły. Nawet jeśli nim był Paul Wald.

- Rozumiem - odparł West. - A jak się wywiązał ze swego obowiązku? - zapytał jeszcze.

- Tak się złożyło, że jak szliśmy aleją prowadzącą do świeżo wykopanego grobu, znalazłem się tuż za burmistrzem. Przechodząc obok grobu córki - jest to prosta płyta z czarnego marmuru, na której wyryto jedynie 18

jej imię i imię dziecka, które na świat przyszło nieżywe - stary Murphy przystanął na krótką chwilę. Ci, którzy szli za nim uczynili to samo, bo wiedzieli, że Murphy zawsze tak postępuje, gdy jest na

cmentarzu. Jak już mówiłem, poruczniku, ja znalazłem się tuż za nim. Nie wiem, czy to, co powiem, ma jakiegokolwiek znaczenie, ale skoro musisz wszystko wiedzieć, postaram się być dokładny.

- Mów wszystko Ted, bo rzecz, która twoim zdaniem nie ma większego znaczenia może okazać się istotna. Jako człowiekowi z zewnątrz, a zatem bezstronnemu, łatwiej mi jest wyłapać ewentualne anomalie w postę-

powaniu twoich podopiecznych. W końcu ktoś napisał stąd dwa anonimy, twierdząc, że Wald nie popełnił samobójstwa - przypomniał przedstawiciel stołecznej policji.

- Masz rację - zgodził się Kennan bez dalszych komentarzy. - Otóż gdy tak stałem za Murphym zauważyłem, że po chwili skupienia nad grobem córki i niedoszęłego wnuka - czy mówiłem o tym, że nie ma ich nazwiska, lecz tylko imiona? - skierował powoli wzrok w kierunku, w którym szedł orszak żałobny, tak jakby chciał pokazać córce dokąd wszyscy idzie-my. I wydaje mi się, że stary Murphy uśmiechał się wówczas, ale tak jak się uśmiecha, gdy udaje mu się dobry bluff w pokerze. Ale może tylko tak mi się zdawało. Może był to po prostu uśmiech goryczy, że młodszy od niego ludzie opuścili ten padół przed nim...

- Możliwe - zgodził się bezbarwnym głosem West.

- Tym bardziej, że to co mówił nad grobem Walda było właśnie w tym duchu. Niektórzy sądzili, że padną z jego ust jakieś przykre słowa pod adresem zmarłego - Murphy nigdy się z nikim nie liczył...

- Z wyjątkiem córki - wpadł mu w słowa West.

- Tak, z wyjątkiem córki. No i może Artura Kenta. On ma wyraźną słabość do byłego wychowawcy jej klasy. Myślę przy tym, że w tym 19

przypadku Murphy liczy się z ogólną opinią miasteczka, która traktuje Kenta trochę jak swego proroka. Czy wiesz, że ten sędziwy starzec był kiedyś jego kontrkandydatem w wyborach municypalnych?

Na wspomnienie o tej sprawie Kennan wyraźnie się ożywił.

- To było chyba z dziesięć lat temu. Grupa mieszkańców mająca dość absolutnej władzy Murphy'ego wysunęła kandydaturę Kenta na burmistrza.

Początkowo wszystko wyglądało na żart, ale z biegiem czasu okazało się, że przekorna inicjatywa, którą popierali między innymi Paul Wald oraz niektórzy farmerzy, zadłużeni po uszy u Murphy'ego - nieraz mieliśmy tu powtarzające się suche lata, ale nie takie jak obecne - przyniosła rezultaty.

Miasteczko podzieliło się na dwa obozy, dochodziło nawet do bójek w czasie zebrań. Wówczas to Kent, dla dobra i spokoju jego mieszkańców, wycofał swoją kandydaturę. No i siłą rzeczy wygrał Murphy. Nigdy nie zapomniiał tego gestu starego nauczyciela.

- Artur Kent był również na pogrzebie? - spytał zdawkowo porucznik dając w ten sposób Kennanowi możliwość powrotu do przerwanej wątku.

- Oczywiście, i również zabrał głos. Na sam koniec, kiedy niektórzy myśleli, że jest już po uroczystości. Nawet grabarze...

- Bardzo cię przepraszam, ale czy mógłbym mieć dwie prośby - przerwał mu znów porucznik West.

- Oczywiście, poruczniku.

- Po pierwsze, czy mógłbym dostać jeszcze trochę piwa, a po drugie, trzymaj się chronologii. Może ona nie mieć żadnego znaczenia, ale w takich sprawach dokładność i porządek w relacji mogą mieć pewien wpływ na ostateczne wnioski.

- Już będę mówił po kolei - powiedział z uśmiechem sierżant Kennan, 20

nalewając swemu gościowi piwo tak zimne, że szklanka pokryła się natychmiast rosą. Sobie nalał z płaskiej butelki wyjętej z szuflady porządny łyk whisky do szklanki lodowatej coca-coli.

- Mówiłem już, że mowa Murphy'ego miała charakter zdawkowy. Ci, którzy przyszli w nadziei, że mogą paść nieprzyzwoite słowa wobec zmar-

łego zawiedli się. Burmistrz mówił spokojnie o dziwnym losie pokolenia, które żegna się ze światem przed swoim czasem. Była to chyba jedyna aluzja do jego własnej tragedii, bo z całą pewnością Murphy myślał o Maud... Chociaż nic nie wiadomo, bo mowę swoją burmistrz miał napisaną na trzech kartkach papieru z nadrukowanym herbem miasteczka. Przez cały czas nie podniósł wzroku, nie patrzył na nikogo ani nawet na trumnę. Czytał

tak cicho, jakby mówił do owych kartek. Gdy skończył, głos zabrał Jo Warren...

- To ten chłopiec, o którym mowa w raporcie?

- Tak. On. Przemawiał w imieniu klasy maturalnej. Nie dlatego, że był

tym, który pierwszy zetknął się ze zwłokami Walda, lecz przede wszystkim dlatego, że uchodził za ulubieńca zmarłego. Jo jest ponoć piekielnie zdolnym matematykiem, a Wald miał do niego słabość z tego powodu. To dlatego klasa oddelegowała go wtedy, gdy Wald tak się spóźnił...

- Tak, wiem o tym, czytałem w raporcie.

- No właśnie. Więc po Warrenie nastąpiła pewna przerwa, czekano na kolejne wystąpienie kogoś z grona pedagogicznego...

- Albo z tak zwanego grona przyjaciół - wtrącił się West.

- Nie, na to nie liczone, gdyż wiadomo było, że Wald właściwie nie miał przyjaciół. Z wyjątkiem Wolsky'ego, ale jego wtedy nie było. Gazety podały, że przebywał za granicą z delegacją, która towarzyszyła premierowi w czasie jego podróży po kilku krajach. Ernest Wolsky, to już dziś nie 21

tylko sława miasteczka, ale także i całego kraju, a nawet świata - dodał

sierżant z takim naciskiem jakby sądził, że porucznik nigdy nie słyszał o Wolskim.

- Pisałeś w swoim raporcie, że Wald nie miał żadnych wrogów, że nikt nie był zainteresowany jego śmiercią - przerwał mu porucznik.

- I nadal to podtrzymuję. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że Paul Wald popełnił samobójstwo. Można byłoby myśleć, że był to nieszczęśliwy wypadek, gdyby nie to, że Wald pożegnał się z życiem w dniu swych urodzin - kończył właśnie czterdzieści lat - i zostawił na widocznym miejscu swą ostatnią wolę.

- Ale przyznasz, sierżancie, że jak na mężczyznę Wald wybrał dziwny sposób rozstania się z życiem. Tym bardziej, że znaleźliście u niego rewolwer, który choć stary, mógłby zupełnie jeszcze dobrze służyć.

- To prawda, uważa się w szkołach policyjnych, że mężczyźni rzadko używają gazu, ale jak pamiętasz uczą nas tam również, że gaz bywa stosowany najczęściej przez nieśmiałych samobójców, albo przez tych, którzy to czynią raczej na pokaz licząc na uratowanie w ostatniej chwili.

- Racja - zgodził się Henry West i zaraz dodał: - To znaczy sierżancie, że Wald liczył na ratunek. Ale zanim do tego by doszło, całe miasteczko wiedziałyby o treści testamentu?

- Tak właśnie myślę. Chyba jemu o to szło. Pragnął, aby od chwili, gdy targnął się na własne życie, ludzie zaczęli inaczej go oceniać. I przebaczyli mu to, co było do przebaczenia. Weźmy na przykład sprawę Larose'a.

Testament stawiał ich stosunki na zupełnie nowej płaszczyźnie. Wald przyznawał się w nim do popełnienia niegodziwości, która mu zatrzymała życie. Po uratowaniu go mógłby wyciągnąć rękę do Phila...

- A czy Phil Larose był na pogrzebie?

22

- Tak. To nawet nie zaskoczyło tych, którzy wiedzieli o ich długoletniej niechęci do siebie, gdyż uważano, że Larose przyszedł za namową starego Kenta. Kent w takich chwilach przypominał sobie, jak kiedyś był

dobrze zapowiadającym się duchownym i przekonywał ludzi, że przebaczenie jest immanentną cechą człowieczeństwa.

Porucznik West nie mógł powstrzymać się od uśmiechu na słowo „im-manentne” w ustach Kennana. Zaraz jednak przybrał urzędową minę i zapytał:

- Czy Larose wiedział już w czasie pogrzebu o treści testamentu?

- Nie. Co do tego jestem przekonany, gdyż testament znajdował się tu, w tym sejfie, a został otwarty dopiero na drugi dzień - odpowiedział sier-

żant.

- Ale był w zwykłej kopercie i każdy mógł do niego zajrzeć zanim trafił do rąk policji - nalegał gość ze stolicy.

- Trzeba by zakładać, że ktoś był u Walda w godzinach, które poprzedziły odkrycie jego śmierci - odparł sucho sierżant.

- Rozumiem - uciał krótko porucznik. Po chwili wstał, przeciągnął się, założył marynarkę i kapelusz. Podając rękę Kennanowi powiedział:

- Na dziś chyba starczy. Poszperam po mieście, porozmawiam z ludźmi. A ty się postaraj o próbki ze wszystkich dostępnych maszyn do pisania. Chodzi o stary typ, tak mi powiedziano w laboratorium, prawdopodobnie „remington” z lat trzydziestych. To zawęży pole działania. Jak trafimy na maszynę - łatwiej będzie o autora anonimów, a wtedy będziemy mogli zamknąć sprawę.

Gdy porucznik Henry West opuszczał gabinet Teda Kennana, sierżant nie wiedział, czy udało mu się przekonać gościa ze stolicy, że Wald rzeczywiście popełnił samobójstwo. Co prawda, ostatnie słowa porucznika mogły przemawiać za tym, że i on też tak sądzi.

Peter E. Murphy

wyglądał mniej więcej tak jak go sobie wy-

obrażał porucznik West. Średniego wzrostu, barczysty, o twarzy człowieka spokojnego i pewnego siebie, o siwej gęstej czuprynie. Nawet popielaty garnitur, który miał na sobie odpowiadał temu, co policjant sądził o burmi-strzu miasteczka. West zjawił się w gmachu nowego ratusza nie zapowiadając swej wizyty. Liczył na to, że zastanie burmistrza w swoim gabinecie.

Okazało się jednak, że pierwszy obywatel miasteczka miał kilka pilnych spraw do załatwienia w domu towarowym, którego był, jeśli nie właścicielem, to z całą pewnością głównym udziałowcem. Zaraz po przybyciu porucznika, sekretarz burmistrza zadzwonił do dyrektora „Bazaru”, aby po-wiadomił szefa o przybyciu gościa ze stolicy. Po chwili zatelefonowano do sekretariatu z wiadomością, że pan Murphy „zjawi się natychmiast, kiedy będzie to możliwe, najdalej za godzinę”.

Minął już dobry kwadrans od chwili, gdy West został wprowadzony do salonu z klimatyzacją. Podano mu zimne napoje na stolik, gdzie stała szka-tułka z papierosami i cygaretkami. Leżał tam także ostatni numer miejscowej gazety. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Petera E. Murphy'ego w towarzystwie olbrzyma o jasnych włosach i nieco ciemniejszej brodzie. Z

podpisu West dowiedział się, iż burmistrz miasta składał gratulacje Erne-stowi Wolsky'emu z okazji otrzymania kilka miesięcy temu kolejnej po-ważnej nagrody międzynarodowej. „A zatem tak wygląda sławny „Profesor” - pomyślał sobie porucznik. - Bardziej przypomina trapera czy poszu-kiwacza złota niż światowej sławy uczonego. Ot, siła stereotypów”.

Drzwi salonu-poczekalni otworzyły się, ale mężczyzna który szedł w kierunku Westa z wyciągniętą dłonią nie był tym, na którego czekał porucznik.

24

- Przepraszam, że pan tak długo czeka, ale pan Murphy ma jeszcze kilka pilnych spraw do załatwienia. Poprosił mnie, abym pana zabawił, a następnie udamy się razem na obiad do domu burmistrza. O, przepraszam pana, nie przedstawiłem się jeszcze - jestem André Leroy i pełnię funkcję prywatnego sekretarza Murphy'ego, a jednocześnie utrzymuję kontakt z opinią publiczną. Poza tym redaguję miejscową gazetę - pokazał na rozło-

żoną płachtę papieru - z którą, jak widzę, pan już się zapoznał, panie...

- West, Henry West. Zostałem tu oddelegowany przez prokuraturę sto-

lęczną w związku z pewnymi niejasnymi okolicznościami dotyczącymi śmierci Paula Walda.

- Wiem. Tutaj błyskawicznie wie się wszystko - zaśmiał się Leroy odpowiadając w ten sposób na zdziwioną minę Westa. - Nie, nie jest to nie-zdrowa ciekawość, tym bardziej, że nikt w mieście nie wierzy w anonimy ani w to, że Wald mógłby zostać zamordowany.

André Leroy przystanął chwilę przy stoliku, na którym znajdowało się kilka aparatów telefonicznych:

- Napije się pan kawy, mrożonej oczywiście?

Podniósł słuchawkę jednego z aparatów i wydał polecenie. Usiadł następnie w fotelu obok Westa.

- Dla nikogo nie ulega wątpliwości, i to najmniejszej, że Wald dobro-wolnie „poszedł na jednego do Normana”, jak to się u nas powiada. Po prostu nadeszła jego pora i sam o tym wiedział najlepiej.

- A anonimy? - spytał West licząc, że dowie się czegoś konkretnego od człowieka, który z urzędu wiedział chyba wszystko, co się działo w miasteczku.

- Tak, ten fakt nas niepokoi. Tego tutaj nie było, jeśli nie liczyć dono-sików o tym, kto z kim, kiedy i ile razy.

Do salonu trzymając w rękach tacę weszła młoda kobieta z dwoma sporych rozmiarów pucharami mrożonej kawy i metalowym syfonem z wodą 25

sodową. Leroy natychmiast przerwał swój wywód. Dopiero, gdy znowu byli sami podjął przerwany wątek:

- Widzi pan, West, nasze miasteczko leży trochę na uboczu. Żyjemy w innym tempie niż u was w stolicy. Musimy mieć policję, gdyż wszędzie istnieje taki zwyczaj, a poza tym trafiają się obcy, którzy nie zrozumieliby tego, że można obejść się bez stróżów porządku.

- Pewnie jest tu spory ruch z powodu Wolsky'ego. Jest on bądź co bądź największą waszą sławą - powiedział porucznik, aby podtrzymać konwersację.

- Rzeczywiście, Ernest jest naszą główną atrakcją turystyczną. Dwa lata temu, w czasie wizyty głowy obcego państwa, zjawił się tutaj cały orszak. Na szczęście zatrzymali się tylko kilka godzin - powiedział Leroy, który zaraz dodał: - Wolsky czuje się związany z nami. Pracuje w najlep-szych laboratoriach kraju. Ale ma tu swój dom i swoją „wieżę z kości słoniowej”. Sam chętnie przyznaje, że najpoważniejsze jego odkrycia kielkują właśnie u nas. Dopiero później znajduje potwierdzenie lub zaprzeczenie własnych teorii w czasie badań prowadzonych przez liczne zespoły naukowe pracujące pod jego kierownictwem. Często w wywiadach udzielonych prasie czy telewizji podkreśla on, że bez naszego miasteczka nie byłby tym, kim jest.

- Jak można to zrozumieć? - przerwał mu West.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Może Wolsky chce przez to powiedzieć, że atmosfera miasteczka, jego kontakty z mieszkańcami pomagają mu w skupieniu się nad istotnymi hipotezami naukowymi.

Nagle porucznikowi przyszła do głowy niesamowita myśl. Zapytał

wprost rozmówcę:

- A czy nie sądzi pan, że poważny udział w badaniach Ernesta Wolsky'ego mógł mieć Paul Wald? Był

André Leroy był początkowo tak zaskoczony pytaniem, że zaniemówił.

Po chwili wybuchnął żywiołowym śmiechem:

- Ma pan niezwykle pomysły, panie poruczniku, co wiąże się po prostu ze skrzywieniem zawodowym. Paul Wald nie miał nic wspólnego z pracami Wolsky'ego. Oni się kontaktowali ze sobą i utrzymywali nawet bardzo dobre stosunki, ale Wald nie mógł w niczym przyjść z pomocą Wolsky'emu. Jeżeli już Wolsky rozmawiał tu z kimś na temat znaczenia własnych odkryć, to chyba jedynie z Kentem. Ale to były dysputy raczej o charakterze filozoficznym. Kiedyś namawiałem nawet starego Kenta, aby coś na ten temat napisał do naszej gazety, nie zgodził się jednak uważając nie bez racji chyba, że mogłoby to zainteresować zaledwie dwóch czy trzech czytelników. Zdawałem sobie z tego sprawę, choć myślałem, że taki materiał prasowy mógłby trafić do agencji i większych pism i zrobić na-szemu pismu reklamę.

Porucznik West dał do zrozumienia, że pojmuje znaczenie pomysłu redaktora miejscowej gazety i natychmiast podjął na nowo interesującą go kwestię:

- Nie chcę być źle zrozumiany, panie Leroy, ale mam określony obowiązek wynikający z określonego zadania. Muszę wiedzieć, jeśli nie wszystko, to jak najwięcej o Paulu Waldzie. Mój raport do prokuratury generalnej powinien być w miarę kompletny. Dlatego też byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby pan zechciał, jako człowiek chyba najlepiej poinformowany o życiu miasteczka, poinformować mnie co łączyło Wolsky'ego z Waldem - powiedział stanowczo West.

- Rozumiem o co panu chodzi, poruczniku, i mam nadzieję, że pan mi wybaczy ten wybuch wesołości. Ja po prostu źle pana zrozumiałem. Myśla-

łem przez chwilę, że podejrzewa pan Wolsky'ego o zamordowanie Walda dlatego, że był dla niego konkurencją lub nawet go szantażował, ponieważ 27

światowej sławy naukowiec ukradł odkrycia prowincjonalnego nauczyciela matematyki. Przyzna pan, że byłoby to śmieszne. Nie, poruczniku, jeśli to rzeczywiście miał pan na myśli, to szedł pan fałszywym tropem.

Policjant nic nie odpowiedział. Czekał odpowiedzi na postawione pytanie.

- Zresztą - podjął dalej Leroy - ani Wolsky, ani nikt inny nie był zainteresowany śmiercią Walda. Ach, gdyby Paul zginął, przepraszam, umarł

kilka lat temu, to wtedy i ja mógłbym być skłonny do podejrzliwości, ale dziś to po prostu nie ma sensu.

- O czym pan mówi? - zapytał z wyraźnym zainteresowaniem porucznik.

- Za dużo mówię, to z kolei moje skrzywienie zawodowe - uśmiechnął

się kwaśno Leroy. - Miałem na myśli wydarzenia sprzed lat. Ale o tym więcej mogą powiedzieć zainteresowani,

- Mianowicie?

- No, na przykład sam Murphy, Norman czy Larose. Sporo wie takie Kent. Ale, jak już mówiłem, nie wierzę, żeby śmierć Walda miała inny przebieg niż to, co napisano w raporcie Kennana. Co do stosunków między Wolskym i Waldem, mogę tylko tyle powiedzieć, że byli oni przykładem trwałej sympatii, która zrodziła się na ławce szkolnej. Ernest składał częste wizyty Paulowi, zapraszał go do swojej willi. Czy pan wie, poruczniku, że Wolsky przysłał za pośrednictwem jakiejś wyspecjalizowanej firmy mię-

dzynarodowej wielki wieniec z ciętych kwiatów? A przecież przebywał

wtedy po drugiej stronie oceanu...

- A kto go zawiadomił o śmierci Walda i dacie pogrzebu? - spytał

szybko West.

- Chyba sam Murphy, ale tego nie jestem pewien, bo w dniu śmierci Walda wyjechałem na dwa dni do stolicy. Tak, to musiał być burmistrz, 23

bo liczył się bardzo z Wolskym, a ten by mu nie przebaczył, gdyby nie poinformowano go o tak ważnym wydarzeniu. Ale niech sam pan zapyta, to będzie najprostsze.

- Skoro mówimy o pogrzebie, miałbym jeszcze jedno pytanie - rzekł

policjant.

- Jestem do usług - odparł Leroy.

- Dlaczego nie było duchownego na cmentarzu?

- Sądzę, że z dwóch powodów. Po pierwsze Wald popełnił samobójstwo, a po drugie był on zagorzałym, wojującym wręcz ateistą. Na tym tle mieliśmy sporo kłopotów w szkole, gdyż często Wald nie ograniczał wykładów jedynie do spraw matematyki. - Leroy zamyślił się i po krótkiej przerwie dodał: - Ciekawe, że stary Kent lubił mimo wszystko Walda. To dziwne dla człowieka, który wierzy głęboko w Boga. Nie mówiąc o tym, że kiedyś Kent był ponoć duchownym.

West chciał zadać dalsze pytanie dotyczące osoby Artura Kenta, gdy drzwi otworzyły się dość gwałtownie, i do salonu wkroczył szybkim krokiem E. Murphy.

- Bardzo pana przepraszam za spóźnienie, ale miałem dziś ciężki dzień. Czy zje pan z nami lunch? - zapytał burmistrz swego sekretarza ostrym tonem, który mógł wywołać tylko jednoznaczny

odpowieź.

- Dziękuję za zaproszenie, ale przypomniało mi się, że mam kilka spraw do załatwienia w redakcji - odpowiedział prawie naturalnym głosem André Leroy.

- No cóż, poruczniku West, będziemy tylko we dwójkę. Może wpierw napijemy się drinka u mnie w gabinecie?

- Z przyjemnością - zgodził się policjant.

Niecałe trzy kwadranse później Peter E. Murphy i porucznik Henry West siedzieli na tylnym siedzeniu samochodu prowadzonego przez młodego człowieka o wyraźnie latynoskim wyglądzie.

29

Przez całą drogę - jechali blisko dwadzieścia minut - burmistrz opowiadał o swoim mieście z taką swadą, jakby był zawodowym przewodnikiem turystycznym.

- Wie pan, poruczniku, sporo jest przesady w tym co pisze nasza gazeta o Wolskym. Jest on wybitnym naukowcem uznawanym na świecie, ale to miasteczko nie istnieje tylko dzięki niemu, jak niektórzy chcieliby sugerować.

Porucznik West patrzył na Murphy'ego z dobrze udanym zaciekawie-niem, gdyż tak naprawdę niewiele interesowały go dzieje osady.

- W wielu podręcznikach historii - ciągnął dalej burmistrz - pisze się o nas. Kiedyś przebiegał tu ważny szlak handlowy. Stąd sprzedawano zboże do dalekich miast kraju. Dziś jesteśmy na uboczu. Pracują trzy małe zakłady kooperujące z wielkim przemysłem. Czy pan wie, poruczniku, że mieszkańcy miasteczka z trudem przejmują nowiny z wielkiego świata? Na przykład, mimo że mamy u siebie filię poważnego banku, która załatwia wszelkie płatności, to nadal czeki są rzadko stosowane. Ludzie wolą gotówkę, a w sklepach zachował się jeszcze zwyczaj regulowania rachunków raz w miesiącu.

Porucznik West zastanawiał się dlaczego Peter E. Murphy tyle mówi.

Doszedł do wniosku, że burmistrz zalewa go potokiem słów, aby nie mógł

mu zadawać pytań. Wykorzystując przerwę spowodowaną zapaleniem cienkiego cygara, West zapytał:

- Co pan sądzi o Arturze Kencie? Mam się z nim spotkać, a wydaje mi się, że jest on postacią złożoną, dobrze byłoby więc, gdyby człowiek tak zorientowany jak pan, powiedział mi coś na jego temat.

- Artur... Tak, to rzeczywiście ciekawa postać. Osobiście wysoko go cenię. Jest on chyba najbardziej lubianym człowiekiem w miasteczku. Zajmuje się wszystkim. Czy pan wie, że mimo podeszłego wieku jest on 30

bardzo aktywnym członkiem naszego amatorskiego zespołu teatralnego?

Gdyby był bardziej energiczny, mógłby nawet zostać burmistrzem...

- Słyszałem, że kiedyś kandydował przeciw panu?

- To prawda, ale zwyciężył rozsądek. Widzi pan, w naszych czasach burmistrzem może zostać tylko człowiek materialnie niezależny. Nie kryję, że moje kapitały są obecne prawie wszędzie w miasteczku. Mam dom towarowy, udziały w poszczególnych zakładach, a w tajemnicy mogę panu powiedzieć, że i „Błękitny Anioł” do mnie należy, choć o tym mało kto tutaj wie. Moja niezależna pozycja spowodowała, że nie znajduję się pod niczyją presją, że mogę czynić wszystko, co uważam za słuszne, dla dobra miasteczka i jego mieszkańców. I chyba wszyscy tu doceniają mnie należycie, skoro siedem razy wybrano mnie na burmistrza.

Przez otwartą bramę z kutego żelaza samochód wjechał w szeroką aleję karłowatych cyprysów. Rosło wokół jak gdyby dziko pełno kwiatów, choć widać było, że Murphy zatrudnia znakomitego ogrodnika. Tu i owdzie pracowały cicho rosiarki, co powodowało, iż mimo suszy gazon był soczysty i zielony.

- Woda pochodzi ze studni artezyjskiej - powiedział burmistrz jakby odgadując myśli Westa. Ruchem ręki zaprosił gościa do holu, w którym panował przyjemny chłód bijący z marmurowych płyt, po których Murphy i West stąpali kierując się w stronę wielkiego pokoju jadalnego.

Dania podane były na europejską modłę, ale porucznik, który nie przepadał za tą kuchnią, za sałatkami i inną zieleniną, jadł z dobrze udanym apetytem. Siedzieli sami przy dużym owalnym stole. West od razu pojął, że Murphy pragnął być z nim sam, gdyż stół był przygotowany tylko na dwie osoby, przy czym burmistrz z nikim nie rozmawiał po odprawieniu Leroy'a.

Czekał na moment, kiedy najważniejszy człowiek miasteczka zacznie

mówić na temat, który interesował go żywo. Ale czekać musiał do chwili, gdy przeszli do salonu, gdzie podano kawę, brandy i cygara.

Córka

moja, Maud Evelyne Murphy, była żoną

Walda... - burmistrz zrobił dłuższą pauzę patrząc w oczy detektywowi, który rozbierał cygaro z celofanowej koszulki - ale o tym pan wiedział, poruczniku, prawda?

West przytaknął ruchem głowy.

- I wie pan zapewne również, że jego śmierć nie wywołała mojego nadmiernego współczucia - dodał prowokująco gospodarz willi.

Porucznik uniósł brew dając do zrozumienia rozmówcy, że byłby wdzięczny za bliższe szczegóły na temat stosunków łączących teścia z zię-

ciem.

- Każdy tu panu powie, że nie lubiłem Paula. Tolerowałem go, dopóki był mężem Maud.

Znowu zapanowała cisza. Murphy wypił łyk kawy bez kofeiny. Sięgnął

po cienkie cygarko i zapalił je wielką srebrną zapalniczką. Zaciągnął się dwa czy trzy razy i, po kilku sekundach, zgasił je nerwowym ruchem w starym mózdzierzu, który zazgrzytał na kryształowym blacie niskiego stołu.

Peter E. Murphy wstał z fotela szybkim ruchem i zaczął przechadzać się po perskim dywanie, po czym stanął przed wielkim oknem francuskim wychodzącym na taras zalany słońcem.

- Był czas, kiedy nienawidziłem go. To miało miejsce zaraz po śmierci córki. Chciałem go zniszczyć. Wiedziałem o nim niemal wszystko i delectowałem się jego przyszłą klęską. A później mi przeszło. Uważałem, 32

że jego życiowy pech jest wystarczającą karą. Przyznaję - podtrzymywałem go w przeświadczeniu, że nic nigdy mu się nie uda. Sprawiało mi przyjemność, iż jestem świadkiem, a poniekąd i uczestnikiem jego życiowej de-grengolady. Zachęcałem Wolsky'ego do kontaktów z nim, bo wydawało mi się chyba słusznie, że każda wizyta u Ernesta wywołuje coraz głębsze frustracje Paula.

Nagle West zdał sobie sprawę, że Murphy przypomina wielkiego kota.

Widział w Anglii takie koty - rude, pręgowane, tłuste, mrużące stale oczy i jakby uśmiechające się do przyszłych ofiar, które miały czelność wkroczyć na ich terytorium.

- Może pan mi opowie, jak Paul Wald został mężem córki skoro pan...

- To niestety bardzo proste - przerwał porucznikowi Murphy - we wszystkim ustępowałem Maud. Straciła matkę, gdy miała siedem lat. Rozbił

się nasz mały samolot w czasie lądowania, pilot i żona zginęli, Maud natomiast została jak gdyby katapultowana. Złamała sobie tylko rękę, a maszyna spłonęła zanim przybyła jakakolwiek pomoc. No, i od tej chwili była ona dla mnie wszystkim... Nie uważam, że ją rozpuszczałem. W czasie wakacji, na przykład, pracowała w „Bazarze” jako ekspedientka. Pewnie, że ją to bawiło, a koleżanki nawet jej zazdrościły, ale jednocześnie Maud poznawa-

ła wartość zarobionych pieniędzy... W szkole uczyła się dóbr ze. Była lubiana. Chłopcy kochali się w niej. Przypuszczałem, że gdy dorośnie wyjdzie za męża za kogoś stąd. Nie myślałem jednak, że będzie to Wald, choć na pewno imponował Maud z powodu zdolności matematycznych. Ja jednak sądziłem, że ten chłopak nie dojdzie do niczego... Pobrali się potajemnie w czasie studiów. Powiedziano mi o tym, gdy byli na drugim roku. Miałem żal do Maud, bo wiedziała przecież, że nie sprzeciwię się jej woli. Na Paula byłem wściekły - uważałem, że postąpił niegodziwie. Po dziś dzień nie 33

mam pojęcia czy chodziło mu o pieniądze...

Murphy przystanął na chwilę, rzucił okiem na duży olejny portret ładnej młodej kobiety, który wisiał za plecami Westa. Machnął ręką i przysiadł się do policjanta:

- Panie poruczniku, był czas, gdy śmierć Walda przyniosłaby mi wię-

cej satysfakcji. Ale od kilku lat byłem pewny, że umrze on samotnie, głupio. Nie interesowałem się już nim... Nie mówię tego, żeby oczyścić się z ewentualnych podejrzeń, gdyż jestem absolutnie pewny, że Wald sam skoń-

czył ze sobą. Nie wierzę, żeby ktoś mógł go zabić. Zwłaszcza u nas. Znam miasteczko, jestem jego burmistrzem od niepamiętnych czasów i mogę powiedzieć, że tutejsi ludzie są właściwie beznamiętni...

Murphy zawiesił głos czekając co powie West. Jednakże policjant nadal milczał. Burmistrz założył nogę na nogę, oparł się wygodnie, pochylając głowę do tyłu:

- Czy pan wie, że na skutek śmierci Walda, domek, w którym on mieszkał wraca w moje ręce. Kiedyś należał do mnie i wchodził w skład, posagu córki. Po jej śmierci kilkakrotnie korciło mnie, aby wykurzyć stamtąd Walda. Nie zrobiłem tego nie z jakiejś tam litości, lecz przede wszystkim ze względu na opinię wyborców. Ludzie nie lubią zaciętości. Myślę nawet, że niektórzy wysoko ocenili moją wspaniałomyślność.

- Niech mi pan powie prawdę, panie Murphy. Dlaczego pan tak nienawidził Paula Walda? - zapytał spokojnym głosem porucznik West.

- On zabił Maud! - niemal wykrzyknął burmistrz. - On ją zabił, a przedtem unieszczęśliwił. Pan tego nie może zrozumieć, West, bo pan nie znał Maud ani Walda. W pierwszym okresie po ich powrocie tutaj myśla-

łem, że wszystko się ułoży. Dałem im ten domek, mieli sporo pieniędzy i Wald mógł myśleć o karierze naukowej. Ale on wolał uczyć w liceum.

34

Maud zgadzała się z nim we wszystkim. Mówiła mi, że Paul pracuje nad kilkoma poważnymi problemami teoretycznymi i potrzebny mu jest spokój.

Powiała, że podjął pracę w szkole za namową ich byłego nauczyciela Artura Kenta. Wierzyłem córce, nie miałem powodów nie wierzyć. Dopiero potem zrozumiałem, że Wald nic sobą nie reprezentuje. Wystarczyło po-równać go z Ernestem Wolskym. Chciałem już wkroczyć, gdy Maud oznajmiła mi, że spodziewa się dziecka... Odłożyłem wszystko na później.

Może Wald okazałby się dobrym ojcem? Ale i tu moja intuicja nie zawiodła mnie. Czułem, że Wald jest źródłem wszelkiego zła dla mojej córki. Zmarła w szpitalu. Syn jej również... Wszystko przez Walda, - zakończył ostro Murphy.

- Czy pan nie przesadza? Takie rzeczy się zdarzają.

- Nie, proszę pana, ja jestem innego zdania. Wiem, że wszystkiemu winien był Wald. Gdyby Maud wyszła za kogo innego, żyłaby po dziś dzień. Wiem, że nie była szczęśliwa. W domu krzątała się smutna. Promie-niowała tylko wtedy, gdy odbywały się „party”, na których spotykała kole-

żanki i kolegów ze szkoły. To skłoniło mnie do zaproponowania Waldowi, aby opuścił miasto za odpowiednią kwotę. Ale odmówił, a potem Maud powiedziała mi o swej ciąży...

- A może jednak Wald kochał pana córkę, a ona jego? - spytał reto-rycznie policjant.

- Widzę, że pan nic nie rozumie. Ona była nadzwyczajnym dzieckiem, a on nikim i niczym.

Porucznik milczał. Wiedział teraz, że nie było o czym rozmawiać z człowiekiem, dla którego wszystko się skończyło z chwilą śmierci córki.

Tak jakby czytał w jego myślach. Murphy przerwał milczenie. Mówił teraz po cichu, niemal szeptem.

- Zapewne mówili panu w miasteczku, że po mojej śmierci wszystko co posiadam stanie się własnością tej społeczności, dla której poświęciłem 35

niemal całe życie. Nie mam nikogo, a nie chciałbym, aby to co do mnie należy stało się łupem jakichś dalekich krewnych, którzy niczego nie doko-nali. Ten dom, na przykład, zostanie przerobiony na klinikę. Taka jest moja wola...

- Kiedy pan podjął tę decyzję? - spytał nagle West.

- Dawno temu. Żeby dokładnie odpowiedzieć na pana pytanie, poruczniku, musiałbym zajrzeć do swoich papierów. Ale z całą pewnością było to po śmierci Maud. Czy panu są potrzebne szczegóły?

- Nie, dziękuję. Po prostu pomyślałem sobie, że nie znający sytuacji mogą uważać, że dom, w którym Wald mieszkał jest jego własnością i...

- To nie ma najmniejszego sensu. Dom ten był wart zaledwie kilka-dziesiąt tysięcy - przerwał Murphy.

- To też pieniądze - rzucił sentencjonalnie policjant ze stolicy.

- A poza tym, ani ja, ani żaden rozsądny człowiek nie uważa, żeby Wald umarł inaczej jak samobójczą śmiercią. Nawet jeżeli tutaj ktoś go nienawidził, to za czyny, które miały miejsce dawno temu. Nie czekałby prawie dwanaście lat...

- Kogo ma pan na myśli? Chyba nie Normana, bo krzywda, którą mu wyrządził Wald, jest jeszcze dawniejsza...

- Nic panu nie mówiono o Philu Larose? - zapytał z nie ukrywanym zdziwieniem burmistrz.

- Ktoś o nim coś mówił, ale byłbym wdzięczny gdyby pan zechciał

dodać trochę światła - odparł dyplomatycznie policjant, czując, że Murphy jest w takim nastroju, iż może puścić farbę. Pomylił się jednak, burmistrz powiedział tylko tyle: - „najlepiej będzie, jeśli pan porucznik zwróci się bezpośrednio do zainteresowanego”.

Henry West posiedział jeszcze niecały kwadrans. Rozmowa już się nie kleiła. Wyglądało na to, że burmistrz żałował, iż tyle opowiadał na temat 36

córki i swego stosunku do byłego zięcia. Starał się mówić teraz wyłącznie o miasteczku, o jego planach na przyszłość. Odprowadzając policjanta do podjazdu, gdzie czekał samochód, zdawkowo oświadczył, że jest w każdej chwili do dyspozycji, że chętnie zobaczy się jeszcze raz z porucznikiem, a gdy zjawi się Ernest Wolsky, zorganizuje spotkanie starych znajomych, na które „pan porucznik może już się czuć zaproszony”.

West podziękował i ścisnął podaną mu rękę. Po chwili siedział obok kierowcy, który ruszył bez słów. W bocznym lusterku zobaczył stojącego bez ruchu Murphy'ego. Henry West był teraz pewien, że jeśli Wald został

gwałtownie pozbawiony życia, choć na to nic nie wskazywało, z wyjątkiem, rzecz jasna, dwóch listów anonimowych, to autorem tego czynu nie mógł

być Peter E. Murphy. Ten człowiek, gdyby zdecydował się zabić męża córki, działałby bardziej jawnie. Po prostu zastrzeliłby go jak psa, najlepiej publicznie. A tu - babska śmierć - ulatniał się tylko gaz...

Burza

przeszła w nocy nad miasteczkiem, jednak

zbyt krótkotrwała, aby naprawdę cieszyć miejscowych farmerów. Więcej grzmiało i błyskało niż padało pożądanego deszczu. Było tak samo upalnie jak dotychczas, tyle tylko że gdzieś zlepienie grube warstwy kurzu wyglądały jak duże płyty zeschniętego łąjna krowiego. W miejscach, gdzie cień ustępował pod naporem lejącego się z nieba żaru unosił się z ziemi krótkotrwały zapach wilgotnej gleby. Za mało było deszczu, aby trawa nabrała soczystości. Ale nastroje w miasteczku panowały bardziej pogodne, gdyż nie ulegało wątpliwości, że burza zapowiadała zmiany na lepsze.

Za 37

kilka dni będzie tu potop, powiedziano Westowi, gdy rano wyszedł z motelu. Tego samego zdania był Ted Kennan, który na niego czekał od kilku minut i który już nastawił elektryczną maszynkę do parzenia kawy.

- Jak ci się spało? - przywitał porucznika gospodarz posterunku.

- Znakomicie. W motelu mówili o strasznych grzmotach, a ja nic nie słyszałem. To prawda, że w stolicy mieszkam tuż obok wiaduktu napo-wietrznej linii metra, ale z relacji kelnerki wynika, że nie miałem prawa oka zmrużyć. Tymczasem spałem jak gdyby nigdy nic.

- Widocznie masz czyste sumienie - zaśmiał się sierżant.

- Czego nie można mówić o mieszkańcach miasteczka - wpadł mu w ton West.

- Nie to miałem na myśli, ty tropicielu z bożej łaski. Ludzie tu nie spali, bo czekali z utęsknieniem na deszcz. Bierzesz mleko do kawy? - spytał

sierżant podsuwając papierowy kubek.

- Kropelkę, proszę. Kiedy pojawi się tu ten młody chłopak? - spytał

West i zanim Kennan odpowiedział na pytanie dodał: - raz jeszcze przeczytałem twój raport, Ted, ale chciałbym móc opowiedzieć własnymi słowami prokuratorowi jak doszło do odkrycia ciała Walda. Do tego potrzebna mi jest relacja Warrena. Tym bardziej, że po kilku dniach przypominają się szczegóły...

- Nie musisz się tłumaczyć, Henry, wykonujesz swoją robotę tak jak ja swoją. Tyle tylko, że wydaje mi się, iż jest to strata czasu.

- Bo? - przerwał mu porucznik.

- Bo Paul Wald nie został zamordowany. Wiem, że w twoich oczach nie mam zbyt dużego doświadczenia. Ale mimo wszystko umiem odróżnić człowieka zamordowanego od samobójcy czy ofiary nieszczęśliwego wypadku - odparł sierżant głosem mającym świadczyć, że ingerencja 38

prokuratury stołecznej w jego sprawy nie przypadła mu do gustu.

- Rozumiem twoją niechęć do przeprowadzanego śledztwa, ale zrozum, że po otrzymaniu anonimów, przepraszam, dwóch anonimów, trzeba mieć pewność. Ludzie muszą być pewni, że ich podatki nie idą na marne, że sprawiedliwość czuwa. A poza tym, skąd wiesz, że samobójstwo czy nieszczęśliwy wypadek nie został upozorowany przez piekielnie przebiegłego przestępcę - spytał nie bez złośliwości porucznik West.

- Chyba żartujesz. Skąd znalazłby się u nas przebiegły przestępca? -

odparł ironicznie Kennan.

- A co, uważasz, że wszyscy mieszkańcy miasteczka są łagodnymi aniołkami albo debilami. Drogi sierżancie, gdy człowiek decyduje się na zadanie śmiertelnego ciosu potrafi być przebiegły jak bengalski tygrys.

Nawet wtedy, gdy całe otoczenie, łącznie z najbliższymi, uważa, że jest łagodny jak nowo narodzony baranek.

- Takiego tygrysa to u nas jednak nie ma, chyba że...

- No, sam widzisz. Właśnie wczoraj spędziłem ciekawe popołudnie z waszym „benefaktorem”. Dobry ten człowiek, który tyle uczynił dla miasteczka, okazał się człowiekiem twardym, nie tylko jeśli chodzi o interesy, lecz także o stosunek do ludzi, których nie lubi.

- O kim ty mówisz, człowieku? - przerwał niemal przerażonym głosem sierżant Kennan.

- Oczywiście, że o Murphym, choć wcale go nie podejrzewam. Chyba, że udało mu się wyprowadzić mnie w pole.

- Poruczniku West, nie pozwolę, aby w tym pomieszczeniu i w mojej obecności szkalowano naszego burmistrza - zaatakował Kennan, który zaraz dodał łagodniejszym tonem: - choćby dlatego, że w pewnym sensie jest on moim pracodawcą.

- No, dobra, dobra, sierżancie. Ja tylko tak żartowałem. Czy możesz 39

wreszcie ściągnąć tego Warrena?

Sierżant sięgnął po aparat telefoniczny. Po krótkiej rozmowie oświadczył, że najdalej za kwadrans Jo Warren będzie tutaj. Ponieważ w służbowej lodówce było tylko mleko, Kennan połączył się z barem, skąd miano za chwilę przynieść dwie whisky i kilka butelek coca-coli.

Autentyczny były kaskader i fikcyjny właściciel „Błękitnego Anioła” sam pofatygował się do posterunku z zamówionymi trunkami. Mimo rozsa-dzającej go ciekawości nie miał odwagi spytać, nad jaką sprawą panowie z policji pracują. Po kilku zdawkowych zdaniach o nocnej burzy, wycofał się w chwili, gdy do pokoju wszedł Jo Warren. Za kilkanaście minut miasteczko będzie już przekonane, że dla stolicy śmierć Paula Walda kryje jakąś tajemnicę. Wszyscy bowiem wiedzieli, że

Jo Warren był tym, który odkrył

zwłoki nauczyciela matematyki.

- Jo - powiedział sierżant Kennan - przedstawiam ci porucznika Henry Westa ze stołecznej policji. Ma on do ciebie właściwie jedno pytanie. Chodzi o to, abyś powtórzył ze wszystkimi szczegółami to, co już nam powiedziałaś...

- Przepraszam, że przerywam sierżancie, ale zależy mi na tym, aby usłyszeć wszystko od samego początku. To znaczy nie tylko jak zostało znalezione ciało profesora Walda, ale jak to się stało, że właśnie ty, Jo, byłeś tym, który wszedł do domku Paula Walda? Czy to była na przykład kwestia, powiedzmy, intuicji?

Przez chwilę Jo Warren milczał, głęboko zastanawiając się nad pytaniem.

- Nie wiem, proszę pana, czy to sprawa intuicji - zaczął Jo - ale faktem jest, że byłem pierwszy w klasie, który zaczął się niepokoić z powodu spóź-

nienia, a następnie nieobecności profesora. To mu się właściwie nigdy nie zdarzało. Był niezwykle punktualny i pedantycznie dokładny. Niektórzy 40

w klasie uważali, że do przesady, bo potrafił obniżyć stopnie, gdy zadanie było niechlujnie rozwiązane w zeszycie...

Sierżant Kennan zaczął się kręcić na swym obrotowym fotelu, ale West wzrokiem dał mu do zrozumienia, by nie przerywał Warrenowi.

- ...Niektórzy w klasie cieszyli się, że profesor się spóźniał, bo w tym dniu miała być praca kontrolna, co dla wielu jest loterią.

Porucznik uśmiechnął się do ucznia, a następnie zwrócił się w kierunku Kennana, aby złożyć mu nieme wyrazy uznania za tak znakomitego świadka. Sierżant zrobił ruch ręką jakby chciał powiedzieć, że wszyscy są tacy w miasteczku.

- Po mniej więcej dwudziestu minutach postanowiłem pójść do domu profesora. Wiedziałem, że poprzedniego dnia były jego urodziny, że mógł

zatem wypić więcej niż zazwyczaj i zasłać, zwłaszcza przy tym upale -

ciągnął dalej Jo Warren.

- Profesor Wald często pił? - spytał porucznik.

Zanim odpowiedział na to pytanie, Jo Warren popatrzył chwilę na Teda Kennana, jakby chciał prosić sierżanta o pomoc albo o przyzwalający znak.

Niełatwo w końcu mówić obcemu niepoehlebne rzeczy o swym nauczyciele, tym bardziej zmarłym.

Sierżant siedział jednak z nieruchomą twarzą i w końcu Jo się zdecydował.

- Jak profesor Wald lubił często mawiać - „wszystko jest względne”.

Nam, jego uczniom z ostatnich klas, wydawało się, że ostatnio coraz więcej pije. I to już nie tylko w domu. Koledzy, którzy chcieli mu zrobić jakiś, kawał znaleźli w jego szafce kilka pustych butelek po whisky, a do jednej napoczętej doleli herbatę...

- Innymi słowy, Wald stał się alkoholikiem - przerwał porucznik West.

- O tym wszyscy wiedzieli od dawna. Pisałem zresztą na ten 41

temat w raporcie. Lekarz stwierdził, że w chwili śmierci Wald znajdował

się w stanie kompletnego odurzenia alkoholowego. I gdyby nie testament, można by sądzić, że zmarł na skutek nieszczęśliwego wypadku - skomentował Ted Kennan.

Porucznik West nie podjął tematu. Podszedł do Jo Warrena, który odruchowo wstał ze swego miejsca. Policjant uśmiechnął się do niego i kiwnię-

ciem ręki pokazał mu, że może spokojnie siedzieć dalej na swym miejscu.

- Jak już powiedziałem, Jo, chciałbym wiedzieć, dlaczego akurat ty właśnie poszedłeś do Walda, a nie na przykład inny kolega czy koleżanka?

- Klasa mnie o to prosiła, bo wszyscy się denerwowali czy będzie ta klasówka, czy nie. Niewiedza jest niekiedy gorsza od najgorszej pewności -

rzekł sentencjonalnie Warren. A poza tym było tak gorąco, że niektórzy chcieli się urwać na basen, bo po matematyce mieliśmy mieć dwie lekcje wychowania sportowego. Uchodziłem w klasie za pupila Walda, ponieważ dawałem sobie radę z algebrą i trygonometrią. Ale najważniejsze było to, że koledzy bali się spotkać starego, ponieważ zrobili mu paskudny kawał...

- Nie wiem czy o tym mówić, bo nie ma to nic wspólnego z całą sprawą - powiedział Warren.

- Mów, chłopcze - zachęcił go West. - Nigdy nic nie wiadomo.

- No dobrze, ale proszę, aby to zostało między nami. Choć z kawałem nie miałem nic wspólnego i byłem przeciw, nie chciałbym, żeby klasa dowiedziała się, iż się wygadałem.

- To oczywiste - przytaknął porucznik.

- Otóż profesor Wald był zagorzałym ateistą. Miał nawet kiedyś nie-przyjemności, bo niektórzy rodzice rościli pretensje, że wygłasza swe dia-belskie poglądy w czasie lekcji matematyki. Sprawa dawno się skończyła.

Nie wiem jak to się stało, ale ktoś przypomniał sobie o niej wtedy, gdy była mowa o tradycyjnym kawale z okazji jego urodzin. No i klasa złożyła się i zamówiła w sąsiednim mieście popularne wydanie książeczki do nabożeń-

stwa. Wszystko wyglądałoby niewinnie, gdyby nie zamówiono jednocze-

śnie trzech cichych mszy za spokój duszy... Paula Walda. Pieniądze i list wysłano stąd z prośbą o przysłanie pokwitowania na adres szkoły.

- Jak to się stało, że nic na ten temat nie było w raporcie? - spytał

West zwracając się do sierżanta. Zanim padła odpowiedź odezwał się Jo Warren:

- Nic dziwnego, proszę pana, bo już na drugi dzień po wysłaniu tego niesmacznego zamówienia, koledzy się zmytygowali i zaczęli pełnić dyżury przy sekretariacie naszej szkoły. To się udało, ale przypuszcza się, że ktoś z klasy wygadał i sprawa jednak doszła do Walda. Tym bardziej, że Wald otrzymał książkę do nabożeństwa. Tyle tylko, że za zaliczeniem pocztowym, bo księgarnia wolała jednak wysłać droższe wydanie...

- Teraz rozumiem - przerwał sierżant - zastanawialiśmy się skąd na biurku Walda ta książeczka.

- No, i co dalej? - zwrócił się porucznik do Warrena.

- Było zrozumiałe, że koledzy bali się gniewu Walda i ja musiałem pójść do niego. Zanim poszedłem, wstąpiłem do sekretariatu. Zaintrygowana sekretarka, panna Lewis, chciała mi towarzyszyć, ale przypomniała sobie, że musi załatwić coś pilnego.. Wyszedłem więc ze szkoły sam. Ze szkoły do domku profesora Walda jest kilka minut drogi. Gdy doszedłem do drzwi prowadzących do kuchni - frontowe były od kilku lat zawsze zamknięte - byłem przekonany, że nikogo nie ma, bo panowała cisza. Z regu-

ły, gdy profesor Wald siedział w domu, puszczał radio lub magnetofon na cały regulator. Kochał Wagnera i basy z rosyjskich oper. Zawołałem, a ponieważ nikt nie odpowiadał, wszedłem do małej sionki.

43

- Wszedłeś od razu bez dzwonienia? - spytał West.

- Chyba tak. Przychodziłem od czasu do czasu do profesora Walda, aby przedyskutować jakieś ciekawsze zadanie, ale na ogół drzwi do sionki i kuchni były zawsze uchylone, nawet późną jesienią - wyjaśnił rzeczowo uczeń.

- To ciekawe - przerwał mu raz jeszcze porucznik - bo w raporcie wspomina się, żeś najpierw zapukał.

- Może tak powiedziałem... Teraz, odtwarzając przebieg tego ranka, przypominam sobie, że jednak najpierw nacisnąłem dzwonek. A ponieważ dalej panowała cisza i nic się nie działo, wszedłem do

sionki. Natychmiast uderzył mnie silny zapach gazu. Chciałem zrazu uciec, bo się przestraszyłem, ale to trwało ułamek sekundy. Otworzyłem drzwi do kuchni i zaraz zobaczyłem go leżącego obok przewróconego taboretu. Natychmiast otworzyłem okna i wyłączyłem gaz. Nic więcej nie ruszyłem. Pobiegnę do szkoły, aby zadzwonić do doktora.

- Przecież Wald miał u siebie telefon - stwierdził porucznik.

Warren spojrział na detektywa z nie ukrywanym zdziwieniem, a może i politowaniem, zanim odparł:

- Przecież tam było pełno gazu. Pomyślałem sobie o tym, o czym wie każdy, kto jako tako pilnie śledził lekcje pierwszej pomocy. W czasie na-krećcia numeru mogła powstać iskra i wówczas... A poza tym chciałem stamtąd uciec jak najprędzej. Nie tylko dlatego, że było nieprzyjemnie z powodu gazu, ale nikt chyba nie lubi przebywać w towarzystwie niebosz-czyka. Nawet jeśli to jest własny nauczyciel - dokończył Jo Warren.

- No, to dziękuję. Byłoby to chyba wszystko, prawda? - stwierdził

sierżant Kennan zwracając się jednocześnie do ucznia i Westa.

Porucznik przez chwilę myślał jeszcze nad czymś i zanotował kilka uwag na luźnej kartce. Po czym wstał podał rękę Warrenowi i podprowadził

44

go do drzwi, gdy uczeń zatrzymał się w pół kroku:

- Chciałbym jeszcze coś dodać, skoro pan prosił, żebym mówił

wszystko. Tylko nie wiem czy...

West stanął naprzeciwko chłopca patrząc mu prosto w twarz:

- Mów, chłopcze, my jesteśmy od tego, aby oceniać co jest istotne, a co nie - zachęcał łagodnie porucznik.

- Otóż, proszę pana, ja tak naprawdę to nie przepadałem za matematyką. Staralem się jak najlepiej i jakoś mi szło. Myślę, że bardziej z sympatii dla profesora Walda niż dla samych liczb i wykresów. Profesor był przekonany, że zostanę matematykiem tak jak on. Namawiał mnie do tego. Ostatnio mówił nawet, że po latach przerwy teraz dopiero pokaże na co go naprawdę stać. Z tego co powiadał wynikało, że być może niebawem spotka-my się w stolicy, gdzie miałem studiować. Było mi głupio, bo przecież ja się wybieram na medycynę...

Anonimy

psuły wszystko. Z tego, co już porucznik

West wiedział na temat okoliczności śmierci Walda nie ulegało wątpliwo-

ści, że profesor matematyki padł ofiarą własnych skłonności. W jakimś sensie Warren potwierdził to, co było napisane w nieskładnym, ale drobia-zgowym raporcie sierżanta Kennana. Gdyby nie oba listy anonimowe, West mógłby powrócić do stolicy i napisać raport pokrywający się z wnioskami szefa miejscowego posterunku policji. Miał przeświadczenie, że rzeczywi-

ście Paul Wald zmarł na skutek nieostrożności, a w najgorszym przypadku popełnił samobójstwo. Nie znał co prawda osobiście denata, ale z tego co o nim opowiadano samobójstwo bardziej mu pasowało. To chyba w jego stylu. Również w jego pedantycznym stylu było wyłączenie korków, aby

nie doprowadzić do wybuchu i pożaru domu wypełnionego gazem...

Henry West nalał sobie coca-coli, która musowała jeszcze na dnie butelki napoczętej przez Jo Warrena. Znowu było mu gorąco. Otarł czoło papierową chusteczką wyjętą z dużego kartonowego pudełka leżącego obok lodówki i stanął naprzeciw sierżanta, który przez cały czas starał się wysłedzić myśli swego gościa.

- Taaak, Ted, wszystko wskazuje na to, że ten wasz Wald był niezłym kawalarzem. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że to on napisał anonimy. To by pasowało do niego. Chyba niedługo wrócę do siebie i uspokoję prokuratora. Przekonam go, że miasteczko jest rzeczywiście oazą spokoju.

Musimy jednak odnaleźć maszynę, na której napisano listy...

- Jesteśmy w trakcie. Mój zastępca zbiera próbki i jutro będziemy wszystko mieli - odparł spokojnie sierżant.

- Zanim porozmawiam jeszcze z kilkoma osobami figurującymi w twoim raporcie, chciałbym powrócić jeszcze do tego, co napisałeś o odkry-ciu zwłok Walda. Ty i twój zastępca przybyliście zaraz po telefonie Warrena...

- To nie było całkiem tak. Do mnie zadzwonił lekarz, bo Warren przy-tomnie zatelefonował wpi-erw do niego. Co prawda chłopak był w pełni przekonany, że profesor nie żyje, ale na wszelki wypadek wolał zadzwonić do osoby, która mogła w razie czego jeszcze coś zrobić. My przybyliśmy po telefonie od doktora. Czekał już na nas przy Waldzie. Według wstępnych oględzin stwierdził, że śmierć nastąpiła pięć czy sześć godzin wcześniej.

Sekcja potwierdziła tę hipotezę. Osobiście myślałem, że Wald opuścił ten padół łez trochę później, bo jego ciało nie było wcale sztywne, ale doktor wyjaśnił, że przy tym upale rigor mortis następuje ze znacznym opóźnieniem...

- To oczywiste. Dziwię się tylko, żeś nie wspomniał o tym w raporcie

- przerwał mu West.

46

- Uważałem, i nadal tak uważam, że istotna jest tutaj ustalona przez lekarza prawdziwa godzina zgonu, a nie moje subiektywne odczucia - od-ciął się sierżant, który wyraźnie miał dość zarozumiałości policjanta ze stolicy.

- No dobra, dobra, nie chciałem cię urazić - powiedział pojednawczo West. - Nie sądzę rzeczywiście, żeby to miało jakieś znaczenie. Mów dalej, nie będę już przerywał.

- Tak jak powiedział Warren, Paul Wald leżał niemal pod stołem, a przy nim przewrócony lekki taboret z rur aluminiowych. Według doktora wszystko wskazuje na to, że zsunął się z taboretu jeszcze za życia, o czym świadczyłby lekki siniak na prawym barku. Taboret był mało stabilny, taki podobny do siedzeń barowych, tyle tylko, że niższy. Nie pamiętam dokładnie ile Wald wypił tej nocy, dokładne liczby znajdziesz w raporcie, ale wiem, że sporo. Zresztą na stole stały dwie puste butelki. Z tego co wiemy, żaden z gości Walda właściwie się nie napił. Larose nalał sobie do szklanki, ale nie tknął jej, a Kent wypił zaledwie łyk. Norman natomiast odmówił.

Ich oświadczenia zgadzają się ze śladami znalezionymi na szklankach.

Wygląda na to, że Wald był już mocno wstawiony w chwili, gdy ich przyjmował, co też się zgadza z ich zeznaniami. Ale o tym lepiej porozmawiać bezpośrednio z uczestnikami niedoszłej uroczystości urodzinowej.

- Dziś po południu jestem umówiony z Philem Larose. Czy możemy przyjść tutaj, bo on twierdzi, że jego mieszkanie wygląda jak nora? - spytał

West.

- Co za pytanie. Pojadę akurat na obchód. Zostawię ci drugą parę kluczy. Na czym to ja stanąłem?

- Na butelkach po whisky - przypomniał West.

- Ach, tak. Trzecią butelką bourbonu, a także francuski koniak - ależ by się Murphy ucieszył, gdyby o tym wiedział - znalazłem w lodówce.

47

Gdy ją otworzyłem, chlusnęła na mnie woda z przepełnionej miseczki pod zamrażalnikiem. Widocznie nie działała od kilku godzin... - Ted Kennan zawiesił głos i przez małą chwilę przyglądał się swemu rozmówcy. Wreszcie spytał: - Skąd u licha wiedziałeś, że korki były wyłączone?!

West uśmiechnął się może zbyt pobłaźliwie jak na gust sierżanta i wpadł

mu zaraz w słowo:

- Wynika to przecież z twego raportu, który bywa niekiedy bardzo dokładny. Przypomnij sobie - piszesz w nim o wyłączonej lodówce, o nie działającym wentylatorze. Są to fakty, na które zwraca się uwagę przy panującym w miasteczku upale.

Porucznik West zawiesił głos rozglądając się po pokoju. Kennan, który odgadł jego myśli, otworzył lodówkę, z której wyciągnął ostatnią puszkę piwa. West napił się łyk, po którym malowało się na jego twarzy wyraźne zadowolenie. Uśmiechnął się i dodał:

- Co prawda w raporcie o tym nie napisałeś, bo z pewnością sądziłeś, że to nie ma większego znaczenia, ale przypominasz sobie jak w pewnej chwili, gdy weszliście do domku Walda, poprosiłeś zastępcę, aby włączył

prąd.

- Tak rzeczywiście było - potwierdził Ted Kennan. - Po prostu tak śmierdziało gazem, że chciałem uruchomić wentylator.

- Poza tym był jeszcze jeden szczegół, o którym wspomniał Jo Warren. Pozornie nie miał na pierwszy rzut oka większego znaczenia, ale dopiero w połączeniu z twoimi informacjami na temat lodówki i nieczynnego wentylatora skojarzyłem sobie, że potwierdza to, co o tym wszystkim myślę

- mianowicie, że...

- O czym mówił Warren? - przerwał Kennan.

- O dzwonku. Pamiętasz, jak zapytałem go, w jaki sposób dostał się do domu Walda. W pierwszej chwili nie pamiętał czy zawołał, zapukał lub 48

dzwonił. Dopiero po zastanowieniu mówił coś o dzwonku. On też nie zwró-

cił uwagi na to, że dzwonek był nieczynny.

Po raz pierwszy od chwili, gdy sierżant Ted Kennan zetknął się z porucznikiem Western ze stołecznej policji spojrział na niego z nie ukrywanym podziwem.

- To znaczy, że... - podjął sierżant.

- Tak, Ted, to znaczy, że w całym domu wyłączony był prąd, a gdy poprosiłeś, twój pomocnik poszedł po prostu do piwnicy, gdzie znalazł

tablicę rozdzielczą i włączył prąd. Nie zastanawiał się nad samym faktem, gdyż rozumował automatycznie jak każdy człowiek, który zauważa, że w jakimś budynku nie ma prądu. Jeśli w pokoju nie pali się światło, pierwsza myśl jest taka, że spaliła się żarówka. W momencie, gdy okazuje się, że nie pali się górne światło, natomiast działają takie urządzenia jak radio, telewizor czy lodówka, myślisz wówczas, że wysiadła faza. Natomiast, jeśli w ogóle nic nie działa, to każde dziecko

domyśla się, że bądź spaliły się wszystkie korki, bądź jest awaria w całej dzielnicy lub, że ktoś wyłączył

prąd w całym domu. Zgadzasz się ze mną? - spytał West.

- Tak, oczywiście, Tylko dlaczego myślisz, że ktoś wyłączył prąd, a nie sam Wald, na przykład.

- Źle mnie zrozumiałeś. Mówiąc o kimś, nie miałem na myśli kogoś obcego, lecz operowałem ogólnikami. Z tego, co już wiem o Waldzie, mogę wyobrazić sobie, że ten pedantyczny samotnik - nie przypominam sobie już kto mi mówił, że Wald był aż do nudności pedantem - wyłączył prąd zanim postanowił otworzyć gaz.

- A zatem jesteś również zdania, że to jednak samobójstwo? - spytał

Kennan.

- Nie mam podstaw uważać, że było inaczej niż sam napisałeś w raporcie. Mimo wszystko jednak wolałbym operować mniej kategoriowymi stwierdzeniami. Powiedzmy sobie, że gdyby przyjąć, iż Wald rzeczywiście 49

postanowił popełnić samobójstwo przy użyciu gazu, mógł on, zgodnie ze swoją naturą, dojść do przekonania, że nie ma prawa narażać najbliższych sąsiadów na niebezpieczeństwo wybuchu, a następnie pożaru. Dlatego też zanim pożegnał się z tym światem, wyłączył prąd.

Za oknem wychodzącym na ulicę zawirował tuman kurzu, który unosił

się powoli. Po chwili przed budynkiem, w którym mieścił się posterunek policji zatrzymał się jakiś pojazd. Sierżant wyrzwał przez szybę, aby zobaczyć, kto przyjechał. Okazało się, że była to mała ciężarówka, którą jeździł

Larose w czasie obchodu ulic miasteczka. Ostatnio korzystał z niej raczej z przyzwyczajenia, gdyż nie mogąc używać wody, przestał w ogóle zamiatać, ograniczając się do zbierania starych gazet i puszek po konserwach. West, który przystanął obok sierżanta, otworzył okno i umówił się z zamiataczem, że najdalej za godzinę chciałby spotkać się z nim w recepcji motelu albo, jeśli woli, w barze. Phil Larose po chwili odjechał.

Obaj policjanci stali jeszcze przez chwilę w milczeniu. Kennan wreszcie zapytał:

- Dlaczego uważasz, że Wald, po podjęciu decyzji, postąpił tak, no jakby to powiedzieć, tak odpowiedzialnie?

- Powiadam raz jeszcze, że nie mam żadnych dowodów, nie dysponuję żadnymi konkretnymi faktami, ale z tego co już o nim wiem, choćby od ciebie czy od Warrena, a nawet od Murphy'ego, wyobrażam sobie, że Wald miał wrodzone poczucie obowiązku. Przypominasz sobie, że w liceum był

czas, kiedy prowadził zajęcia wychowawcze. Przestał je kontynuować z chwilą, gdy niektórzy rodzice mieli pretensje o to, że wykorzystuje te lekcje dla głoszenia poglądów sprzecznych z naukami

kościół.

- Tak, pamiętam, ale nie widzę... - przerwał Kennan.

- Zaraz wyjaśnię, o co mi chodzi. Przypomnij sobie, Ted, czasy 50

szkolne. Otóż w ramach godzin poświęconych sprawom wychowawczym, nauczyciel uczył i wyjaśniał, co należy robić, gdy jesteś świadkiem sytuacji niebezpiecznej dla drugiego człowieka. Mówił o pomocy dla starszych, o pomaganiu niewidomym chcącym przejść na drugą stronę ulicy, o pierwszej pomocy dla tonących czy porażonych prądem...

- ... O tym, jak należy się zachować, gdy wchodzi się do domu, w którym ulotnił się gaz - przerwał Kennan.

- Widzę, mój drogi, że już mnie zrozumiałeś. Młody Jo Warren postą-

pił niemal wzorowo - otworzył okno i nie posłużył się niczym, co mogłoby wywołać iskrzenie. Innymi słowy - postąpił tak, jak uczyli go jego wychowawcy. Wśród nich był Paul Wald. A Paul Wald był autentycznym wychowawcą, przynajmniej na początku swej kariery. Był przekonany, że uczenie innych jest jego powołaniem. Podejrzewam, że na tym tle doszło do pierwszych nieporozumień między nim a teściem. Murphy chciał, aby zięć zrobił wielką karierę naukową. Wald natomiast uważał, że może być przydatny przede wszystkim jako nauczyciel, co notabene nie musiało mu przeszkadzać w ewentualnych poszukiwaniach naukowych. Z raportu wynika przecież, że zamierzał rozpocząć nowe życie.

- Ja to wszystko wiem - zauważył sierżant - i nie bardzo rozumiem, dlaczego tyle o tym mówisz.

- Powiedzmy, że myślę głośno, a korzystam z twojej obecności, aby skontrolować własny tok myślenia. Otóż, jeśli przyjąć tezę, twoją tezę, że Wald popełnił samobójstwo...

- Dlaczego mówisz o tezie, skoro znalazłem testament - przerwał nie-cierpliwie Kennan.

- ... Jeśli przyjąć tę tezę, która ma cechy wszelkiego prawdopodobień-

stwa - ciągnął dalej West nie bacząc na słowa miejscowego policjanta - to należy brać pod uwagę osobowość ofiary. Wald był pedantycznie konsekwentny, uważał, że jest pedagogiem. I do ostatniej chwili zachował się jak 51

pedagog, który musi dawać przykład.

- Ładny przykład, nie ma co - powiedział Kennan.

- To, że skończył ze sobą jest czy raczej było jego prywatną sprawą, ale nikt nie mógł ucierpieć z tego powodu - no i dlatego właśnie wyłączył

prąd, żeby nie doszło do jakiegoś wybuchu czy pożaru. Zgadzasz się z taką oceną? - zapytał na

zakończenie swego długiego wywodu porucznik West.

- Tak. I cieszy mnie, żeś przyjął wnioski raportu, myślałem przez jakiś czas, że dajesz wiarę anonimom - odpowiedział Kennan.

- Jako człowiek z branży, mimo że mieszkasz w wyjątkowo spokojnym miasteczku, doskonale wiesz, że należy à priori podejrzewać wszystkich i odnosić się do wszystkiego z ogromną powściągliwością, żeby nie powiedzieć podejrzliwością. Ale chciałbym teraz, abyśmy w kilku zdaniach wrócili do chwili, gdy stwierdziliście zgon Walda. Zatem leżał on niemal pod stołem, obok przewróconego taboretu...

- No właśnie. Lekarz stwierdził z całą odpowiedzialnością, że Wald sam upadł. Nie nosił żadnych śladów uderzenia i wszystko wyglądało naturalnie, o ile samobójstwo może być naturalną śmiercią - sierżant przerwał

swój wywód patrząc na Westa, który zaczął cicho kaszleć. Nie był to jednak kaszel, lecz gardłowy śmiech.

- Nie patrz tak na mnie. Ted. Śmieję się, bo po raz pierwszy ujawniasz to, co od początku starałeś się ukryć przede mną, a może nawet przed sobą samym - a więc i ty pomyślałeś sobie, że Wald mógł zostać zamordowany!

Sierżant zamilkł na kilkanaście sekund. Wreszcie uśmiechnął się prze-praszająco.

- Wygrałeś, Henry, rzeczywiście myślałem o tym. Ale sam nie wiem czy to z powodu okoliczności śmierci, czy dlatego, że jak każdy policjant marzyło mi się, iż u mnie też dojdzie do jakiejś zbrodni, która mogłaby

mi przynieść rozgłos, a nawet i awans. Oczywiście po rozwiązaniu zagadki.

- To normalne, mój drogi - powiedział zachęcająco porucznik.

- Ale zbierając dane i przygotowując raport coraz bardziej przekonywałem się, że mam do czynienia z najnormalniejszym samobójstwem -

uciał sprawę Kennan, który był wyraźnie speszony tym, że kolega ze stolicy wyciągnął na światło dzienne jego najskrytsze myśli.

West zrobił ręką ruch, jakby chciał namalować arabeskę dając do zrozumienia, że bagatelizuje sprawę i prosi o dalsze szczegóły.

- Z planu dołączonego do raportu wiesz, że kuchnia była połączona z sąsiednim salonem, czy raczej salą jadalną, rozsuwanymi drzwiami, takimi jak w wagonach kolejowych. Lekarz powiedział, że gdyby te drzwi zostały otwarte być może Wald wyszedłby z tego. Po prostu ilość gazu nagromadzonego w kuchni byłaby o wiele mniejsza, gdyby trucizna rozpełzła się po całym parterze. Ale drzwi były zamknięte. Na uchwycie były tylko ślady Walda, co nie jest dziwne, skoro sam mieszkał, a sprzątaczką, pani Moore -

znam ją dobrze, bo przychodzi sprzątać również u mnie - była u, niego ostatni raz pięć dni wcześniej.

- A goście - przerwał West.

- Właśnie - goście. Wiemy, że przyszło ich na pewno trzech - Artur Kent, Phil Larose i Leo Norman.

- Co to znaczy „na pewno”? - spytał porucznik.

- Rozmawialiśmy z nimi, zresztą czytałeś w raporcie, ale ponieważ każdy z nich był osobno i nie widział innych, nie wiadomo czy ktoś jeszcze nie przyszedł. A wszystko wskazywało, że gości miało być więcej - po ilości szklanek i kieliszków, zakupionych sandwichów i wyrobów cukierni-czych, po butelkach wina i czterech butelkach szampana, które mroziły 53

się w dużym wiadrze z lodem. A raczej, które miały się mrozić, bo gdy wkroczyliśmy w wiadrze była tylko woda, w której pływały odklejone na-lepki z butelek...

- To mi wszystko wygląda na stypę za życia - powiedział West - bo skoro Wald zamierzał skończyć ze sobą...

- I ja o tym myślałem. I doszedłem do wniosku, że Paul Wald mógł

popęlić samobójstwo dlatego, że przyjęcie się nie udało - powiedział powoli sierżant zawieszając głos jak gdyby zawstydzony niedorzecznością tego, co przed chwilą rzekł. Jego twarz przybrała wyraz głębokiego osłupienia, gdy porucznik nagle wstał i szybkim krokiem podszedł do niego, aby go poklepać po ramieniu.

- Brawo, Ted. Jesteś genialny. Cały czas brakowało mi czegoś. Teraz dzięki tobie zaczynam rozumieć.

Sierżant Kennan był jak sparaliżowany. Ogarnęła go fala nienawiści do tego typa ze stolicy, który kpił z niego w żywe oczy. Chciał coś wykrztusić z siebie, ale wściekłość zacisnęła mu gardło.

- Nie, mój drogi, wcale nie żartuję. Naprawdę trafiłeś w sedno. Posłuchaj spokojnie: Paul Wald organizuje u siebie przyjęcie z okazji urodzin.

Myśli jednak, że nikt nie przyjdzie z wyjątkiem starego Kenta i Ernesta Wolsky'ego, bo jest ze wszystkimi skłócony. Ale wie również, że jeśli organizatorem przyjęcia będzie Wolsky, to jest szansa, że jego dawni koledzy jednak się zjawią. Ma im coś do powiedzenia, co ich bezpośrednio dotyczy.

Wiemy o tym z raportu sporządzonego przez ciebie po rozmowach z zainteresowanymi. Wolsky dzwonił do wszystkich i każdy przyszedł, ale to, co im powiedział Wald, spowodowało, że zaraz wyszli, może nawet trzaskając drzwiami. Sam Wolsky - niezbędny mediator - nie przybył, bo musiał nagle wyjechać. Artur Kent natomiast przybył za późno, bo już nikogo nie było, jeśli nie liczyć rozgoryczonego i już mocno zawianego Walda. Ta próba 54

powrotu do dawnej społeczności koleżeńskiej spaliła na panewce. Pije dalej i po pewnym czasie

otwiera gaz. Przedtem wyjmuję list pożegnalny czy raczej to, co nazywamy testamentem, wyłącza prąd i spada w otchłań.

Porucznik West był wyraźnie zadowolony z siebie. Wyciągnął z górnej kieszeni koszuli wykałaczkę i zaczął ją obgryzać. Wyczekiwał na wyniki pracy myślowej swego rozmówcy.

- Rzeczywiście, jeśli na to patrzeć z tego punktu widzenia, to niewypał

urodzinowy mógł przyspieszyć decyzję Walda...

- Przyspieszyć? - spytał porucznik.

- No tak, bo przecież testament został napisany o wiele wcześniej. Nie nosi on co prawda daty, ale analiza dokonana w waszym laboratorium policji mówi, że był napisany co najmniej na dwa tygodnie przed śmiercią Walda. Z drugiej strony, Wald rzeczywiście chciał skończyć z sobą, co wynika wyraźnie z treści listu-testamentu. Ale być może za namową jedynych przyjaciół czy życzliwych mu osób - mam tu na myśli Wolsky'ego i Kenta -

odłożył sprawę myśląc, że przyjęcie urodzinowe pozwoli mu startować na nowo. Zwłaszcza w jego stosunkach z Larosem.

- Bardzo trafnie oceniłeś ten list czy, jak tu wolicie, testament. Sam ty-tuł jego...

- No właśnie: „Ultima forsan” - ostatnia, być może... Kiedyś, na starych zegarach, widniał właśnie taki napis, który oznaczał dla sprawdzające-go, która to godzina, żeby pamiętać, ponieważ być może ta właśnie godzina jest jego ostatnią. Treść testamentu potwierdzałaby, że Wald uważał te słowa za być może ostatnie, w zależności jak zostałyby przyjęte przez dawnych kolegów. Albo puszcza w niepamięć dawne grzechy, albo nie i wówczas...

- ...i wówczas skończy z sobą - dokończył porucznik.

55

Obaj mężczyźni siedzieli teraz w milczeniu. Ich myśli szły własnymi to-rami. Ciszę przerwał porucznik West.

- Czy mógłbyś raz jeszcze pokazać mi kopię testamentu? Muszę się zastanowić, chociaż wydaje mi się, że posunęliśmy się bardzo naprzód i wkrótce będę mógł stąd wyjechać. Ku zadowoleniu twojemu i mojemu. A także centrali, która nie lubi, gdy jej pracownicy trwonią na wyjazdach służbowych zbyt duże kwoty.

Sierżant Kennan wyciągnął ze średniej grubości aktówki fotokopię ostatnich słów Paula Walda. Rzucił na nie okiem zanim podał błyszczący arkusz papieru koledze ze stolicy.

„Ultima forsan...

Drodzy moi, słowa te są być może ostatnimi słowami, jakie kieruję do was. Być może ostatnimi,

ponieważ po nich może nastąpić długie milczenie, kto wie czy nie wieczne. Nikt bowiem nie wie, co może przynieść mu dzień jutrzejszy, nie wie nawet, czy go doczeka. «Ultima forsan», jak lubili mawiać nasi przodkowie, którzy mieli większe poczucie czasu. Choćby dlatego, że żyli krócej. Żyli krócej, zatem mieli mniej okazji do popełniania omyłek, błędów, zbrodni, potępianych powszechnie czynów. Mój drogi Leo, po dziś dzień nie mogę sobie wybaczyć i przyznaję, że to, co się kiedyś stało, wpłynęło na całe moje życie. Nie wiem nawet, czy mój powrót tutaj z Maud nie był czymś w rodzaju pokuty - dzień w dzień stykałem się z ofiarą własnej bezmyślności. I byłem bezradny. Jestem nim nadal. Wybacz mi raz jeszcze. Więcej nie mogę dla ciebie uczynić, a nawet gdybym mógł, wiem, że nie przyjąłbyś żadnego zadośćuczynienia pod jakąkolwiek postacią. Wszyscy znają twoją szlachetność, twoją dobroć, która mogłaby być porównywana jedynie ze szlachetnością i dobrocią Petera Murphy'ego. Tak, właśnie Murphy'ego. Jestem chyba jednym z niewielu ludzi, którzy najlepiej znają tego człowieka, szczerze oddanego naszej społeczności. Pod 56

maską oschłości kryje się człowiek o wielkim sercu. Trudno jest mi powiedzieć więcej, gdyż zbyt dobrze znam dramat jego życia, wiem jak po dziś dzień przeżywa on utratę Maud. W tej godzinie, która być może jest moją ostatnią wśród was, zrzekam się wszystkich praw do tego, co przypadło mi w udziale na skutek odejścia Maud. Muszę także rozliczyć się z Philem.

Gdy mnie już nie będzie wśród was, znajdzie on to, co do niego należy, to co powinno być jego od dawna. Przez cały czas od chwili, gdy doszło do mojego karygodnego postępu, przynajmniej tak łagodnie to wówczas oceniałem, przez cały czas od wyrządzonej przeze mnie krzywdy czyniłem wszystko, aby jemu to wynagrodzić. Proszę jedynie o zapomnienie. Żegnam również czciwego Artura Kenta, człowieka, który starał się mnie zrozumieć, który wiele uczynił, abym mógł nadal przebywać wśród was. Był i pozostanie do końca wzorem. Jego stoicki spokój wobec zbliżającego się końca; jego pogoda mimo świadomości kresu - oto co budzi we mnie podziw. Żegnaj człowieku wielkiej sprawiedliwości. Żegnajcie. Wybija moja godzina. Ultima forsan...”

„Ostatnia, być może...” - powtórzył w duchu porucznik West, odczytaw-szy po raz nie wiadomo już który testament Walda. I tak jak za pierwszym razem, miał przekonanie, że ostatnie słowa Paula Walda nie były ani ostatnią wolą, ani listem pożegnalnym.

- Wiesz, Ted, co myślę czytając te pompatyczne zdania? - zapytał bardziej siebie niż sierżanta.

- Właśnie jestem ciekaw.

- Otóż, myślę, że siedzę przy długim stole bankietowym w czasie wy-głaszania laurki ku czci sędziwego proboszcza. Ten Wald mi się nie podoba. A co do tego testamentu, to mi on wygląda na tekst mowy, która miała zostać wygłoszona przez człowieka, w rzeczywistości gardzącego swymi 57

słuchaczami. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że Wald uczył

się na pamięć tych słów, których nigdy nie wygłosił, bo okazał się zwykłym tchórzem.

- Tak, gdyby nie te twoje anonimy, sprawa byłaby prosta. Człowiek stchórzył i uciekł przed tymi, których kiedyś skrzywdził.

- Tak, wszystko byłoby proste. Dla mnie jednak jest to skomplikowane. Taki jest nasz zawód - powiedział porucznik West, który po chwili stanął przed biurkiem Kennana.

- Muszę iść. Phil Larose na pewno już czeka na mnie.

Sierżant Kennan był mu wdzięczny za to, że powiedział o ich, a nie tylko o swoim zawodzie.

Zło
jest wszechobecne, nie zna granic czasu ani przestrzeni.

Porucznik West powtarza to zdanie już kilkakrotnie w ciągu ostatnich godzin, a zmarszczki na czole i wyraz oczu świadczą o tym, że został kompletnie zaskoczony. Nie sensem powtarzanego zdania, lecz tym, że jego autorem jest Phil Larose. Siedząc na łóżku bez koszuli i z gołymi stopami, porucznik West uzupełnia notatki. Chusteczką sztywną od wilgoci wyciera po raz nie wiadomo który pot spływający po karku i szyi. Im więcej pije, tym więcej się poci. I teraz znów sięga po prawie pustą butelkę bourbonu, a do szklanki wrzuca ostatnie kostki lodu wyjęte z pękatego termosu z namalowaną nazwą motelu. Półgalonową butelkę kupił idąc na spotkanie z Larosem, który siedział w holu recepcji od prawie pół godziny. To tylko w służ-

bowych raportach pisze się, że policjant na służbie nie pije alkoholu. Porucznik West ma w tej kwestii inne podejście, bardziej pragmatyczne.

58

Bourbon on the rocks jest najlepszym środkiem na upał. Jest również doskonałym pomocnikiem przy rozmowach z małomównymi świadkami. In vino nie tyle veritas, ile pomoc w zdobywaniu pozornie błahych faktów.

Ale Larose nie był małomówny. Przynajmniej nie cały czas.

Porucznik Henry West siedział na łóżku oparty o wezglowie. Myślał o dziwnych mieszkańcach miasteczka, w którym na dobrą sprawę nikt, z wyjątkiem chyba sierżanta Kennana, nie był zupełnie normalny. Ale co znaczy być normalnym? Porucznik West uważał, że najmniej ciekawi ludzie to właśnie ludzie normalni, działający zawsze i wszędzie zgodnie z normami. Dla Westa normalny to znaczy przeciętny. Normalny to znaczy groźny z chwilą, gdy przeciętny człowiek przekracza barierę narzuconej przez ogół normy...

West znów sięgnął po szklankę. Była pusta. Na stole stała druga do połowy napełniona żółtym płynem niedopitym przez Larose'a. Zanim zapalił światło, stał jeszcze przez chwilę zastanawiając się, czy jest głodny, czy nie.

W motelu był tylko kiepsko zaopatrzonego bufet, a do baru nie chciało mu się pójść, mimo że o tej

porze chodzenie po miasteczku było o wiele przyjemniejsze niż za dnia. Podniósł w końcu słuchawkę i poprosił, aby przyniesiono mu do pokoju dwa sandwicze i trzy puszki piwa oraz butelkę wody mineralnej.

West chodził po pokoju boso. Miał ochotę zdjąć buty i skarpety już wówczas, gdy siedział z Larose'em, ale doszedł do wniosku, że mógłby się on obrazić. Phil Larose przyszedł do niego zaraz po dniu i miał na sobie jasny, niemal biały kombinezon roboczy. W samochodzie zostawił tylko jaskrawo pomarańczową kamizelkę, którą zgodnie z przepisami nosił w czasie pracy. Bez słów przyjął propozycję policjanta, gdy ten pokazał mu pękatą butelkę. Wypił pierwszą szklankę dwoma haustami, następnie zapalił

papierosa. Wszystko właściwie w absolutnej niemal ciszy, tak jakby 59

obaj mężczyźni odprawiali jakieś tajemnicze nabożeństwo.

- Wie pan, po co pana zaprosiłem? - zaczął West.

- Aha - odparł krótko Larose, który sam sobie nalał drugą szklankę.

Porucznika nagle ogarnęła fala wściekłości; nie lubił, gdy ktoś przejmował

inicjatywę w jego obecności, obojętnie w jakiej sytuacji. Uspokoił się jednak natychmiast, kiedy pomyślał, że prawdopodobnie za chwilę Phil Larose będzie rozmowniejszy.

- Z tego, co przeczytałem w raporcie sierżanta Kennana wynika, że jest pan jednym z ludzi, którzy mogliby najwięcej powiedzieć o Waldzie.

Poza tym był pan wśród tych, którzy widzieli go tuż przed śmiercią...

- Czy to ma jakieś znaczenie, skoro Wald popełnił samobójstwo? -

przerwał Larose.

- O tym, czy to ma znaczenie, czy nie, ja decyduję - uciął porucznik. -

Każda nienaturalna śmierć zawsze interesuje policję. Tym bardziej...

- ...tym bardziej, że zło jest wszechobecne, nie zna granic czasu ani przestrzeni.

Po tych słowach Larose powstał ze swego miejsca i znowu nalał sobie porządną porcję alkoholu. Henry West spojrzał na niego nie pojmując sensu tych słów.

- Co pan powiedział? - spytał wreszcie policjant.

- Nic takiego. To własna interpretacja pewnej myśli Millera. Wie pan, poruczniku, ja mieszkam sam w domku tyimi oto rękoma wzniesionym z dala od wszystkich. Po pracy dużo czytam. I właśnie skończyłem kilka dni temu *Nexus* Henry Millera. Jak na Amerykanina, ma on wiele do powiedzenia.

Przypomniałem sobie właśnie teraz, co powiedział o miłości. Jest ona wieczna, niezależna od człowieka. Miller powiada, że tak jak energia, mi-

łość istnieje wbrew woli człowieka. Miłość to absolut dobra, bo decyduje o życiu, o trwaniu przyrody. A zaprzeczeniem dobra jest zło, które też jest 60

wieczne. Ono tkwi wszędzie, tak jak energia jądrowa. A gdy zebrane są wszystkie niezbędne elementy, nagle wybucha. I zabija. Bo zło, widzi pan, panie poruczniku, to śmierć. Przyroda, wszechświat - to permanentny bilans życia i śmierci, dobra i zła. I tak już musi być.

Phil Larose urwał tak samo nagle jak zaczął. West patrzył na niego udając, że zrozumiał sens wypowiedzianych słów.

- Czy mam rozumieć, że wie pan, dlaczego Paul Wald nie żyje? - spytał policjant.
- Ogólnie rzecz ujmując, to chyba tak. Nie żyje, bo nie miał prawa już żyć. I to od dawna. Spotkała go zasłużona kara - odpowiedział tym samym bezbarwnym głosem siedzący naprzeciw mężczyzna, który teraz bawił się pudełkiem zapalek.
- Czy pan jest zdania, że Walda zamordowano?
- Tego nie wiem, choć bym się nie zdziwił. Był to mały robak, egoista, a może tylko egocentryk. Nikt go tu nie lubił, nikt go nie żałuje - odpowiedział Larose beznamiętnie.
- Nawet profesor Kent, nawet Wolsky?
- Powiedziałem nikt.

Znowu zapanowała cisza. W pokoju było coraz ciemniej. Najdalej za pół godziny zapadnie noc, pomyślał policjant.

- Wróćmy może do faktów - zaproponował West.
- Wszystko już powiedziałem sierżantowi - odparł Larose.
- Kennan zna pana od lat i o szczegółach kontaktów z Waldem mógł mu pan nie mówić zakładając, że Ted i tak wszystko wie. Ja jestem w innej sytuacji i muszę więcej wiedzieć, żeby móc napisać własny raport o śmierci Walda.
- Nie wierzy pan w samobójstwo? - zapytał teraz Larose.

61

- Wierzę tylko faktom. One muszą mnie przekonać i tylko one mogą przekonać prokuratora. No więc, może zaczniemy od początku?

- Dobrze. Zanim jednak zacznę mówić o zaproszeniu na urodziny Walda, chciałbym panu powiedzieć, że jutro rano będzie tutaj Wolsky.

Może byłoby lepiej, aby Ernest wszystko opowiedział, jak było z tym telefonem...

- Do tego jeszcze wrócimy. Jeśli mówię, żeby pan zaczął od początku, to chodzi mi o to, dlaczego pan się wyraźnie cieszy ze śmierci Walda.

Phil Larose, który stał pochylony nad popielniczką, w której gasił nie-dopałek, podniósł nagle głowę, ale nie zaprotestował.

- Rzeczywiście, nie mógłbym powiedzieć, że śmierć Paula specjalnie mnie zasmuciła. I to nie tylko dlatego, że nagle moja sytuacja życiowa uległa zmianie. Przyzwyczyłem się do przynależności do dołów naszej mia-steczkowej społeczności i tak naprawdę, poruczniku, nie bardzo wiem, co robić z tymi pieniędzmi, które nagle spadły mi z nieba, a raczej z piekieł -

powiedział nie bez ironii zamiatacz.

- Właśnie, nie bardzo rozumiałem, jakim cudem dostał pan taki spa-dek po Waldzie - podjął West.

- Czyżby? Pozwoli pan, że nie uwierzę. Zbyt dużo pan już wie, żeby nie zrozumieć tego, co się tu stało przed laty... Widzi pan, poruczniku, był

czas kiedy i Paul, i Ernest, i ja, a także inni uczniowie naszego liceum, a zwłaszcza naszej klasy tworzyliśmy zgraną paczkę przyjaciół. Wolsky ambitnie dążył do celu. Wald również, chociaż co do niego nigdy nie wiedzieliśmy w pełni, do czego zmierza. W jednej rzeczy udało mu się - poślubił

Maud. Ja jeden chyba ze wszystkich nie byłem w niej zakochany... ponieważ wiedziałem, że nie miałem najmniejszych szans...

Larose przerwał swój monolog, aby zapalić kolejnego papierosa. Dwa 62

razy wypuścił długie smugi dymu. Porucznik nie ponaglał go.

- ...Moje życiowe ambicje były również skromne. Zanim mogłem my-

śleć o czymkolwiek, musiałem przyjść z pomocą matce i rodzeństwu, gdyż śmierć ojca na rok przed ukończeniem szkoły postawiła nas w ciężkiej sytuacji. Ojciec...

- Kim pan chciał zostać? - przerwał mu policjant.

- Właściwie wahałem się między literaturą a medycyną. Najlepiej po-

łączyć zainteresowania, tak jak to miało miejsce w przypadku Czechowa czy Cronina.

Policjant skinął głową dziękując za dodatkową informację. Otwierając dopiero co zamknięty notes dał w ten sposób do zrozumienia, że byłby wdzięczny za dalszy ciąg opowieści. Larose podjął ją bez

ociągania się:

- Gdy ojciec zmarł na serce, pracował w miejscowej filii banku, było niemal naturalne, że po ukończeniu liceum zacząłem w niej pracować. Mu-szę wyznać, że ku mojemu własnemu zdziwieniu praca ta szybko zaczęła mi się podobać. Prawdopodobnie dlatego, że dawała mi sporo wolnego czasu po zajęciach. Wtedy zacząłem pożerać książki. Po kilku latach mia-

łem zupełnie przyzwoitą pensję. Gdy obie siostry wyszły za mąż - jedna z nich zabrała ze sobą matkę - a brat poszedł do wojska, zacząłem myśleć o wybudowaniu własnego domu. Tym bardziej, że udały mi się pewne trans-akcje giełdowe. Wtedy właśnie zjechał do nas Paul wraz z Maud. Nie mogłem wówczas przypuszczać, że ich powrót do miasteczka stanie się po-czątkiem moich kłopotów.

Phil Larose znowu przerwał, tym razem po to, aby prosić policjanta o ostatnią kroplę whisky, jak sam powiedział. Umoczył wargi i kontynuował

dalej.

- Kiedy Maud umarła, zgłosił się po kilku tygodniach Paul prosząc o zrealizowanie jej polisy na życie. Było naturalne, że zwrócił się do mnie, 63

tym bardziej że w ban-ku ja właśnie prowadziłem te sprawy. Nie zaskoczy-

ło mnie również to, że prosił o wypłacenie należności gotówką, a nie cze-kiem, gdyż w miasteczku czeki były rzadko używane. Pomyślałem sobie, że po tej tragedii Paul zechce wyjechać i dlatego woli mieć gotówkę. W umó-

wionym terminie przygotowałem sumę i Wald zjawił się w banku. Wypłaci-

łem mu ją.

- Ile to było pieniędzy? - zapytał West.

- Pamiętam dokładnie i nigdy chyba nie zapomnę - do firmowej koperty włożyłem siedem banknotów po tysiąc i czterdzieści po pięćset. Razem dwadzieścia siedem tysięcy. Na tyle opiewała polisa zawarta przez starego Murphy'ego, kiedy Maud pojechała studiować do stolicy. Polisa była częścią posagu, dlatego wypłacono ją Waldowi. Jeszcze rozmawiali-

śmy przez kwadrans, następnie Paul poszedł do domu. Wrócił mniej więcej po godzinie, tuż przed przerwą obiadową. Nie był specjalnie zdenerwowany. Wszedł do mojego pokoju - bo już wtedy nie pracowałem przy bezpo-

średniej obsłudze klientów - i poprosił o kopertę z pieniędzmi. Ponieważ nie zauważyłem, żeby ją zabrał, zacząłem się rozglądać po biurku, a potem spojrzałem na niego. Powiedziałem wówczas, że może wypadła mu z kieszeni, kiedy wsiadał do samochodu, albo może przed domem. Nagle Wald zaczął na mnie wrzeszczeć, że go okradłem, że mu nie dałem tych pienię-

dzy. Przyznaję, że zaniemówiłem. Nie mogłem wydobyć słowa, tak całkowicie sparaliżowały mnie

jego atak i furia, z jaką nacierał na mnie. Zjawił

się dyrektor banku. I uwierzył Paulowi, a zwłaszcza jego argumentom opar-tym na fakcie, że nawet nie zaprzeczyłem, iż mógł tu zostawić pieniądze.

No, i wyrzucono mnie.

- Tak po prostu, nikt nie zbadał sprawy?

- Nikt. Trzeba pamiętać, że jeszcze wtedy Wald był wdowcem po cór-ce Murphy'ego, a o ich prawdziwych stosunkach niewiele kto wiedział.

64

- Rozumiem. Ale mimo oskarżenia nie stanął pan przed sądem? - bardziej stwierdził niż spytał porucznik West.

- Tak. I to mnie utwierdziło, że Wald sam zabrał te pieniądze.

- Ale dlaczego to zrobił? Czy dzielił was jakiś konflikt? - zapytał policjant.

- Nie, nigdy. Widzi pan, poruczniku, ta sprawa przekonała mnie, że zło czai się wszędzie, że może objawić się w najmniej oczekiwanej chwili.

- W porządku, panie Larose, ale oprócz metafizycznych, powiedział-

bym, wyjaśnień, chciałbym jednak otrzymać coś bardziej konkretnego. Czy naprawdę nie było między wami żadnych sporów? Może jednak Wald uwa-

żał na przykład, że za bardzo pan się kręcił wokół jego żony? A może pan, panie Larose, też był zdania, że Wald jest winien śmierci Maud? - zagalo-pował się policjant, ale zaraz przeprosił swego rozmówcę.

- Jestem już do tego przyzwyczajony, tyle lat mnie posądzano o kradzież tych pieniędzy, że były chwile, kiedy zastanawiałem się, jak to się mogło stać. Dzisiaj wszyscy wreszcie wiedzą, że pieniądze zabrał Paul -

powiedział spokojnym głosem Larose.

- Ale dlaczego pana oskarżył? Jaki miał w tym interes? - nacierał dalej porucznik, któremu wyraźnie działał na nerwy spokój Phila Larose'a.

- Jak już panu powiedziałem, panie poruczniku, miałem sporo czasu, aby nad tym wszystkim się zastanowić. I doszedłem do wniosku, że padłem ofiarą zwyczajnego zła, które czai się w każdym chyba człowieku. Wald zabrał wręczone mu przeze mnie pieniądze. Mógł je położyć na kredensie zaraz po powrocie do domu, albo do szufladki biurka, albo jeszcze gdzie indziej, tego się już nigdy nie dowiemy. Po chwili, powiedzmy po powrocie z toalety czy z kuchni, gdzie napił się wody czy

koperty. Ale jej nie ma - może wpadła za kredens, albo wypadła z przepel-

nionej szufladki i tkwi głęboko na samym spodzie biurka? Szuka chwilę i dochodzi do wniosku, że nie zabrał koperty. Wraca do banku. Dalszy ciąg już pan zna. Dopiero po kilku dniach czy tygodniach, kiedy ja już nie pracuję w banku z jego winy, Wald odnajduje zgubę. Nie ma odwagi przyznać się do omyłki. Nie może się ośmieszać. Teraz następuje drugi akt...

- Wróćmy jeszcze do pierwszego, jeśli pan pozwoli. Wiem, że został

pan zmuszony do zwrócenia całej sumy...

- Tak, Wald okazał się tu wspaniałomyślny, co mnie utwierdziło, że on jeden wie, no i oczywiście ja, jak naprawdę było z tą kopertą. Otóż wyrzucono mnie z pracy, ale sprawy nie skierowano do sądu pod warunkiem, że miesięcznymi ratami zwrócę te dwadzieścia siedem tysięcy. No i płaci-

łem całymi latami - na szczęście Wald zrezygnował z procentów - dodał

jeszcze z uśmiechem Larose, który chodził po zupełnie już teraz ciemnym pokoju. - Musiałem zrezygnować z kupna domku, ale że jestem uparty, wziąłem się do roboty i sam postawiłem własną chałupę.

- Ale z czego pan zwracał pieniądze? Przecież jako zmiatacz ulic...

- Zmiataczem zostałem dopiero po zwróceniu całości. Po banku pracowałem jako listonosz i roznosiciel towarów w „Bazarze” Murphy'ego. Od świtu do nocy i bez prawa inkasowania pieniędzy.

- Dlaczego pan nie wyjechał? - spytał porucznik.

- Myślałem o tym, ale uważałem, że opuszczenie miasteczka byłoby przyznaniem się do winy. Chciałem być żywym wyrzutem sumienia dla Walda. Ale zareagował trochę inaczej niż przypuszczałem - zaczął mnie wykańczać już nawet po tym, gdy w miasteczku wiadano, że zwróciłem całą kwotę. Straciłem swoją pracę na poczcie, a potem i w „Bazarze”.

66

Murphy nie ukrywał już wtedy swej wrogości do Walda, nie chciał jednak narażać opinii w obronie człowieka, co do uczciwości którego sam miał

wątpliwości. No, i zostałem zmiataczem. Na szczęście miałem trochę własnych zasobów z poprzednich operacji giełdowych i jakoś wiązałem koniec z końcem.

- Nadal nie pojmuję. Wybacz pan, panie Larose, ale nie jestem w stanie zrozumieć motywów działania Walda - znowu przerwał porucznik.

- Choć pan jest policjantem i to z wielkiego miasta, podejrzewam, że patrzy pan na ludzi trochę jak na figury szachowe - tu są białe pionki, a tam czarne. Mógłbym uważać, że Wald był po prostu czarnym laufrem w moim życiu. Ale to byłoby zbyt proste. Zdążyłem zauważyć, że mała ludzka podłość wynikająca z impulsów chwili może pociągnąć za sobą większą, a niekiedy i tragiczną w skutkach podłość, po to tylko, aby usprawiedliwić poprzednie, mniejsze świństwo. Wald wiedział, że postąpił po świńsku, ale nie chciał się do tego przyznać. A ponieważ ja nie załamane się, nie zachowywałem się jak winowajca, uważał, że musi mnie wykańczać, aby udowodnić opinii, że on jest białą figurą. Niech mi pan wierzy, poruczniku, takie postępowanie nie jest wcale tak rzadkie - zakończył sentencjonalnie Larose.

- Ale jednak sumienie go gryzło - stwierdził policjant.

- To prawda. Jak wynika z pisma otrzymanego z centralnego banku już po roku od daty tej podłości, Wald wpłacił całe dwadzieścia siedem tysięcy, a u notariusza zostawił dyspozycje, na mocy których te pieniądze wraz z procentami miały mi zostać wypłacone bądź na jego wyraźne polecenie, bądź po jego śmierci.

- I pan oczywiście o tym nie wiedział? —zapytał raczej zdawkowo West.

- Oczywiście.

67

Larose zatrzymał się w pół kroku w swoim spacerze po pokoju i spojrzał na policjanta:

- Idąc śladami pana rozumowania, gdybym wiedział o tym zapisie, miałbym wszelkie podstawy zemścić się na Waldzie o wiele wcześniej.

West uśmiechnął się i, zachowując ton Larose'a, powiedział:

- Chyba że o depozycie dowiedział się pan dopiero kilka tygodni temu.

Światło

zabłysło w pokoju dopiero, gdy porucznik

West wkręcił mocniej żarówkę w oprawie.

- Kontakt nie działa - wyjaśnił rzeczowo - To się często zdarza w ho-telach.

Usiadł znowu na brzegu łóżka, zaczął szukać długopisu, który zawierał się w fałdach wymiętej narzuty z zielonego pluszu, wreszcie zapytał:

- Jak to się stało, że pan przyjął zaproszenie na urodziny Walda?

- O urodzinach nic nie wiedziałem, a zaproszenie przyjąłem... Zresztą, może zanim na to pytanie odpowiem, pozwoli pan, poruczniku, że coś jeszcze dodam na temat zemsty, mojej zemsty na Paulu. Otóż, widzi pan, ja przez cały czas, przez przeszło dziesięć lat mściłem się w sposób, który wydawał mi się szalenie subtelny i wyrafinowany zarazem.

Porucznik West, który podniósł się, aby nalać do szklanek trochę płynu z pękatej butelki, zatrzymał się.

- Nie, poruczniku, nie będzie to opowieść mrożąca krew w żyłach. Po prostu chciałbym opowiedzieć komuś, kto jak widzę interesuje się głębiej tym co się stało w miasteczku, pewne fakty, które mogą mu coś wyjaśnić na temat atmosfery panującej wokół Walda.

68

Henry West skinął głową i dorzucił po dwie kostki lodu do szklanek.

- Z chwilą gdy przestałem pracować w banku, starałem się niemal od samego początku kręcić się w pobliżu Paula. Trochę na zasadzie żywej przestrogi. Początkowo ogarnęła mnie fala prawdziwej nienawiści i nie kryję, że zastanawiałem się nad tym, jak urzeczywistnić swoje zamiary.

Potem doszedłem do przekonania, że nie miałyby to żadnego sensu, bowiem najważniejsze dla mnie było udowodnienie swojej niewinności. Pracując jako listonosz i roznosiciel zakupów nie miałem zbyt częstych okazji spotykania Walda na swojej drodze. Sytuacja uległa zmianie, gdy zostałem zamiataczem. Znowu byłem pełen nienawiści, że Waldowi jeszcze mało.

Teraz mogłem tak sobie ustawić pracę, że znajdowałem się niemal codziennie tam, gdzie Paul wysiadał z samochodu czy to przed szkołą, czy to przed domem. Nigdy nie odezwałem się do niego, ani on do mnie. Ale wiedział

dlaczego stoję przed nim. Przez pierwsze tygodnie takiego postępowania, widziałem w jego oczach strach. Myślał, że mu coś zrobię, tym bardziej, że mógł sądzić, iż właściwie nie mam już nic do stracenia. Potem przyszedł

czas, gdy bał się mnie już nie tyle fizycznie ile moralnie. Nienawiść do niego gdzieś się ulotniła, pozostała tylko chęć odegrania roli, być może trochę śmiesznej, zmaterializowanego wyrzutu sumienia. I myślę, że udało mi się go złamać, gdyż przestał dawać lekcje moralności i obywatelskiej postawy. Jestem być może zarozumiały, ale odnoszę wrażenie, że musiał z tym skończyć nie tyle z powodu głoszonych bezbożnych poglądów i prote-stu rodziców, ile na skutek mojej postawy.

Phil Larose zakończył swą opowieść, która sprawiała mu wyraźnie satysfakcję, szerokim uśmiechem. Uśmiechał się jeszcze, kiedy odstawił

szklankę po whisky.

- Dziękuję za relację, panie Larose, rzeczywiście pozwala mi ona 69

oceniać nieco inaczej postać Paula Walda, choć zacząłem mieć w tej kwestii własne zdanie, niewiele

odbiegające od pańskiej opinii - powiedział detektyw. - Nie zaprzeczy pan temu, że śmierć Walda sprawiła panu pewną przyjemność?

- Przyjemność to być może mało trafne określenie. Po prostu nie byłem zaskoczony, że tak właśnie skończył.

- Czy mam rozumieć, iż pan uważa jednak, że Wald popełnił samobójstwo? - spytał West.

- Ani pan, ani nikt inny nie ma żadnych dowodów świadczących o tym, że mogło być inaczej. Zmierza pan do tego, że Paul został zamordowany, prawda, poruczniku?

- Taki już mój fach. Tym bardziej że z tego, co już wiem, nie tylko pan zerwał stosunki z Waldem.

- To prawda - potwierdził Larose - nie tylko ja jeden nie rozmawiałem z nim przez ostatnie lata.

- Więc wracam do swego pytania - jak to się stało, że i pan przyjął je-go zaproszenie?

- Dla ścisłości muszę powiedzieć, że źle formułuje pan pytanie. Ani ja, ani jak mi wiadomo Leo Norman, nie przyjęliśmy zaproszenia na urodziny od Paula Walda. Gdyby się stał jakiś cud i on do mnie zadzwonił lub zaczepił na ulicy, zaproszenia z całą pewnością bym nie przyjął. Nie mógł-

bym przyjąć. Ale skoro do mnie zadzwonił stary Kent i widać było wyraż-

nie, że mu na tym spotkaniu zależy, więc zgodziłem się.

- Czy dlatego, że Artur Kent wspomniał, iż obecny będzie również profesor Wolsky? - spytał jeszcze West.

- Na pewno fakt ten miał swoje znaczenie. Pomyślałem i wiem, że Leo również, iż coś się kryje za tym zaproszeniem. Ale skoro jesteśmy przy tym i rozmawiamy jak sędzę w sposób szczerzy, chcę panu jeszcze coś powiedzieć, o czym mało kto wie w miasteczku i co dotarło do mnie może 70

dlatego, że jako zamiatacz zbieram nie tylko odpadki, ale również sporo plotek usłyszanych przypadkowo na ulicy. Stałem się taką częścią miejscowego krajobrazu, że gdy stoję na chodniku, nikt na mnie nie zwraca wła-

ściwie uwagi - zaśmiał się Larose.

- Ulica była zawsze znakomitym punktem obserwacyjnym - stwierdził

porucznik West. - Ale może mi pan powiedzieć o co chodzi?

- Otóż któregoś dnia, było to mniej więcej dwa miesiące temu, słysza-

łem jak nasz aptekarz, rozmawiając z jakąś kobietą, mówił, że stan zdrowia pana Kenta pogarsza się z dnia na dzień. Ta kobieta musiała mieć jakiś związek z naszym miejscowym teatrem amatorskim,

którym kieruje Kent, ponieważ aptekarz powiadał, że staruszek już niedługo będzie zajmował się premierą, gdyż jest on poważnie chory. Nie dosłyszałem nazwy choroby, ale musiało to być coś bardzo niedobrego, bo kobieta przyjęła wiadomość od naszego pigularza, notabene również aktora-amatora, z wyraźnym przejęciem.

- Czy pan sądzi, że Artur Kent wie wszystko o swym stanie zdrowia? -

spytał porucznik z nie ukrywaniem zainteresowaniem.

- Jeśli wie, to nie daje tego po sobie poznać.

- Rozumiem. Ale wróćmy do naszej sprawy. Zatem przyjął pan zaproszenie jedynie dlatego, że wyszło od Kenta?

- Tak.

- I co było dalej?

- Poszedłem do Walda o dziewiątej wieczorem, tak jak mnie o to prosił stary Kent. Byłem mocno zaskoczony tym, że oprócz Walda, nikogo jeszcze nie było. Dopiero potem dowiedziałem się, że już przede mną był na miejscu Norman, ale nie zabawił długo, tak jak i ja zresztą. W pierwszej chwili sądziłem, że inni się spóźniają. Ja z reguły jestem raczej punktualny.

- Zauważyłem. Przepraszam za spóźnienie i za to, że musiał pan 71

czekać w recepcji - powiedział porucznik.

- Nie miałem na myśli pana, poruczniku. Relacjonuję tylko przebieg tego wieczoru, tak jak mnie pan o to prosił. Więc przez chwilę stanąłem bez słów przed obliczem człowieka, który wyrządził mi tyle złego. I może to pana zdziwić, ale patrzyłem na niego całkiem obojętnie. Zaproponował, abym wszedł do środka, bo staliśmy przed domem. Nie bardzo miałem ochotę i zapytałem, kiedy przyjdą inni. Wald powiedział, że powinien wró-

cić Norman, który musiał pójść coś załatwić w zakładzie, że będzie jeszcze Kent, a także Murphy. Miał być również Ernest, to znaczy Wolsky, ale rano zadzwonił, że niestety został wezwany do stolicy, gdyż w ostatniej chwili, w związku z oficjalną podróżą premiera, został włączony w skład delegacji.

Słuchałem wyjaśnień Walda bez większego zainteresowania i w końcu zapytałem go, gdy wreszcie zgodziłem się wejść do salonu, z jakiej to okazji zorganizował tę całą imprezę.

- Przepraszam, że panu przerywam, ale czy przypomina pan sobie, kiedy do pana dzwonił Kent? - spytał porucznik West.

- To musiało być na trzy albo cztery dni przed tym przyjęciem. Ale najlepiej byłoby zapytać Kenta czy Wolsky'ego, oni najlepiej będą wiedzieli.

- Nie ma to większego znaczenia i nie chodzi o dokładność co do godziny. Po prostu chciałem wiedzieć czy pan był aż na tyle ciekawy, żeby czekać cztery dni na rozwiązanie zagadki tego bądź co bądź dziwnego dla pana zaproszenia.

- Panie poruczniku, życie nauczyło mnie być cierpliwym, choć nie ukrywam, że był moment, kiedy chciałem zatelefonować do Ernesta, aby zapytać go o co chodzi w tej całej historii.

- Ale nie uczynił pan tego? - spytał policjant.

- Nie. Czy mogę wrócić do przerwanej wątku? A więc na moje 72

pytanie o cel tego spotkania, Wald powiedział, że właściwie wszystkie wyjaśnienia miał złożyć Wolsky. Skoro jednak musiał nagle wyjechać, Ernest upoważnił go do tego, aby mówić w jego imieniu. Ponieważ widać było, że Paul już sporo wypił, co mu się od kilku lat coraz częściej zdarzało

- miałem już niejednokrotnie satysfakcję widzieć go zataczającego się w pobliżu domu - sądziłem, że raczej bełkoce niż mówi sensownie. Po chwili okazało się jednak, że Wald chciał mi zakomunikować, iż Wolsky miał nam dziś oświadczyć, że zabiera Paula do siebie do stolicy, że odtąd Wald miał

pracować w jednej z jego ekip badawczych. Jednym słowem Wald opuszcza miasteczko i zaczyna nowe życie, dlatego chciał się pożegnać z daw-nymi przyjaciółmi. Przyznaję, że mnie zatkało. A więc po to ten drań mnie tu ściągał - pomyślałem sobie. Byłem tak wściekły, że nie wiedziałem co czynić. Gdyby nie to, że sam z Wolskym rozmawiałem, pomyślałbym, że ta cała historia jest tylko pretekstem, aby zakpić z nas. Już chciałem mu wy-garnąć, co o tym myślę, ale Wald, który wyglądał na szalenie pewnego siebie, zaczął mówić takim tonem jakby stał za katedrą w swojej klasie.

Oznajmił na wstępie, że niebawem nie będzie go wśród nas i nie chciałby, niezależnie od tego co zaszło między nami, abym źle go wspominał lub coś w tym rodzaju. Musiałem zrobić jakiś gest wymownie mówiący, co ja o nim myślę, gdyż zaraz dodał, że lada dzień przekonam się, iż nie jest aż takim draniem za jakiego zapewne go mam. Właściwie po raz pierwszy przyznał

się do tego, o czym od dawna wiedziałem i żałowałem, że nie było przy tym żadnego świadka. Później mówił o zadośćuczynieniu, o pieniądzach, które mi się należą. Gdy zorientowałem się, że nie ma żadnej skruchy w tym co mówi, że właściwie w ogóle się nie zmienił - pysznił się wyraźnie tym, że będzie pracował z Wolskym, przynajmniej tak zrozumiałem - to przestałem panować nad sobą. Nie powiedziałem ani słowa, tylko szybko opuściłem 73

ten przeklęty dom. Gdy byłem w ogródku słyszałem jeszcze głos Walda, ale nie wiem czy mnie wołał, czy po prostu coś krzyczał - zakończył Larose.

- I przez cały czas byliście sami, nikt nie przyszedł z zaproszonych gości? - zapytał porucznik West.

- Nikt.

- A jak długo siedział pan u Walda?

- Dokładnie nie wiem, ale nie sądzę, żeby więcej niż dwadzieścia minut. Nie mogę powiedzieć, o której to było godzinie, nie później jednak niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć po dziewiątej. Aha, przypominam sobie jeszcze, że gdy wyszedłem na ulicę wydawało mi się, że widzę wóz Murphy'ego. Jeśli to był on lub jego kierowca, można będzie się dowiedzieć, która to była dokładnie godzina.

W tym momencie rozległ się brzęczyk telefonu. West podniósł słuchawkę.

- Tak, to ja, porucznik West... Bardzo mi miło... Jeśli panu to odpowiada, mógłbym być u pana jutro rano o dziesiątej... Nie, panie profesorze, to nie kwestia wiary, tak jak pan opieram się na faktach... Oczywiście, że nie są one jednoznaczne, ale chyba porozmawiamy o tym jutro... Tak, dziękuję. Dobranoc panu.

Porucznik odłożył słuchawkę, a na nieme pytanie Phila Larose'a odpowiedział, że właśnie dzwonił profesor Wolsky.

- Przyjechał do miasteczka na krótko i chciałby się ze mną zobaczyć natychmiast, gdyż nie podoba mu się to, co się tu dzieje - dodał jeszcze West.

- Czy mógłbym zadać panu pytanie, poruczniku?

- Słucham pana.

- Ze sposobu, w jaki pan ze mną rozmawiał wynika, że ma pan spore wątpliwości co do samobójstwa Walda. Chyba się nie mylę, prawda, poruczniku?

74

- Szczerze mówiąc i w pewnym sensie odpowiadając na pana pytanie, im dłużej jestem wśród protagonistów całej sprawy, tym bardziej przekonuję się, że, być może z wyjątkiem sierżanta Kennana, niemal wszyscy mają wątpliwości co do przebiegu dramatu. Weźmy pana, panie Larose, znał pan Walda bardzo dobrze, a zwłaszcza jego charakter. Czy pan naprawdę wierzy, że taki człowiek jak on, taki egocentryk, mógł popełnić samobójstwo?

- Tak. Ale nie dlatego, że miał siebie dość lub że coś mu się nie udało.

Okoliczności jego śmierci, fakt, że znajdował się pod wpływem alkoholu, to wszystko mogło wywołać typową dla niego i ludzi jego pokroju reakcję –

„Muszę mieć ostatnie słowo! Nie wierzyliście mi! Oszukał mnie Wolsky!

Niech moja śmierć spadnie na wasze głowy!” Tak właśnie Wald by rozumował - wyjaśnił Larose.

- Dlaczego uważa pan, że profesor Wolsky oszukał Walda? - spytał

policjant.

- Ja tego nie powiedziałem, poruczniku. Ja po prostu odtworzyłem to, co wynikało z ostatnich słów Paula. Wydawało mi się, że był przekonany, przynajmniej gdy ze mną rozmawiał, że Ernest wystawił go do wiatru. On sobie to wmówił, gdyż nie mógł pogodzić się z tym, że ktoś, nawet światowej sławy profesor Wolsky, mógł coś postawić wyżej od jego osoby.

Oczywiście, poruczniku, mogę się mylić, ale myślę jednak, że dobrze znałem Paula. Tylko taka sytuacja mogła doprowadzić go do depresji.

- Załóżmy, że pana ocena jest słuszna, że egocentryzm Walda mógł

wywołać takie skutki, jak więc wytłumaczyć to, co zrobił z korkami? -

zapytał dalej porucznik.

- Z czym? - zdziwił się Larose.

- Nie wie pan o tym, że Wald przed odkręceniem gazu wyłączył światło w całym domu, prawdopodobnie, aby nie doprowadzić do przypadkowego

wybuchu czy pożaru? Takie postępowanie świadczy raczej o jego szacunku dla bliźnich - stwierdził West.

- Rzeczywiście. I byłbym tym zaskoczony, gdyby nie pana ostatnia uwaga - nawet po śmierci Wald chciał, żeby o nim mówiono, w superlatywach, oczywista. Co jak widać mu się udało - dodał z uśmiechem Phil Larose.

Policjant spojrział na swego gościa i rzekł głosem tak cichym, iż mogło wydawać się, że mówi bardziej do siebie niż do stojącego przed nim męż-

czynny: - Nie wiem ile w pana wywodach jest słusznych uwag, wiem natomiast, że kogo jak kogo, ale Walda w sercu pan nie nosił.

Phil Larose raz jeszcze uśmiechnął się z dobrze już znaną policjantowi gorzką ironią i, po stwierdzeniu, że pora jest późna, zapytał czy już może sobie pójść. Na pożegnanie pierwszy wyciągnął rękę porucznik West.

Nagroda

stanowiła czołowy temat najświeższego

wydania lokalnej gazetki. Tuż pod winietą tytułową przypominającą wyglą-

dem liternictwo z końca ubiegłego stulecia widniał spory tytuł informujący czytelników, że sława miasteczka, profesor Ernest Wolsky, został laureatem Nagrody. W ramce, po lewej stronie portretu laureata, redakcja zamieściła tekst depešy nadesłanej przez premiera. Gratulacje składało także kierownictwo szkoły, której uczniem był kiedyś Wolsky. Obszerna informacja wspominała także o telegramach napływających z całego świata oraz o posłaniu burmistrza miasteczka do jego najznakomitszego obywatela. Dopiero na trzeciej stronie porucznik West znalazł mały felieton wydrukowany kursywą i podpisany pseudonimem „Sirius”, w którym autor (chyba sam redaktor gazety?) nie bez humoru i ze sporą dozą ironii komentował fakt, iż 76

ktoś w stolicy mógł pomyśleć, że w ich miasteczku miała miejsce zbrodnia.

Ostatnie zdanie przypomniało Westowi, że już zbyt długo siedzi tutaj, co mu zapewne wytkną po powrocie do stolicy. Autor pisał bowiem: „Pobyt w naszym miasteczku sympatycznego skądinąd oficera śledczego, który jak dotąd niewiele odkrył - co zresztą było do przewidzenia, gdyż miejscowa policja dawno już wszystko wyświeśliła - staje się przedsięwzięciem coraz bardziej kosztownym. Ciekawi jesteśmy, co o tym sądzą nasi podatnicy”.

Jadąc samochodem do willi profesora Wolsky'ego, Henry West czuł się wyraźnie speszony. Nie tyle z powodu zetknięcia się ze sławnym laureatem Nagrody, był on dla Westa takim samym świadkiem jak każdy inny, ile na skutek uświadomienia sobie, że sprawa, jaką się zajmuje niewiele się posunęła. Nauczony doświadczeniem, nie lubił, gdy prasa zajmowała się nim, gdyż z reguły nacisk tzw. opinii publicznej utrudniał mu pracę. Po przeczytaniu elukubracji dziennikarzy żądnych zawodowej sławy, świadkowie bywali albo zbyt rozmowni i to całkiem nie na temat, albo - co było charakterystyczne dla mniejszych zbiorowości ludzkich takich jak właśnie miasteczko, w którym bawił - woleli milczeć, żeby się nie narażać. Porucznik West miał świadomość, że mimo iż coraz więcej wie o śmierci Paula Walda i lepiej rozumie mechanizmy, które doprowadziły do niej, coraz trudniej będzie mu wyłożyć sprawę swoim przełożonym. Gdyby został przekonany, że rzeczywiście Wald popełnił samobójstwo w chwili depresji, musiałby przedłożyć prokuratorowi niezbite fakty obalające sugestie zawarte w li-stach anonimowych. Jego opinia o sprawie, stan jego świadomości nie mogą się liczyć, gdyż ważne są tu fakty, dowody. Tego właśnie żąda prokurator, tego żąda również miejscowa opinia, która jest zaintrygowana obecno-

ścią policjanta ze stolicy. Gorzej przedstawiałaby się cała sprawa, gdyby 77

jego wnioski miały charakter daleki od jednoznaczności. Nawet gdyby w miasteczku żył i działał jakiś morderca, to tu nikt w to nie uwierzy, dopóki nie zostanie to udowodnione. A nawet i wtedy...

Opis drogi prowadzącej do domu profesora Wolsky'ego i szkic doręczony przez sierżanta Kennana spowodował, że porucznik dojechał bez trudu, mimo że willa stała spory kawałek za miasteczkiem.

Był to budynek z bia-

łego kamienia składający się z dwóch asymetrycznych brył, tworzących dość oryginalną kompozycję, z całą pewnością najbardziej nowoczesną w okolicy. Wsiadając z wozu u szczytu podjazdu w kształcie długiej pętli, West przystanął na moment, aby rzucić okiem na całość niby to parku, niby to lasu, przez który jechał przed chwilą. Ponieważ nikt mu nie wyszedł na spotkanie, a drzwi z surowego drewna były zamknięte, oddalił się o kilka kroków, aby się lepiej przyjrzeć willi. Wtedy usłyszał z tyłu kroki i zanim się odwrócił odezwał się głos.

- Ładny dom, prawda? Architekt pracował według mojego projektu.

Przed Western, stał profesor Wolsky - wysoki, barczysty mężczyzna.

Uśmiechał się wyciągając rękę o lekko przybrudzonych ziemią długich palcach.

- Inspektor West? Miło mi pana poznać.

Te zdawkowe słowa wypowiedziane zostały w taki sposób, że przez chwilę policjantowi wydawało się, iż rzeczywiście gospodarz jest zachwycony jego wizytą. A przecież z doświadczenia porucznik wiedział od dawna, że nawet człowiek, który nic nie ma na sumieniu nigdy nie przyjmuje policjanta bez pewnej rezerwy. Może rzeczywiście Wolsky jest innego pokroju, żyje we własnym świecie, może dla niego pewne sprawy zwane życiem codziennym nie mają takiego znaczenia jak dla innych ludzi?

- Chciałbym panu złożyć gratulacje z powodu Nagrody - powiedział

78

West tonem jak gdyby bagatelizującym wyróżnienie, o którym wszyscy pisali i zapewne mówili, przynajmniej w miasteczku.

Wolsky wyglądał na beztroskiego człowieka, któremu w tej chwili nie w głowie skomplikowane wzory czy przełomowe odkrycia naukowe - ubrany był w stare welwetowe spodnie i koszulkę przypominającą górną część stroju amerykańskich piłkarzy. Gratulacje policjanta wyraźnie go poruszyły.

- Jest pan niezwykle miły. Muszę przyznać, że ta nagroda jest uwień-

zeniem całej mojej dotychczasowej działalności. I uważam, iż ona mi się należała. Może słyszał pan, poruczniku, że przy takich poważnych nagrodach odbywają się w kulisach niesmaczne przetargi. Mieszają się tu nie tylko zawiści kolegów mających te czy inne chody, ale również i polityka.

Jesteśmy krajem cieszącym się chyba powszechną sympatią, stąd przy przyznaniu mi Nagrody nastąpiła rzecz właściwie unikalna - została mi przyznana jednogłośnie. Ale ja tu pana nudzę swoimi sprawami, a pan przyszedł przecież nie po to, aby rozmawiać o mojej pracy - zakończył profesor.

- Rzeczywiście, ale tyle ostatnio o panu słyszałem, że chętnie porozmawiałbym jeszcze jak to się na przykład dzieje, że człowiek wyglądający zupełnie normalnie staje się wybitnym naukowcem.

- Inaczej mówiąc chce pan wiedzieć dlaczego ja, Ernest Wolsky, dokonałem wielu odkryć ważnych dla nauki i stałem się sławny, a kto inny, który miał te same możliwości, jak na przykład Paul Wald, nic nie zdołał i skończył raczej marnie - bardziej stwierdził niż spytał profesor.

Porucznik West uśmiechnął się: - Widzę, że z panem, profesorze, nie warto kluczyć. Lepiej po prostu walić prosto z mostu.

- Wiem przecież, w jakim celu pan tu do nas przyjechał i wiem 79

również, że czekał pan na mój powrót, aby porozmawiać o śmierci tego biednego Paula. Muszę od razu wyznać panu, że samobójstwo Paula było dla mnie poważnym zaskoczeniem.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że ma pan co do tego jakieś wątpliwości? - spytał skwapliwie policjant.

- Nie, źle pan mnie zrozumiał. Wierzę, że Paul mógł ze sobą skoń-

czyć, ale jeśli miało do tego dojść to albo o wiele wcześniej, albo za kilka lat. Myślę jednak, inspektorze, że lepiej będzie nam o tym rozmawiać przy dobrym trunku, a przede wszystkim w cieniu.

Profesor Wolsky wziął Westa pod rękę i zaprowadził go do altanki ukrytej po drugiej stronie willi. Usiedli w trzcinowych fotelach i nie pytając gościa profesor Wolsky zaczął przyrządzać jakiś koktajl.

- To moja specjalność. Może pan spokojnie pić, wygląda groźnie, ale jest raczej słaby. Nawet policjant - na służbie może to wypić.

- Widzę, że pan interesuje się wieloma dziedzinami życia: robi pan koktajl, projektuje wille, lubi pogrzebać w ziemi, co widać po pana rękach i stojących tu narzędziach. Czym pan się jeszcze zajmuje profesorze?

- Myślę. Po prostu myślę. I to nawet wtedy, gdy przyrządzam koktajl, albo, jak pan powiada, grzebię w ziemi. Wie pan, inspektorze, praca naukowca polega na tym, że zauważa on pewne rzeczy, które choć widoczne dla każdego, są zrozumiałe tylko dla niego. W chwili, gdy ich nie pojmuje zaczyna myśleć i kojarzyć, a następnie wyciąga wnioski. O ile wiem, wy policjanci również pracujecie według podobnej metody?

- Jest pan zbyt uprzejmy, profesorze, ale wydaje mi się, że oprócz metod naukowych, w naszym fachu ogromną rolę odgrywa zwykły przypadek oraz instynkt oparty na doświadczeniu - każdą zbrodnię można zasufladkować do określonych kategorii, a zatem przynależność do tej czy innej 80

kategorii bywa punktem wyjściowym do prawidłowych wniosków w nowo odkrytej zbrodni. Jak pan widzi, to bardzo proste - zakończył West sięgając po szklankę z kolorowym koktajlem.

- Ale bywają zbrodnie doskonałe - odrzekł Wolsky.

- To również określona kategoria - zaśmiał się porucznik zaraz dodając: - A czy w pana badaniach bywają sprawy, co do których nie może pan dopasować klucza, nie pasującego do żadnej kategorii?

- Tak, zdarzają się, ale i one zapładniają, tak jak zapładniają niektóre niesamowite pomysły będące na pierwszy rzut oka całkiem niedorzeczne.

Lekceważenie ich jest błędem, bo nawet wówczas, gdy człowiek z nich szydzi, to dokonuje doboru, a zatem zajmuje określone stanowisko na podstawie własnych doświadczeń i wiedzy. Taki rodzaj krytycznej analizy cudzych niedorzeczności należy również do pracy naukowej - dokończył

Wolsky.

- Nie bardzo pojmuję - przyznał się porucznik.

Ze stolika, na którym stały butelki z trunkami i owoce profesor Wolsky zdjął broszurkę i pomachał nią w stronę policjanta.

- Wyjaśnię, o co mi chodzi, na konkretnym przykładzie. W tym periodyku o naukowych ambicjach drukują się nie tylko przyszli lub byli laureaci renomowanych nagród naukowych, lecz również ludzie, którzy uważają, że mają coś do powiedzenia. To pismo ma rubrykę otwartą dla wszystkich, coś w rodzaju trybuny czytelników.

Oto, co jeden z nich pisze tu na temat świata, w którym i pan i ja żyjemy. Pozwoli pan, że zacytuję dłuższy wywód: „Nowoczesna superfizyka ma bardzo ciekawe koncepcje dotyczące naszego świata. Twierdzi ona, że wszechświat, jako jeden z wielu możliwych, tkwi wtulony w pięciowymiarowej praprzestrzeni, a przejście z jednego takiego świata do drugiego 81

byłoby teoretycznie możliwe, lecz tylko przy użyciu olbrzymiej energii.

Ponieważ w takiej praprzestrzeni nie istnieje ani czas, ani odległość, ani materia, można by przestrzenie o nieskończonej wielkości przebywać w czasie zerowym.

Według kosmologii Burkharda Heima można dziś już udowodnić bezspornie istnienie dalszych dwóch wymiarów poza naszymi trzema, z tym, że w wymiarze piątym istnieje pole entelechialne, którą to drogą następuje sterowanie wydarzeń w naszym wymiarze. Trochę to trudne do zrozumienia dla przeciętnego człowieka.

Teoria o innym świecie, istniejącym równoległe do naszego tak, że oba przenikają się nawzajem, od kilku lat już nie uchodzi za fantazję z powieści science fiction. Różni fizycy w to wierzą i są zdania, że taka teoria jest konieczna dla wytłumaczenia i uzasadnienia pewnych zjawisk, jak na przykład dziwne zachowanie się pewnych cząstek atomów, zwanych mezonami K, które prawdopodobnie są wytrącane z równowagi przez energie pochodzące z innego świata fizycznego”.

Po odczytaniu tego przydługiego cytatu, profesor Wolsky teatralnie westchnął. Porucznik West spytał, czy to, co przed chwilą usłyszał, ma jakiś sens.

- Z punktu widzenia naukowego moim zdaniem żadnego, natomiast jeśli o mnie chodzi, to wcześniej

czy później te mętne wywody o praprzestrzeni i pięciu wymiarach odezwą się w mojej podświadomości w postaci jakiejś sensownej hipotezy, nad którą zacznę potem pracować, nie pamiętając nawet z czego się zrodziła.

- Wygląda to trochę jak pojawienie się w organizmie przeciwciał w chwili zakażenia - stwierdził West.

- To bardzo trafne spostrzeżenie, inspektorze, i podejrzewam, że wy, policjanci, pracujecie na tych samych zasadach. Nawet fałszywa informacja czy mylna obserwacja w czasie śledztwa pozwala wam potem na wyciągnięcie 82

właściwych wniosków. Najczęściej wy to nazywacie intuicją, wówczas gdy chodzi o pracę mózgu eliminującego niepotrzebne pseudoinformacje.

Przez chwilę obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Pierwszy odezwał się West.

- Jeżeli dobrze pana zrozumiałem, Wald był człowiekiem, który nie miał szans zostać wielkim naukowcem. Wydaje się, że zdawaliście sobie obaj z tego sprawę. Przecież po studiach powrócił tu do miasteczka i po-

święcił się wyłącznie pracy dydaktycznej - stwierdził porucznik West.

- Tak rzeczywiście było z jedną tylko poprawką - Paul nie chciał być byle jakim naukowcem, bo był niesamowicie zadufany w sobie. Czy pan wie, inspektorze, że w czasie studiów ożenił się z cudownie piękną kobietą, która miała cały zastęp adoratorów?

- Tak, wiem że się ożenił z córką waszego burmistrza.

- Otóż fakt ten miał, jak się okazało później, istotne znaczenie dla dalszej drogi życiowej Paula. Nie wiem na jakiej podstawie doszedł do takiego wniosku, ale w pewnej chwili wyobraził sobie, że skoro udało mu się ożenić z dziewczyną tak wspaniałą jak Maud, to jest człowiekiem niezwykłym i wcześniej czy później zostanie kimś wielkim. Ożenek z Maud spotęgował

pewne skłonności egocentryczne, które miał zawsze i które spowodowały, że większość kolegów nie nosiła go w sercu.

- Czy mogę zadać panu jedno pytanie? - przerwał policjant - Czy pan kochał się w Maud Murphy?

Profesor Wolsky spojrział na porucznika jakby chciał wyczytać jego intencje, następnie odparł:

- Chyba tak. Myśmy wszyscy byli w niej zakochani i każdy z nas chyba przeżył fakt, że została żoną Paula.

Policjant nie skomentował od razu słów Wolsky'ego. Zapalił papierosa i sięgnął ręką po szklankę tak jakby chciał, aby jego rozmówca mógł się 83

przygotować na pytanie, które za chwilę miało paść.

- Widzę, że na dobrą sprawę pan również nie lubił Walda. Nie, niech pan mi nie przerywa. Może sformułuję swoją myśl inaczej: skoro nie miał

pan powodów, aby traktować Walda jak przyjaciela, czym tłumaczyć, że pan pośredniczył w zorganizowaniu tego przyjęcia, które tak fatalnie się skończyło...

- To żadna tajemnica - zaczął Wolsky.

- Proszę mi nie przerywać. Chciałbym jeszcze wiedzieć co pan obiecał

Waldowi, gdyż nie ulega wątpliwości, że liczył on na coś, co spowodowało, że w ostatnich dniach życia Wald zaczął się zachowywać inaczej niż zwykle. Zna pan zapewne finał sprawy z Larose'm - dokończył porucznik.

- Oczywiście. Może zacznę od końca pana pytania. A więc Wald od dość dawna prosił mnie o pomoc w wydostaniu się z miasteczka. Im bliżej był czterdziestki, tym bardziej dochodził do przekonania, że mógłby coś jeszcze działać na polu naukowym. Wiedziałem, że się myli, gdyż właśnie ten wiek jest początkiem końca dla badacza. Ale nie mogłem mu odmówić, ponieważ wiedziałem, że jako matematyk mógł być mi przydatny w którejś z moich ekip badawczych. Zatrudniam tam i studentów i ludzi po pięćdziesiątce, od których nie wymaga się samodzielnego myślenia, lecz po prostu dokładności w sprawdzaniu tego co ja i moi najbliżsi współpracownicy wymyśliliśmy. Być może za dużo naobiecowałem Paulowi, bo spostrzegłem w pewnej chwili, że zaczyna on myśleć o karierze u mojego boku. Było za późno, aby się wycofać z obietnicy, tym bardziej, że w związku z tymi planami, Paul zaczął regulować pewne sprawy, które ciążyły na jego życiu i sumieniu. Mam między innymi na myśli sprawę Phila, o której dowiedzia-

łem się zresztą dopiero w chwili, gdy Paul mnie prosił o pośredniczenie w tej jego urodzinowej maskaradzie. Rozumiałem jego intencje, ale wyznam, 84

że to wszystko mi się nie podobało. Z ulgą przyjąłem depeszę ze stolicy w sprawie towarzyszenia premierowi w jego oficjalnej podróży. Tak, przyznaję, że to wyglądało na dezercję, ale nie bardzo wyobrażałem sobie wielkiej sceny z ostatniego aktu pod tytułem „kochajmy się bo nadeszła chwila wy-baczenia”. Wie pan, inspektorze, nigdy nie przepadałem za operą - zakoń-

czył Wolsky.

- Jeśli dobrze pana zrozumiałem, pana propozycja zabrania Walda do stolicy była podyktowana litością? - spytał jeszcze policjant.

- Można to i tak nazwać, choć sądzę, że w każdym człowieku tkwi chęć dopomożenia komuś. Niekiedy jednak żałuje się takich posunięć. Wie pan zapewne, że ludzie nie lubią być dłużni. Mają często żal do tych, którzy im pomogli, a żal ten przeradza się niekiedy w nienawiść.

- Skoro mamy jasność w tej kwestii może nie nazbyt jasno przedsta-wionej w raporcie sierżanta Kennana, chciałbym zadać kolejne pytanie tym razem w sprawie różnych pór zapraszania

uczestników tego co pan nazywa

„ostatnim aktem”. O ile wiem, to pan, panie profesorze, zapraszał

Murphy'ego, Larose'a i Normana, jak również zresztą Artura Kenta?

- Nie, Kenta zaprosił osobiście Paul. Co do innych wszystko zgadza się w pełni. Paul do mnie przyjechał i powiedział, że w związku z naszymi planami, tak, powiedział wówczas „naszymi”, chciałby zorganizować coś w rodzaju przyjęcia, zaprosiłby dawnych kolegów, którym uczynił kiedyś krzywdę, a także ojca Maud i starego Artura. Powiedziałem mu wówczas, że pomysł nie wydaje mi się najlepszy, gdyż wiem co wszyscy o nim myślą.

Zaperzył się i oświadczył, że za kilka dni są jego urodziny i chciałby zrobić prezent kolegom, a w szczególności Philowi Larose'owi. Wtedy to spostrzegłem, jaki Wald był w rzeczywistości. Ale nie mogłem się wycofać.

85

Czułem, że jeśli tu zostanie po moich obietnicach, to może dojść do nie-przyjemnych rzeczy. Zgodziłem się więc pomóc mu w organizowaniu tego widowiska, ale nie chcąc, uczestniczyć we wszystkim zasugerowałem, żeby porozmawiał w pojedynkę z poszczególnymi zaproszonymi osobami. Zgodził się chętnie pod warunkiem, że przybędę, gdy będzie po wszystkim.

Stąd dzwoniąc do zaproszonych gości prosiłem ich, aby przybyli w różnych godzinach. Wald miał z nimi rozmawiać na osobności. Nie pamiętam tylko który o jakiej porze miał przybyć, bo nie przypuszczałem, że to wszystko skończy się tak, że będzie musiał przybyć specjalnie inspektor ze stolicy.

Dopiero teraz porucznik West wyjaśnił Wolsky'emu, że nie jest inspektorem.

- Wie pan, profesorze, w policji to trochę tak jak u was, wśród naukowców, docent lubi gdy do niego mówi się „profesorze”, gdyż zakłada, że nim kiedyś zostanie. Mnie to na razie nie grozi, gdyż mając na głowie taką sprawę jak śmierć Walda nie prędko przełożeni pomyślą o awansie.

- Czyż mam rozumieć, że ma pań wątpliwości, co do samobójstwa Paula? - spytał zatroskanym głosem profesor.

- Nie mam żadnych wątpliwości co do przyczyn śmierci pana niedoszłego współpracownika, ale nie wiem jeszcze jak ją wyjaśnić prokuratorowi. Jak już powiedziałem tak jak w pańskiej, w mojej pracy nie liczą się same hipotezy, lecz twierdzenia podparte niepodważalnymi faktami i do-wodami.

Maszyna

do pisania, przy pomocy której napisane zo-

stały anonimy odnalazła się szybciej niż mógł przypuszczać porucznik West. Znając nastawienie Kennana, mógł sądzić, że szef miejscowego 86

posterunku policji nie będzie się chciał wykazać nadgorliwością. Był w końcu człowiekiem mocno związanym z miasteczkiem „gdzie nic się nigdy nie zdarzyło”. A listy anonimowe spowodowały, że pojawił się w jego rewirze wścibski policjant ze stolicy. Mimo więc tych oporów górę wzięła zawodowa solidność, a być może również i chęć dokonania czegoś, co zоста-

łoby pozytywnie ocenione przez przełożonych i mogłoby mieć wpływ na awans. Ponadto, czego nie ukrywał w rozmowach z ludźmi z otoczenia burmistrza, miał nadzieję, że po wykryciu autora anonimów, który z całą pewnością nie miał nic konkretnego do powiedzenia na temat śmierci Paula Walda, przekona on ostatecznie porucznika Westa, że to było naprawdę samobójstwo.

Po zebraniu próbek ze wszystkich znanych w miasteczku maszyn do pisania - nikt zresztą nie przypuszczał, że jest ich aż tak wiele, Kennan sądził, iż będzie miał do czynienia najwyżej z tuzinem tych urządzeń, a nie z pięć-

dziesięcioma. Jak się potem okazało - tylko trzy próbki odpowiadały krojem i rozmiarem czcionek przywiezionych przez Westa listów anonimowych.

Jedna z tych maszyn znajdowała się w sekretariacie biblioteki publicznej i sierżant sądził w pierwszej chwili, że ona jest właśnie corpus delicti, ponieważ każdy właściwie miał do niej dostęp. To odkrycie zmartwiło go, gdyż zdawał sobie sprawę, że wykrycie autora listów będzie w tej sytuacji niemal niemożliwe, gdyż wchodziło się do biblioteki jak do młyna. Prowadząca publiczny księgozbiór często bywała nieobecna, gdyż pełniąc przede wszystkim funkcję pielęgniarki, jeździła po okolicach, aby robić zastrzyki lub opatrunki. Od lat miejscowi miłośnicy lektury zawierali z nią cichą umowę, na mocy której oddawali sami przeczytane książki i sami zabierali kolejne pozycje. Nie było wypadku, aby jakaś książka ginęła, nawet 87

wówczas, gdy amator lektury zapominał się wpisać do kartoteki. Sierżant Kennan martwił się więc tym, że może tryumfować detektyw ze stolicy, gdyż wybór owej maszyny świadczyłby, że autor listów anonimowych był

kuty na cztery nogi i wiedział, którą maszynę wybrać, aby nie zostać wy-kryty. Przypadek zrządził, że jego rozmowę na ten temat z sekretarzem burmistrza i redaktorem miejscowej gazetki w jednej osobie usłyszał Artur Kent, który akurat coś załatwiał w ratuszu. Poprosił o fotokopię listu anonimowego, i, po dłuższym przestudiowaniu doręzonego tekstu, stwierdził, że list został jego zdaniem raczej napisany na starym „remingtonie” z redakcji gazetki szkolnej niż na maszynie z biblioteki. Jeszcze raz porów-nano fotokopię anonimu z próbką ze szkolnej maszyny i sierżant Kennan miał już teraz niezbitą pewność, że trafił na to, czego szukał. Pomyślał, że tym razem przekona Westa o nikłym znaczeniu anonimów, gdyż nie ulegało wątpliwości, że autorem listu musiał

być jakiś smarkacz ze szkoły.

- Skąd taka pewność? - spytał porucznik West, gdy mu to oznajmił

sierżant Kennan.

- A stąd, że maszyna jest w zamkniętym pomieszczeniu i dostęp do niej mają tylko ci, którzy redagują szkolną gazetkę ścienną— odparł pewnym głosem sierżant.

- Może masz rację, ale jak to się stało, że nie wpadłeś na to od razu?

- Trzeba było od czegoś zacząć. Miałem trzy możliwości, zacząłem od maszyny z biblioteki publicznej, która ma bardzo podobne - czcionki. Okazało się jednak, po bliższej analizie, że to mylny trop. Pomógł mi tu przypadkiem stary Kent - tyle dodał jeszcze Kennan, który jednak nie chciał, aby kolega ze stolicy myślał, że tylko przypadek mu pomógł, a nie intensywna praca myślowa. Ostatnia uwaga Teda zainteresowała Westa:

- Zwróciłeś się do niego w tej sprawie? - spytał.

88

- Niezupełnie. Po prostu coś tam usłyszał o moich poszukiwaniach: poprosił mnie, abym mu pokazał fotokopię listu. Wydał się być bardzo zdziwiony, a potem się uśmiechnął i powiedział, że wie na jakiej maszynie list został napisany. Okazało się, że stary ma całkiem zdrowy wzrok i niezłą pamięć, bo rzeczywiście przekonałem się, sam, że chodziło o starego „re-mingtona” z redakcji szkolnej gazetki.

- Który list mu pokazałeś? - zapytał jeszcze West.

- Chyba ten z rzymską jedynką, bo był na wierzchu. Czy to ma jakieś znaczenie? - spytał teraz Kennan
- przecież oba listy zostały napisane na tej samej maszynie, sami to stwierdziliście w waszych laboratoriach.

- Tak, masz rację, nie ma to większego znaczenia - zgodził się porucznik i spytał jeszcze: - I co dalej zamierzasz robić w tej sprawie?

- O czwartej przyjdzie do mnie Kent z redaktorem gazetki. Zgadnij kto to jest? - dodał jeszcze sierżant wyraźnie zadowolony z siebie.

- Wiadomo - Jo Warren - stwierdził spokojnie West.

Odpowiedź porucznika tak zaskoczyła Kennana, że dosłownie zaniemówił. Dopiero po chwili był zdolny do dalszej rozmowy.

- Na Boga, Henry, skąd o tym wiesz?!

- To bardzo proste, jakby powiedział Sherlock Holmes do doktora Watsona - nie znam nikogo ze

szkoły oprócz Jo Warrena, a skoro chodziło o redaktora gazetki szkolnej i jeszcze pytasz, abym zgadł, to rzeczą oczywistą było, że chodziło o kogoś znajomego. Prawda, że proste?

Sierżant zgodził się, że rzeczywiście było to proste, a on na to nie wpadł

tylko dlatego, że ma głowę zaprzątniętą różnymi sprawami.

- Ty jesteś w lepszej sytuacji, Henry, masz tylko tę sprawę na głowie, a ja muszę interesować się wszystkim w miasteczku, zaglądać do farmerów nawet, jeżeli nic się nie dzieje - sierżant Kennan zamyślił się chwilę, 89

wreszcie przyznał uczciwie - To prawda, że u nas nic się nie dzieje, ale gdybym nie podjechał nowym wozem pod domy wyborców, zaraz pytaliby Murphy'ego na co idą ich pieniądze, nawet jeżeli mają świadomość, że to wyrzucony grosz. A poza tym, gdy mnie widzą czują się bezpieczniej -

zakończył skromnie sierżant, co wywołało uśmiech na twarzy porucznika.

- Ted, czy mógłbyś dać mi teczkę z anonimami zanim młody Warren tu się zjawi? Chciałbym jeszcze coś sprawdzić - poprosił West.

Teraz, gdy przypuszczano, kto jest autorem pierwszego listu do prokuratora, porucznik West lepiej rozumiał sens słów wypisanych na zwykłym papierze maszynowym.

„Do pana prokuratora okręgowego,

W naszym miasteczku zdarzyło się nieszczęście. Miejscowy nauczyciel ma tematyki Pa ul Wald popełnił samobójstwo. Otruł się gazem świetlnym (tak, tylko uczeń może coś takiego napisać, używać słowa żywcem wyjętego z podręcznika szkolnego: „gaz świetlny otrzymuje się z destylacji węgla kamiennego, składa się głównie z wodoru, metanu i tlenku węgla...”) Tak przynajmniej brzmi oficjalna wersja raportu policyjnego. Są tu jednak oby-watele, którzy mają w tej kwestii inne zdanie. Do nich należy niżej niepodpi-sany - nie podaję swego nazwiska nie z obawy przed jakimiś konsekwencjami, lecz dlatego, że nie zależy mi na rozgłosie. Chodzi mi tylko o to, aby sprawiedliwości stało się zadość. (Oj, ale szeryf nam się tu znalazł!) Swoje przekonanie o tym, że Paul Wald mógł nie umrzeć śmiercią naturalną opieram na tym, że dobrze znałem denata (skąd u

pewnie z jakiegoś kryminatu). Charakteryzował się on niezwykle 90

pedanterią i jeśli postanowił pożegnać się z tym światem, zostawiłby jakiś list pożegnalny, a w miasteczku panowałby porządek. Ponadto, a o tym wszyscy u nas wiedzą, Paul Wald miał w miasteczku kilku wrogów, co do których wiem, że cieszyli się jego śmiercią, jeśli się do niej nie przyczynili”.

List ten niczego więcej nie zawierał. Nie było nawet daty.

- Czy możesz mi powiedzieć, kiedy w miasteczku stało się powszechnie wiadomo, że Wald zostawił testament? — zwrócił się porucznik do Kennana.

- Już na drugi dzień. Nie było powodów do zachowania tajemnicy skoro wszyscy wiedzieli, że popełnił samobójstwo - powiedział sierżant jakby się tłumacząc.

- Rozumiem.

Porucznik West wyjął z teczki fotokopię drugiego listu anonimowego.

Pisany był na identycznym papierze i nie ulegało wątpliwości, że na tej samej maszynie. Porucznik pomyślał sobie, że dla całkowitej pewności trzeba będzie przeprowadzić ekspertyzę po zakończeniu sprawy. Zaczyna się też w identyczny sposób:

„Do pana prokuratora okręgowego,

Jak już panu wiadomo, śmierć Paula Walda budzi sporo zastrzeżeń.

Miejscowa policja jest zdania, że chodzi tu o samobójstwo, a nawet krążą pogłoski, że mógł to być nieszczęśliwy wypadek. Niżej nie podpisany sądzi jednak, że pełne wyjaśnienie sprawy mogłoby nastąpić dopiero po tym, gdy ktoś obiektywny, nie będący związany z miasteczkiem zainteresuje się sto-sunkami łączącymi denata z następującymi mieszkańcami miasta: Leo Normanem, Philem Larose'em, Ernestem Wolskym, Arturem Kentem i Peterem E. Murphym.

Z poważaniem”.

91

Porucznik West podniósł głowę znad fotokopii i spojrzał na Kennana, który coś układał w bocznych szufladkach biurka. „Pewnie, że ten list nie mógł się spodobać Tedowi” pomyślał West - „Autor dał wprost do zrozumienia, że nie ma zaufania do szefa miejscowego posterunku policji. Ja natomiast przybyłem tu w aureoli sprawiedliwego, który wszystko wyja-

śni”. Porucznik chciał zapytać Kennana, czy domyśla się dlaczego autor anonimów uważał go za mało obiektywnego. Czy rzeczywiście chodziło wyłącznie o to, że w miasteczku wszyscy się znali? A może wątpiono w zdolności sierżanta? West nie wiedział jednak jak postawić to pytanie obawiał się bowiem, że Ted mógłby się obrazić. Porucznik doszedł do przekonania, że nie warto pytać, gdyż i tak dziś, w czwartym dniu jego, pobytu w miasteczku, wie już sporo o jego mieszkańcach, a zwłaszcza o ludziach wymienionych w anonimie.

Zapukano do drzwi.

- Proszę, wejść Jo - powiedział sierżant.

W drzwiach pokoju ukazał się jednak ktoś o wiele starszy.

- O, to pan, Arturze. Widzę, że przyszedł pan z Jo.

Sierżant był zdziwiony i rzucił okiem na Westa szukając u niego pomocy. W takich sprawach policja nie lubi rozmawiać w obecności świadków.

Ale porucznik zrobił przyzwalający ruch ręką. Kennanowi wydawało się nawet, że West jak gdyby się uśmiechnął.

- Proszę spocząć - powiedział sierżant przysuwając krzesło w stronę Kenta - A ty, Jo, przynieś sobie krzesło z korytarza.

- Nie, dziękuję, panie sierżancie. Mogę stać - odparł Warren.

- Jak uważasz. No więc od czego zaczniemy?

- Może od tego - podjął West - że należy stwierdzić, iż pisanie listów anonimowych do władz nie jest czynem karalnym, jeżeli owe listy mają 92

na celu przyjsie władzom z pomocą. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa, jeżeli anonim został napisany po to, aby komuś szkodzić lub po to, aby wprowadzić policję w błąd. Przypominam o tym jedynie dlatego, żeby była jasność. Tyś to napisał, prawda, Jo? - zakończył porucznik wyciągając kartkę papieru w stronę Warrena.

Uczeń rzucił szybko okiem na fotokopię. Nie spuścił głowy jak tego oczekiwał Kennan. Patrzył prosto w oczy porucznika.

- Tak, ja to napisałem. Niemal od pierwszej chwili, gdy wszedłem do domu profesora Walda, miałem uczucie, że coś jest nie w porządku a chyba się nie myliłem, skoro pan porucznik przyjechał natychmiast do miasteczka po otrzymaniu listu.

- Drogi chłopcze - wtrącił się Artur Kent - popełniasz klasyczny błąd często omawiany w podręcznikach logiki formalnej. Mylisz przyczynę i skutek. To, że porucznik West przybył do miasteczka nie dowodzi, że Paula Walda zamordowano. Dowodzi jedynie, że prokuratura, a następnie policja zechciały tylko sprawdzić fakty zawarte w liście. Czy zgadza się pan ze mną, poruczniku?

- Tak, proszę pana, po to rzeczywiście przybyłem. Jo, chciałbym za-dać ci pytanie: skąd nabrałeś takiego przekonania, że Paul Wald nie popeł-

nił samobójstwa?

- Jak już pan wie, należałem do nielicznych uczniów, których profesor Wald darzył zaufaniem, a może nawet i sympatią. Miałem z nim liczne kontakty, chodziłem na czwartkowe spotkania matematyczne. Odbywały się niekiedy w szkole, a niekiedy u niego w domu. Zbieraliśmy się w salonie, a tam panował zawsze idealny porządek. Nie tak jak wtedy gdy wszedłem, aby stwierdzić, że otrul się gazem. Ale to nie wszystko, tym bardziej, że można zrozumieć częściowo bałagan, gdyż poprzedniego dnia profesor Wald obchodził urodziny i zaprosił gości...

- Skąd o tym wiedziałeś? - przerwał porucznik West.

- Dokładnie nie pamiętam. Ktoś musiał o tym powiedzieć. Nie wiem tylko czy to było po, czy przed śmiercią.

- No dobra, mów dalej - zachęcił Warrena policjant.

- Jeśli napisałem list dwa dni po śmierci profesora Walda, to tylko dlatego, że musiałem się zastanowić. I im bardziej myślałem nad tym, tym bardziej przekonywałem się, że muszę zawiadomić władzę.

- Dlaczego nie zwróciłeś się bezpośrednio do mnie? - spytał niemal żalonym głosem sierżant Kennan.

Cień uśmiechu na wargach ucznia był jedyną odpowiedzią na niezręczne pytanie miejscowego przedstawiciela prawa. Jo Warren podjął temat w tym miejscu, gdzie mu przerwał sierżant.

- W przededniu śmierci, rano w szkole, profesor Wald zapowiedział, że następnego dnia będziemy mieli pracę kontrolną. Profesorowi chodziło o to, aby nasza szkoła dobrze wypadła przed okręgową komisją egzaminu dojrzałości. Czy człowiek, który zamierza skończyć ze sobą zajmuje się taką sprawą? - zakończył pytaniem Jo Warren, przybierając pozę człowieka, który ma pełną świadomość, iż wysunął argument nie do obalenia.

- Trzeba przyznać, że jest w tym jakaś logika, prawda panie Kent? -

zauważył porucznik West. - No cóż Jo, myślę, że w pewnym sensie pomogłeś nam w rozwikłaniu sprawy. Lepiej teraz będzie jak wyrzucisz kopię swego listu. Dziękuję, jesteś wolny - zakończył West uśmiechając się i puszczając oko w stronę Warrena.

- Chciałbym zadać jeszcze pytanie i przyrzekam, że nic nikomu nie powiem - powiedział uczeń.

- Domyślam się jakie, chłopcze, ale nie mogę na nie odpowiedzieć.

Choćby dlatego, że gdy mówi się „a”, trzeba również powiedzieć „b”. A tego jeszcze nie możemy.

- To znaczy, proszę pana, że co do „a”, to już ma pan pewność, tylko 94

nie wie pan jeszcze kim jest „b”, czy tak?

- Idź już, Jo, bo jeszcze się rozmyślimy i zatrzymamy ciebie - roze-

śmiał się West. Wyraźnie widać było, że polubił chłopca za jego bystrość.

Drzwi zamknęły się za Jo Warrenem. Wszyscy trzej siedzieli na swych miejscach. Po chwili odezwał się sierżant Kennan.

- No dobra, Henry, ale czy możesz mi powiedzieć dlaczego mówiłeś tylko o jednym liście? Dlaczego nie pytałeś go skąd on wytrzasnął wszystkie te nazwiska? Przecież on tego chyba nie wymyślił, to mogło być dla nas ważne - dokończył z wyraźnym wyrzutem.

Ignorując słowa sierżanta, Henry West zwrócił się do Artura Kenta, któ-

ry przez cały czas siedział w milczeniu jak gdyby myślami był daleko od tego, co działo się w gabinecie szefa posterunku policji.

- Myślę, proszę pana, że należą nam się pewne wyjaśnienia - odezwał się West.

- Gotów jestem odpowiedzieć na każde pytanie, oczywiście pod warunkiem, że będę znał odpowiedź - odparł spokojnie starszy mężczyzna.

- Kiedy wpadł pan na pomysł napisania drugiego anonimu? - spytał porucznik.

- Oczywiście, że po zapoznaniu się z treścią listu Jo Warrena.

- Znalazł pan kopię?

- Niezupełnie. Zauważyłem, że Jo zostawił światło w pokoju, w któ-

rym zbierali się uczniowie redagujący gazetkę. Jak panowie wiedzą mieszkam niedaleko szkoły i wieczorami lubię spacerować. Upały mnie męczą, bo wtedy oddycham z trudem. Wszedłem więc do pokoju chcąc zgasić światło, ale poczułem dym papierosowy - chłopcy zwłaszcza klas maturalnych niestety lubią palić nawet na terenie szkoły - i zajrzałem do kubła na śmieci. Wtedy zauważyłem świeżą kalkę i z ciekawości rzuciłem

na nią okiem. Reszty pan się już domyśla, prawda poruczniku?

Opowieść Artura Kenta nie wywołała u porucznika Westa żadnego wra-

żenia, tak jakby policjant wiedział od dawna o wszystkim. Inaczej natomiast miała się rzecz z Kennanem, który, choć jeszcze wszystkiego nie pojmował, zaczynał rozumieć, że jest świadkiem ważnego wydarzenia mającego ścisły związek ze sprawą, nad którą pracowali od kilku dni.

- Tak, termin „domyślam się” jest bardzo trafny. Ale wolałby, żeby pan sam nam to wszystko bliżej wyjaśnił - odparł porucznik West.

- Gdy zrozumiałem, że ktoś napisał anonim do stolicy - wtedy nie wiedziałem na pewno, że to Jo Warren. Na drugi dzień - doszedłem do przekonania, że ktoś wcześniej czy później przyjedzie tu z ramienia prokuratury. Będąc przekonany, że Wald nie został zamordowany, że rzeczywi-

ście popełnił on samobójstwo, napisałem drugi list.

- Nic nie rozumiem, Arturze - przerwał sierżant Kennan - skoro był

pan zdania, tak jak wszyscy zresztą, że Wald sam skończył ze sobą, to po co pan napisał list, w którym zachęca pan policję do zainteresowania się okre-

ślonymi osobami. Przecież to nie ma sensu?

- Pozornie, Ted, tylko pozornie - wtrącił się West. - Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Artur Kent skinął głową na znak zgody.

- Jeżeli dobrze wszystko zrozumiałem, pan Kent wystosował do prokuratury drugi anonim z nazwiskami osób mających coś wspólnego, z Waldem po to, aby uniknąć może nie tyle większego skandalu, ile szerszego śledztwa. Wychodził z założenia, że po pierwszym liście ktoś ze stolicy będzie musiał przyjechać i ten ktoś zacznie szperać zahaczając o wiele osób. Podając nazwiska zaproszonych na uroczystość urodzinową, o któ-

rych byśmy i tak się dowiedzieli, ale dopiero po licznych, jałowych dla 96

sprawy, rozmowach, pan Kent pragnął, abyśmy szybciej się uporali ze wszystkim i abym się stąd wyniósł jak najprędzej. Zgadza się pan ze mną, panie Kent?

- Tak, poruczniku. Liczyłem na to, że po rozmowach z zainteresowanymi przekona się pan, że list napisany przez chłopca nie opiera się na żadnych rozsądnych podstawach i że Wald rzeczywiście popełnił samobójstwo.

Wiedziałem również, że jeżeli policja dojdzie jednak do wniosku, iż coś nie jest w porządku ze śmiercią Walda, to zacznie przede wszystkim szukać w tym właśnie kręgu ludzi. A przecież wiem najlepiej, że nikt z wymienionych nie mógł popełnić zbrodni.

- Czy pan jest rzeczywiście o tym przekonany, panie Kent? - spytał

porucznik West.

- Tak, proszę pana, wierzę, że zbrodni nie było.

Telefon

zadzwoił w chwili, gdy Leo Norman za-

mierzał udać się do domu. Na ogół w poniedziałki nie bywał w zakładzie, a zwłaszcza po południu, ale od czasu kiedy nad miasteczkiem „stało słoń-

ce”, jak powiedział burmistrz, wolał siedzieć w chłodzie klimatyzowanego pomieszczenia biurowego niż w swoim starym domku z grubego, nagrzanego kamienia. Jeśli ktoś dziś zastał go w zakładzie, to zapewne dlatego, że wiedziano, iż w ostatni poniedziałek miesiąca sprawdza księgi i reguluje czynności płatnicze. Norman był zawsze bardzo dokładny i nie mógłby dopuścić, aby bank go upominał o zwłokę. Leo Norman podniósł słuchawkę.

- Zakład pogrzebowy Normana.

Zamiast odpowiedzi Leo usłyszał chrobot w aparacie, a następnie 97

sapanie. Zawołał ze dwa razy „halo, halo” i już chciał odłożyć słuchawkę, gdy wreszcie usłyszał jakiś głos:

- Proszę zaraz przyjechać do farmy pani Brown, Jenifer Brown. Tak powiedział pan doktor:...

- Kto mówi?

- Parobek pani Brown.

- Co się stało, u licha? - spytał Norman doskonale wiedząc, jaka będzie odpowiedź. Wiadomo przecież po co do niego ludzie dzwonią.

- Ona nie żyje. Doktor powiada, że chyba od soboty.

Leo Norman zaklął i pomyślał, że będzie miał cholerną robotę przy tym upale.

- Proszę powiedzieć doktorowi, że zaraz jadę. Wezmę tylko potrzebne rzeczy.

Dopiero po odłożeniu słuchawki, Norman zdał sobie sprawę, że nie bardzo pamięta, gdzie znajduje się farma Jenifer Brown. Zadzwoił do urzędu pocztowego i uświadomił sobie, że go czeka niezły kawałek drogi. Weźmie od razu karawan, przynajmniej uchroni się przed żarem. Chciał zadzwonić jeszcze do sierżanta Kennana, ale telefon posterunku był jak na złość stale zajęty. Z szafy Norman wyjął świeżą koszulę i ciemny krawat. Ubierze się dopiero po drodze, tuż przed wejściem do domu zmarłej. To robi dobre wrażenie na krewnych, jeśli już zdołali się zjawić. Oni to w końcu płacą... A i sąsiedzi, jeśli się zjawiają, muszą odnieść jak najlepsze wrażenie, bo w końcu

cu wcześniej czy później będą jego klientami.

Jadąc wolno samochodem - nie wypadalo, aby karawan zachowywał się na szosie jak mustang - Norman rozmyślał nad tym jak spędzi ostatnie lata życia. Od czasu, gdy stał się dzierżawcą, a następnie właścicielem zakładu pogrzebowego, zdołał zaoszczędzić całkiem okrągłą sumkę. Jeszcze ze dwa, trzy lata pracy i będzie mógł sprzedać interes. Złapał się na myśli, że 98

jeśli teraz zastanawia się nad tym poważniej, jeśli podejmuje właściwie decyzję o wyjeździe z miasteczka, to głównie dlatego, że Paul nie żyje. Był

czas, gdy miał ochotę go usunąć spośród żywych. Później, gdy został wła-

ścicielem zakładu pogrzebowego rozkoszował się myślą, że być może w tym karawanie będzie wiozł trumnę z ciałem Walda. A teraz, gdy jest już po wszystkim, uprzytomnił sobie, że w czasie pogrzebu Paula zachowywał się tak jak przy innych pogrzebach. Stał się niewolnikiem zasad i rytuałów obowiązujących w jego fachu. Czas wyzwolić się od tego! Być może pogrzeb starej Jenifer będzie jego ostatnim zajęciem. Chociaż mówi się, że bardzo kiepsko jest z Kentem. Nie, tego Norman by nie chciał. Niech kto inny się tym zajmie.

Po przeszło godzinnej jeździe, Leo Norman zaczął się rozglądać za ma-

łym kamiennym mostkiem i trzema wierzbami. Zaraz za nimi będzie skręt w lewo. Zresztą powinien łatwo trafić, bo od głównej szosy biegną wzdłuż traktu z kocich łbów słupy drewniane podtrzymujące kabel telefoniczny łączący farmę Brownów z resztą świata. Leo pomyślał o tym jak ciężko człowiekowi umrzeć w samotności. Stara Jenifer była wdową od co najmniej dziesięciu lat, a jej dzieci rozpierchły się jak stado głodnych kruków świadome tego, że marna ziemia farmy ich nie wyżywi. Staruszka umarła w sobotę, zapewne wtedy, kiedy parobek pojechał starym pick-upem do siebie. A gdy wrócił w poniedziałek rano, mógł tylko stwierdzić, że jego pra-codawczyni dawno nie żyje. Zapewne zadzwonił do doktora na zasadzie odruchu. Ciekawe czy zadzwonił do Kennana. O, a oto wierzby, słupy telefoniczne...

Powoli karawan, pokryty teraz grubą warstwą kurzu, skręcił. Kierowca nie odczuwał zbytnio nierówności drogi, ponieważ wóz miał wspaniałe amortyzatory - „Tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie dla tego, który 99

leży w trumnie” - pomyślał Norman. Wiedział jednak, że dobre, miękkie zawieszenie karawanu dodaje mu dostojęstwa, gdy powoli sunie na czele konduktu żałobnego. Zza kolejnego zakrętu wyłoniły się niskie budynki farmy. Norman oburzył się na widok parobka pracującego w sadzie, na tyłach domu. „Chłop zawsze pozostaje chłopem, niezależnie od okoliczno-

ści - pomyślał sobie - tu człowiek umarł, ale ziemia musi dalej rodzić dla tych, którzy na niej pozostali”. Gdy skręcił w podwórze, zdziwił się, że nie widzi wozu lekarza. Czyżby już odjechał? Przez furtkę w murze z nierówno ułożonych polnych kamieni wyszedł z sadu parobek. Podniósł wielki słom-kowy kapelusz, aby lepiej się przyjrzeć samochodowi. Miał minę wyraźnie zaskoczoną. Norman wygramolił się z karawanu i wyciągnął rękę w stronę mężczyzny ubranego w mocno przybrudzony roboczy kombinezon z wy-płowiałego materiału.

- Gdzie leży pani Brown? Czy doktor już odjechał? - spytał jednym tchem Leo.

- Doktor? Pani Brown? Nie wiem... Tu nie było żadnego doktora... Zaraz zawołam panią Jeni. Ona czyta w cieniu na leżaku przy strumyku.

- Chwileczkę. Przecież to pan do mnie dzwonił z polecenia doktora! -

niemal wykrzyknął mocno zdenerwowany Leo.

- Ja!?! Niech Bóg broni. Pani Jeni jest zdrowa jak ryba. Może pan sprawdzić - odparł robotnik.

Leo Norman zamyślił się przez chwilę.

- A może jest inna pani Brown w okolicy? Nie, to raczej niemożliwe.

Przecież ten, który dzwonił mówił wyraźnie o Jenifer Brown - powiedział

Norman. - Niech pan nic nie mówi pani Brown, że tu przyjechałem.

Zwłaszcza o tym, że tym samochodem - dodał wskazując na karawan. -

Mogłaby się zdenerwować.

Mężczyzna skinął głową. Norman wszedł do samochodu i zaraz 100

odjechał. Z chwilą, gdy znalazł się na szosie przycisnął pedał gazu niemal do deski. Był wściekły i wściekły dojechał do miasteczka. Zastanawiał się, kto mógł mu zrobić taki głupi kawał. Odstawiając wóz do garażu zaklął

głośno na myśl, że znowu będzie musiał umyć karawan. Co prawda z wodą jest teraz trochę lepiej niż przed naprawą sieci kanalizacyjnej, ale nadal obowiązują ograniczenia narzucone miasteczku przez burmistrza. Trzeba będzie zadzwonić do Murphy'ego z prośbą o dyspensę. Karawan nie może przecież wyglądać jak wóz byle jakiego farmera...

W chwili, gdy Leon Norman przekroczył próg domu wiedział od razu, że ktoś tu był. Nie, nie było żadnego bałaganu, ale drzwi pokoju określonego przez niego mianem gabinetu były otwarte. Pamiętał dobrze, że rano je zamknął, aby żar panujący w jadalni umieszczonej we wschodniej części domu nie przedostawał się tam, gdzie lubi wieczorami siedzieć przy telewi-zorze stojącym na wprost małego biurka. Nic z niego nie ruszono. Natomiast ktoś rozsuwał szyby mahoniowej biblioteki, w której Norman trzymał

swoje skarby. Natychmiast zauważył, że skradziono mu albumy ze znaczkami. Złodziej musiał wiedzieć, że jego kolekcja jest bezcenna - w ciągu ostatnich lat zdołał skompletować całość emisji wszystkich znaczków wy-danych w kraju od przeszło stu lat. Norman ciężko usiadł w fortelu, na którym znalazł znaczek z wizerunkiem wielkiego wodospadu. Musiał wy-paść z drugiego klasera... Ciężko oddychając sięgnął po słuchawkę, ale nie zadzwonił. Doszedł do wniosku, że lepiej pójść samemu do sierżanta i zgło-sić kradzież.

Po drodze Leo Norman natknął się na porucznika Westa. Wzburzenie jego musiało być bardzo

widoczne, skoro policjant zatrzymał się na jego widok. Dopiero wówczas Norman zdał sobie sprawę, że zostawił w domu duże ciemne okulary, które zakrywały jego oszpeconą twarz.

101

- Co się z panem dzieje? - spytał życzliwie West.

- Ktoś się włamał do mojego mieszkania. Idę właśnie do Kennana -

odpowiedział Norman, który wyraźnie nie panował nad sobą.

- Teda nie ma na posterunku. Pojechał na obchód. Może w czymś pa-nu pomóc? - zaproponował porucznik.

Norman zawahał się, ale w końcu zaprosił go do siebie. Po drodze opowiedział mu o historii z fałszywym telefonem. Teraz przekonany był, że chodziło o to, aby wywabić go z domu na co najmniej trzy godziny.

- Czym otworzył drzwi? - spytał rzeczowo West.

- Kluczem, oczywiście. Klucz zostawiam w rynnie altanki. Wszyscy w miasteczku o tym wiedzą - moja sprzątaczką i dostawcy z „Bazaru”. -

wyjaśnił Norman.

- Czyli każdy mógł wejść?

- Właściwie tak.

- Czy nie sądzi pan, że albumy ze znaczkami mógł ukraść jakiś młody filatelista? - spytał jeszcze porucznik.

- To możliwe, ale przyjmując, że to zrobiła ta sama osoba, która zadzwoniła do mnie w sprawie śmierci Jenifer Brown, to musiałby być doskonały aktor, bo gotów jestem przysiąc, że był to głos starszej osoby.

Obaj mężczyźni weszli do gabinetu. West zapytał.

- Ile było albumów?

- Trzy duże i dwa mniejsze. Wszystkie oprawione w skórę, ułożone chronologicznie...

- Jaka jest cena katalogowa takiej kompletnej kolekcji? - przerwał porucznik.

- Trudno powiedzieć z całą dokładnością, ale około dwustu tysięcy.

Nikt za to tyle nie da. Łatwiej jest sprzedawać znaczki seriami. Gdyby ktoś się zgłosił z moją

kolekcją do jakiegoś marchanda, to każdy z nich zaraz by wiedział, skąd ona pochodzi. Wiadomo, że w kraju tylko cztery czy pięć osób ma pełną kolekcję - wytłumaczył Norman.

102

- To by przemawiało za tym, że kradzież została dokonana przez ko-goś, kto nie wie, jak trudno jest sprzedać za jednym zamachem całą kolekcję. Chyba, że zagranicą...

- Albo jakiś początkujący filatelista, który chciał uzupełnić własny zbiór - dokończył Norman.

Gospodarz domu dopiero teraz założył swoje ciemne okulary. Zaproponował małego drinka.

- I nic więcej nie zginęło? Jakies pieniądze? Papiery wartościowe? -

spytał jeszcze porucznik West, który sięgał po słuchawkę, aby poprosić o przybycie Kennana zaraz po jego powrocie z obchodu.

Leo Norman raz jeszcze spojrział na półkę biblioteczki, gdzie jeszcze ra-no stały albumy. Odwrócił się nagle w stronę Westa.

- A wie pan, poruczniku, że to dziwne. Złodziej zabrał ze sobą album ze zdjęciami. Stał obok znaczków. Widocznie myślał, że to również klaser -

powiedział Norman.

- Jakie to były zdjęcia?

- Kiedyś fotografia była moim jedynym hobby. Znaczkami zacząłem się interesować właściwie przypadkiem. Kiedyś pewna wdowa zapłaciła mi za pogrzeb męża tą kolekcją, którą potem zacząłem uzupełniać. Ta biedna kobieta nie miała pieniędzy i przyjąłem znaczki nie wiedząc nawet, że ich wartość przekracza znacznie koszty moich usług.

- Może to ona kazała panu odebrać te znaczki - powiedział bez przekonania porucznik.

- To niemożliwe. Ona nie żyje od lat. Było to bezdzietne małżeństwo.

W ostatnich miesiącach jej życia, gdy się dowiedziałem, jaką wartość przedstawia ten zbiór znaczków wypłacałem jej coś w rodzaju prywatnej renty. Ona nie wiedziała od kogo przychodzą te pieniądze i myślała, że to zapomoga od rady miejskiej - wyjaśnił jeszcze Norman.

103

- Rozumiem. Ale wróćmy jeszcze do tego albumu. Zaczął pan mówić, że fotografia była kiedyś pana jedynym hobby.

- Tak, poruczniku. I na skutek tego stałem się jak gdyby kronikarzem naszej szkoły, a ściślej naszej klasy. Kiedyś nawet pewna gazeta zwróciła się do mnie o zdjęcia Wolsky'ego z czasów, gdy chodził

on w krótkich spodenkach. Nawet nieźle zapłacili.

- I co, zwrócili zdjęcia po wykorzystaniu? - zapytał policjant.

- Oczywiście. W tym albumie jest wszystko, co się odnosi do naszej klasy. I to nie tylko do chwili ukończenia nauki w liceum. Robiłem też zdjęcia w czasie wakacji, gdy koledzy i koleżanki pojawiali się tutaj. Były też zdjęcia ze ślubów kolegów - Paula i Maud, Phila Larose'a z Margaret...

- Larose był żonaty? Nic mi o tym nie powiedział - przerwał policjant.

- Nic dziwnego. Ona go opuściła, gdy Paul zrobił z niego złodzieja.

On to bardzo przeżył.

- Czy wiadomo gdzie ta Margaret przebywa obecnie? - zapytał West.

- Chyba w stolicy. Po przeprowadzeniu rozwodu wyszła powtórnie za mąż - wyjaśnił Norman.

- A czy w tym albumie mogło być coś takiego na czym komuś mogło bardzo zależeć?

- Nie rozumiem pana, poruczniku?

- Może było jakieś zdjęcie czy zdjęcia, które kogoś kompromitowały?

- wyjaśnił policjant.

- Skądże znowu. Ot, po prostu zwykłe pamiątkowe fotografie z uroczystości szkolnych. Jakieś bale, wycieczki do stolicy, grzybobranie, przed-stawienia teatralne, nierozłączne pary... Przez chwilę Leo Norman się za-myślił, co zwróciło uwagę Westa.

- Przypomniał pan coś sobie? - spytał policjant.

104

- Chyba tak, ale nie jestem tego pewien. Musiałbym popatrzeć na zdjęcie. Dopiero teraz, gdy pan mi o tym powiedział przypomniały mi się pewne zdjęcia...

- Niech pan mówi jaśniej, do licha! - ponaglał policjant.

- Nie, nie mogę. Ja się chyba mylę. Ale jak sobie dokładnie wszystko przypomnę, to zaraz do pana zadzwonię.

- A może ma pan negatywy? - spytał z nadzieją w głosie porucznik West.

- Musiałbym poszukać. Muszą chyba być w metalowym kufierku w piwnicy. Ja sam wszystko wywoływałem - wyjaśnił Norman.

West był wyraźnie zadowolony.

- Jestem pewien, że niebawem odnajdzie pan swoje znaczki. Natomiast mógłbym się założyć, że album przypadł na zawsze.

Właściciel zakładu pogrzebowego machnął ręką.

- Oby się pana słowa sprawdziły, poruczniku. Od lat nie interesowa-

łem się tymi fotografiami. Nawet ostatnio mówiłem na zebraniu byłych uczniów, że go oddam szkole. Natomiast gdyby kolekcja znaczków przypadła, to byłaby dla mnie spora strata.

- Niech się pan naprawdę nie martwi. Coś mi mówi, że klasery wrócą do pana prędzej niż się pan spodziewa. Ale jeśli pan pozwoli, skoro tu jestem, chciałbym zadać panu jeszcze kilka pytań.

- Proszę bardzo. Może najpierw napijemy się kawy. Albo po prostu zrobię jakąś męską kolację, bo już jest późno? Czy może być jajecznica i jakaś puszka, do tego kilka butelek piwa?

- Świetny pomysł, bo przyznaję, że jestem głodny. Gdy pana spotka-

łem, siedłem właśnie na parówki.

Obaj mężczyźni przeszli do kuchni. West usiadł na taborecie, a Norman zakrzętał się przy lodówce.

105

- O której godzinie zjawił się pan wtedy u Walda? - spytał porucznik.

- Musiało być w pół do dziesiątej. Taką godzinę podał mi Kent. Z re-guły jestem punktualny. To cecha zawodowa. Wie pan, temu, który leży w trumnie, to raczej obojętne, ale rodzina nie lubi czekać. Chce jak najprędzej pozbyć się drogiego nieodżałowanego - zaśmiał się gardłowo Norman.

- To nie Wolsky do pana dzwonił? - zdziwił się policjant.

- Nie, na pewno. Wiedziałem, że Ernest również będzie, bo Kent mi o tym wspomniał, gdy zadzwonił. Na dobrą sprawę, ten formalny szantaż był

w stosunku do mnie trochę niepotrzebny, bo sam bym przybył na urodziny Paula. Dawno puściłem w niepamięć to co mi zrobił. Tym bardziej, że sam byłem sobie winien. Powinienem był przewidzieć, że cały ten eksperyment w laboratorium jest niebezpieczny... Posolić jajka na patelni czy woli pan sam doprawiać je na talerzu? - zapytał Norman.

- Wszystko jedno. Tylko proszę bez cebuli, nie znoszę cebuli. Czy przypomina pan sobie, co dokładnie panu powiedział Wald, gdy się pan tam zjawił?

- Właściwie niewiele mówił, bo wyglądał na człowieka, który już sporo wypił. Może się zresztą mylę, bo gdy wchodziłem stał w przejściu, w którym było ciemno. Paul mówił, że nie pozwoli, abym się z niego wy-

śmiewał, że jeszcze pokaże co potrafi, lub coś w tym guście. Chciałem mu złożyć życzenia, ale złapał mnie za rękaw i drugą ręką zdjął mi okulary.

Patrzył mi w twarz i zaczął szlochać. Zrobiło mi się głupio i żal jego. Zaraz wyszedłem. W ogródku spotkałem Kenta, chyba tam stał, bo z miejsca gdzie znajdowałem się w czasie tej przykrej sceny z Pauliem widziałem cały czas alejkę. Gdyby Artur dopiero co nadchodził, zauważyłbym to - zakończył Leo Norman.

- I nikogo więcej pan nie zobaczył?

106

- Nie. Chociaż wracając do siebie wydawało mi się, że stoi jakiś wóz.

Ktoś w nim siedział, ale światła pozycyjne były zgaszone.

- Czyj to był samochód?

- Chyba Murphy'ego albo Wolsky'ego, obaj mają takie same drogie samochody.

- Przecież Wolsky'ego nie było w miasteczku, musiał nagle wyjechać

- stwierdził West.

- Słusznie, zapomniałem o tym. To musiał więc być samochód Murphy'ego - potwierdził lakonicznie Norman.

- Czy Murphy nie korzysta stale ze swego kierowcy? - spytał jeszcze West.

- Trudno mi coś powiedzieć na ten temat, ale wiem z całą pewnością, że w tym dniu w samochodzie siedziała tylko jedna osoba.

Jedząc pachnącą ziołami jajecznicę West pomyślał sobie, że w samochodzie mógł siedzieć kierowca, Murphy natomiast... Nie, to nie miało sensu, gdyż wówczas kierowca stałby się niebezpiecznym świadkiem...

Po kolacji, obaj mężczyźni wypili mocną kawę, do której Norman podał

jakiś likier ziołowy (chyba francuski, kiedyś West coś takiego wypił u pewnej gwiazdy filmowej, której włamywacze skradli biżuterię), a także mocne choć cienkie cygara brazylijskie. West wiedział, że zapach dymu będzie trzymał się jego ubrania przez co najmniej dwa dni. Palić je można tylko na świeżym powietrzu, ale nie odważył się tego powiedzieć gospodarzowi.

Miał on i tak sporo zmartwień z powodu zaginionych znaczków...

Tuż przed północą West się pożegnał.

Idąc słabo oświetloną ulicą, zaklął brzydko. O mało co nie skręcił sobie kostki wpadając w nierówność w chodniku. Jeszcze nie wszędzie naprawiono miejsca po ostatnich robotach kanalizacyjnych.

Doktor Belhomme

był jedynym lekarzem w miasteczku. Za-

ufanie do niego było niemal powszechne, choć zdarzało się, zwłaszcza wśród młodszych, że przy poważniejszych dolegliwościach zwracano się do specjalistów z sąsiedniego miasta. Gdy porucznika Westa wprowadziła do jego gabinetu wysoka, siwa i koścista pielęgniarka, lekarz przywitał gościa serdecznie choć nie bez pewnej pretensji.

- Sądziłem, poruczniku, że zjawi się pan u mnie wcześniej - stwierdził

doktor Belhomme po poczęstowaniu policjanta filiżanką mocnej i aroma-tycznej kawy.

- To prawda, że mogłem się do pana zgłosić zaraz po przyjeździe, pa-na raport, doktorze, jest tak dokładny i przejrzysty, nie widziałem więc powodów, aby pana niepotrzebnie niepokoić - usprawiedliwił się West.

- A jednak pan przyszedł - stwierdził lekarz zawieszając głos tak, aby zachęcić policjanta do dalszego mówienia.

- Tak, przyszedłem, ale nie dlatego, że coś mnie zaniepokoiło w pana opisie przyczyn śmierci Paula Walda, lecz po prostu dlatego, że ma pan zapewne jakieś osobiste spostrzeżenia, o których trudno mówić w oficjalnym raporcie, a które mogą być dla mnie niezwykle cenne - wyjaśnił policjant.

- Czyżby pan miał jakieś wątpliwości? - spytał doktor.

- Jakiego rodzaju? - powiedział tym samym tonem porucznik.

- Nie wiem właśnie. Ale skoro raport dotychczas panu wystarczał, a teraz nagle zapalał pan chęcią porozmawiania ze mną, mam prawo sądzić, że coś pana zaniepokoiło.

- Powiedzmy, panie doktorze, że należę do ludzi, na których słowo 108

mówione robi większe wrażenie niż napisane - wyjaśnił West.

- Innymi słowy, pragnie pan, abym własnymi słowami opowiedział

wszystko, co wiem na temat śmierci Walda, czy dobrze pana zrozumiałem?

- Doskonale. Ale proszę ograniczyć się do tych elementów, których nie ma w pana raporcie policyjnym.

- Jeśli pan zechce, mogę panu udostępnić swoje notatki - zaproponował Belhomme.

- To świetny pomysł, ale skorzystam z niego później. Na razie proszę mówić.

- Jak pan zapewne pamięta, panie poruczniku, podałem, że zgon Walda nastąpił koło wpół do ósmej nad ranem. Innymi słowy jego organizm wchłaniał gaz przez wiele godzin.

- Mniej więcej ile?

- Trudno orzec z całą dokładnością, gdyż każdy organizm reaguje inaczej na gaz w zależności od wielkości pomieszczenia, sposobu oddychania, położenia ciała, tężyzny. Wald był jeszcze młodym człowiekiem.

- Czyli trudno określić dokładnie, tym bardziej, że nie wiemy, w którym momencie otworzył on kurek?

- Tak, o to mi chodziło. Nie pisałem o tym w raporcie, gdyż to do mnie nie należy. To już jest robota policji. Tedowi o tym wspomniałem, ale nie wiem czy on to wykorzystał w oficjalnym raporcie własnym do prokuratury.

- O czym pan jeszcze mówił? - spytał West.

- Przyjmując oczywistą chyba tezę samobójstwa, doszedłem do wniosku, że Wald mógł jednak odkręcić gaz na kilka minut zanim znalazł się na podłodze kuchni. Wyobraziłem sobie, że rozgoryczony przebiegiem wieczoru urodzinowego i obudzony w stanie zamroczenia alkoholowego, Wald postanowił skończyć z sobą. Wstał więc, odkręcił gaz, wyłączył korki, 109

a następnie położył się tak, aby trucizna mogła działać skuteczniej - wyja-

śnił rzeczowo i beznamytnie stary lekarz, dla którego jakakolwiek śmierć była zjawiskiem całkowicie normalnym.

- Tak pan to sobie wyobraża?

- Tak. Kolejność pewnych czynności mogła być oczywiście nieco in-na. Mógł on na przykład najpierw wyłączyć korki, a dopiero potem odkre-

cić gaz. Wie pan, poruczniku, ja znałem Walda bardzo dobrze. Od dzieciństwa był moim pacjentem. Wiem na przykład, że miał lęk ognia, oparzeń.

Kiedyś, wrzucając kawałek mięsa na patelnię z gorącym tłuszczem, zrobił

to tak niezręcznie, że oblał sobie dłoń tłuszczem. Przez kilka dni miał wysoką gorączkę i jego stan psychiczny był taki, że obawiałem się o niego.

Gdybym był młodszy mógłbym opisać ten przypadek, bo jest interesującym przykładem wpływu psychiki na zachowanie się organizmu. Pan się domy-

śla, na jakim tle ta reakcja organizmu Walda miała miejsce, prawda poruczniku?

- Chodzi o Normana?

- Widzę, że się rozumiemy. Otóż ten właśnie strach przed ogniem nawet w obliczu zadanej sobie śmierci może wyjaśnić odruchowe wyłączenie korków. Umrzeć, proszę bardzo, ale nie w płomieniach - tak przemawiała do Walda jego podświadomość.

- Muszę przyznać, że to bardzo ponętna teza - stwierdził porucznik, który zaraz zapytał: - I uważa pan, doktorze, że nieprzytomny od nadmiaru wypitego alkoholu Wald spokojnie chodził po mieszkaniu i nic nie potrafił

wracając do kuchni mimo panujących ciemności?

- Po pierwsze, poruczniku, Wald znał swój dom na pamięć, po drugie

- jeśli przyjąć moją tezę w chwili, gdy poszedł wyłączyć korki było już na tyle widno, że każdy mógł poruszać się po domu bez potrzeby zapalania 110

światła. Niech pan pamięta, poruczniku, że mamy obecnie najdłuższe dni w roku.

- Prawda. Ale z tego, co pan mówi, doktorze, wynika, że stał się pan zwolennikiem teorii samobójstwa. Myślałem, słuchając sierżanta Kennana, że pan nie wykluczał nieszczęśliwego wypadku - powiedział porucznik West.

- Widocznie sierżant źle mnie zrozumiał. Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że chodzi o samobójstwo - świadczy o tym świadoma działalność Walda, który wyłączył korki i zostawił list - wszelkie inne hipotezy są bez-podstawne. Natomiast, jeśli chodzi o nieszczęśliwy wypadek - wyjaśnił

dalej doktor Belhomme - powiedziałem tylko Kennanowi, że się dziwię, że w tym dniu nie było więcej ofiar.

- Nie bardzo rozumiem -, przerwał mu West.

- Wie pan zapewne, że właśnie w tych dniach, na skutek interwencji Murphy'ego w stolicy, przyjechała ekipa, która przeprowadziła przegląd i naprawę sieci kanalizacyjnej i rurociąkowej w miasteczku. Na kilka godzin wyłączono prąd, wodę i gaz, a nawet telefon.

- Kiedy to było? - spytał West.

- Łatwo sprawdzić w ratuszu, ale o ile się nie mylę, trwało to w sumie ze trzy noce - za dnia przy tym upale nikomu się nie chciało pracować, a poza tym trudno wszystko wyłączyć, kiedy ludzie pracują, a gospodynie domowe gotują. Ponieważ działo się to w godzinach nocnych, obawiałem się, że ktoś zostawi otwarty kran albo kurek od gazu. Na szczęście ludzie okazali się roztropni i nie było żadnego nieszczęścia. Nie mówiąc, że coraz więcej rodzin ma kuchenki elektryczne - zakończył doktor Belhomme.

- A zatem, gdyby nie wyłączone korki u Walda, można było przyjąć tezę, że był to nieszczęśliwy wypadek? - zapytał jeszcze policjant.

- Byłbym pierwszy, który by tak uważał - potwierdził, lekarz.

111

Do gabinetu doktora Belhomme'a weszła pielęgniarka i oznajmiła swemu pracodawcy, że czekają pacjenci. Doktor poprosił ją, aby przekazała im, że za chwilę będzie do ich dyspozycji. Pielęgniarka, patrząc z niemym wyrzutem na Westa, skinęła głową i wyszła.

- Jeśli pan chce, panie poruczniku, może pan zajrzeć do moich notatek. Może znajdzie pan coś ciekawego. Załatwię pacjentów i będziemy mogli jeszcze porozmawiać.

Doktor Belhomme zaprowadził porucznika do małej kancelarii, w której urzędowała pielęgniarka. Układała karty przybyłych pacjentów.

- Kochanie, proszę podać panu porucznikowi to, o co panią poprosi -

powiedział do niej lekarz, który dodał, zwracając się do policjanta - niech pan się czuje jak u siebie w biurze.

Po wyjściu doktora Belhomme'a West poprosił pielęgniarkę o notatki związane z obdukcją dokonaną tuż po śmierci Walda. Następnie sięgnął po sporych rozmiarów kartonowe pudło, w którym ułożone były alfabetycznie karty pacjentów Belhomme'a. Koścista pielęgniarka chciała coś powiedzieć, ale po chwili zastanowienia dała spokój. Porucznik West wyjął z pudełka dwie żółte koperty, przerzucił ułożone w nich papiery, schował je z powrotem, i po dokonaniu kilku notatek, zapytał siostrę czy mogłaby mu podać kopertę z danymi dotyczącymi Maud Wald.

- Takiej koperty już dawno nie ma. Po zejściu każdego pacjenta doktor Belhomme każe wyjmować jego dossier z kartoteki. Trzymam je następnie przez rok w tej oto szafie, a potem wszystko idzie do pieca. Maud Murphy nie żyje od dawna i jej karty już tu nie ma - wyjaśniła pielęgniarka.

- Rozumiem. A czy pani mogłaby mi wyjaśnić co było dokładnie 112

przyczyną jej śmierci? - spytał detektyw usiłując przybrać ton konwersacyjnej obojętności.

- Niech się pan zapyta doktora - odparła sucho pielęgniarka, która zdawała się nie zauważyć uśmiechu Westa.

- Słusznie, chyba będzie najlepiej. A może pani mi powie, gdzie doktor Belhomme był w poniedziałek po południu i o której wyjechał? - spró-

bował jeszcze porucznik.

- W poniedziałek? Zaraz sprawdzę.

Siostra sięgnęła po gruby kalendarz oprawiony we wzorzysty plastik przypominający krokodylową skórę.

- Doktor Belhomme miał kolkę nerkową, ale to było rano. Po południu natomiast pojechał do dwóch pacjentów. Czy potrzebne są panu nazwiska i na co chorowali? - spytała pielęgniarka.

- Raczej nie, chodzi mi o to, czy doktor był w miasteczku, a jeśli gdzieś pojechał do farmerów, to kto o tym wiedział? - wyjaśnił West.

- Wszyscy tu wiedzą, że w poniedziałki, środy i piątki po południu doktor jeździ do odleglejszych pacjentów. Niekiedy do nich dzwoni i jeśli wszystko jest w porządku to zostaje w domu. On już nie jest taki młody i nie bardzo lubi prowadzić samochód.

- Inaczej mówiąc każdy widział jak doktor w poniedziałek wyjechał z miasteczka?

- Z całą pewnością, tym bardziej, że przed obchodem zatrzymuje się zawsze w barze „Błękitny Anioł” na jedno czy dwa piwa.

Porucznik West podziękował za informacje i chciał właśnie zapytać jak długo jeszcze może być zajęty lekarz dzisiejszymi pacjentami, gdy doktor Belhomme wszedł do kancelarii.

- Na razie pierwsza fala minęła. Proszę zabrać karty chorych z mojego gabinetu i przynieść nam coś do picia. Czy może być gin z tonikiem, 113

poruczniku? Tak, to znakomicie. Miał pan jeszcze kilka spraw do mnie.

- Tak, panie doktorze. Chciałbym wiedzieć, jeśli to oczywiście moż-

liwe i zgodne z zasadami tajemnicy lekarskiej, na co dokładnie zmarła córka Murphy'ego - spytał policjant.

- O ile się orientuję, Maud po prostu nie wytrzymała porodu. Przyznam się panu, poruczniku, że nie bardzo się nią interesowałem, ponieważ stary Murphy wolał wzywać lepszych jego zdaniem lekarzy z sąsiedniego miasta. Z chwilą, gdy Maud wyszła za Walda znowu stała się moją pacjentką, tak jak to było zanim jej matka zginęła w tym wypadku. Mogę tyle panu powiedzieć, że była, „une petite nature” jak powiadają Francuzi. Była wąt-

łego zdrowia i jednocześnie kłębkiem nerwów. Do tego dochodził fakt, że Paul i ona mieli różny czynnik Rh - pan wie na czym to polega, prawda? -

co doprowadziło do konfliktu serologicznego i śmierci płodu. Maud ze swej strony nie wytrzymała cesarskiego cięcia. Ot i wszystko.

- Teraz rozumiem, dlaczego stary Murphy obarczył Walda winą za śmierć jedynej córki - skomentował West.

- Wie pan, moim zdaniem, gdyby tego nie było, i tak burmistrz miałby pretensje do Paula. Nie lubił go nigdy, a wręcz znienawidził, gdy zabrał mu córkę. Czy pan wie, że gdy Maud leżała w szpitalu przekupił służbę, aby nie dopuścić go do żony. Tylko on, Kent i Wolsky mieli prawo ją odwiedzić.

- I Wald o tym wiedział? - spytał policjant.

- Nie, myślał, że nie dopuszcza się go do żony tylko ze względu na jej stan zdrowia.

- Ale czy wiedział, że inni mogli się z nią zobaczyć?

- Też nie, choć myślę, że byli tacy w miasteczku, którzy, gdyby wiedzieli i nie bali się za bardzo Murphy'ego, chętnie by mu o tym donieśli.

- Dlaczego?

114

- Chyba już pan wie, że Walda nie każdy nosił w sercu - wyjaśnił

krótco lekarz.

- Czy pan ma na myśli...

- O nikim nie myślę, panie poruczniku. I tak chyba za wiele powiedziałem. Lepiej napijmy się, bo lód całkiem się stopił - urwał doktor Belhomme.

- Czy mogę zadać panu jeszcze jedno pytanie. Będzie ono ostatnie -

powiedział po chwili porucznik.

- Jeśli naprawdę ostatnie, to proszę bardzo.

- Jaki był czynnik Rh Wolsky'ego?

Lekarz zdjął okulary i spojrzał na Westa. Jego uśmiech uwydatniał biel zębów i „kurze łapki” dotąd zakryte rogową oprawą okularów.

- Brawo, panie poruczniku. Ale muszę jednak pana rozczarować. Co prawda Wolsky jest nadal moim pacjentem i obowiązuje mnie tajemnica zawodowa, ale mogę pana zapewnić, że niedoszłym ojcem dziecka Maud był jednak naprawdę Paul.

Znaczki

się znalazły, miał pan rację, panie poruczni-

ku! - oznajmił przez telefon Leo Norman, nie ukrywając swojej radości, wczesnym rankiem budząc Westa.

Z powodu utrzymujących się upałów policjant leżał nago pod jednym prześcieradłem. Mimo że w chwili, gdy odezwał się brzęczyk telefonu, spał

głębokim snem, na słowa Normana zerwał się natychmiast z łóżka.

- Niech pan opowie dokładnie, jak doszło do zwrotu klaserów. Czy wśród nich znalazł się również album? - zapytał jeszcze policjant.

- Klasery leżały podrzucone pod drzwiami zakładu. Owinięte były w szary papier pakowy. Jak zobaczyłem paczkę, to od razu wiedziałem, że to 115

one. Ależ miał pan nosa, panie West. Musiał rzeczywiście podwędzić je jakiś gówniarz. Zrozumiał, że nie zdoła tego upłynnić. Z całej kolekcji bra-kuje tylko kilku znaczków, i to sprzed paru lat. Jestem szalenie panu wdzięczny - powiedział jeszcze Norman.

- Za co? Przecież znaczki same do pana wróciły. Mój udział był żaden. Ja tylko to zapowiedziałem... Zresztą pogadamy o tym u pana. Jest pan teraz w zakładzie, prawda? Będę tam za pół godziny. Ogołę się i zjem śnia-danie.

- Niech pan nie pije kawy, w motelu dają lurę, a ja panu sam zaparzę prawdziwego szatana. To się panu należy.

West podziękował, odłożył słuchawkę i wszedł do małej łazienki. W

niecałe trzy kwadranse później siedział w chłodnym gabinecie Normana.

Właściciel zakładu natychmiast podał kawę, a dopiero potem wyciągnął z biurka klasery.

- Wyrzuciłem papier na śmieci. Nie było na nim żadnego napisu...

- I mogę się założyć, że nie ma na nim żadnych innych śladów - do-kończył West, który wyraźnie delektował się aromatycznym płynem.

- Może jednak wyciągnąć ten papier ze śmietnika? - stropił się Norman, który przyjął do siebie ostatnią uwagę policjanta.

- Nie, to nie ma najmniejszego sensu. Jestem naprawdę pewny, że osoba, która zabrała panu klasery, a następnie je zwróciła nie pozostawiła po sobie żadnych śladów. Czy pan nie pojmuje, że tu nie chodziło o znaczki? - powiedział znacząco West.

- A jednak zginęło kilka znaczków.

- Mogły po prostu wypaść w czasie manipulacji przy pakowaniu, albo złodziej zabrał je byśmy byli przekonani, że chodziło mu tylko o te winietki 116

bez większej wartości. W ten sposób moglibyśmy sądzić, że mamy rzeczywiście do czynienia z młodocianym przestępcą.

- Może naprawdę tak było - upierał się przy swoim Norman. - Jeśli panu podziękowałem za pomoc przy odnalezieniu znaczków, to miałem na myśli to, że złodziej przestraszył się śledztwem. Wczoraj wstąpiłem do

„Błękitnego Anioła” i wszystkim opowiedziałem o kradzieży. I powiedział-

łem również, że pan jest na tropie - wyjaśnił Norman.

- I myśli pan, że to pomogło? - uśmiechnął się policjant. - W tej sprawie mam własne zdanie i podtrzymuję, że tak czy owak znaczki wróciłyby do pana. Złodziejowi nie o to chodziło. Klasery były tylko pretekstem. Jemu chodziło o album ze zdjęciami. Gdyby włamał się do pana i zabrał tylko ten album, to sam pan zacząłby się zastanawiać, co w nim takiego było, że mogło skusić złodzieja. Zabierając album wraz z klaserami, złodziej liczył

na to, że nie zwróci pan uwagi. Mało tego, przypuszczam, że włamywacz zakładał, iż brak klaserów zauważy pan dopiero po kilku godzinach, to znaczy w chwili gdy zostałyby panu zwrócone. W tej sytuacji mógł pan w ogóle nie zawiadomić policji ciesząc się z odnalezienia zguby.

Przez chwilę Norman rozważał sugestię policjanta i widocznie doszedł

do wniosku, że tak mogło być, gdyż skinął głową na znak zgody.

- Tak, rzeczywiście, mógłbym pomyśleć, że padłem ofiarą żartowni-sia, albo młodego - zapalonego filatelisty, któremu w końcu sumienie przemówiło do rozsądku. Tym bardziej, że o moich znaczkach wszyscy wiedzieli w miasteczku. Co prawda, zastanowiłbym się nad tajemniczym telefonem, który wywabił mnie z domu na kilka godzin...

- ... i przeszedłby pan nad tym do porządku dziennego po odnalezieniu zguby - dokończył West.

117

Raz jeszcze Leo Norman skinął głową, a następnie spytał:

- Czy pan uważa, że w tej sytuacji powinienem wycofać swoją skargę, którą złożyłem na ręce sierżanta Kennana?

- To nie ma znaczenia. Przestępstwo, którego ofiarą pan padł jest ści-gane z urzędu. Ted będzie dalej prowadził śledztwo, a wyjaśnienie nastąpi dopiero w chwili, gdy w nasze ręce wpadnie morderca Walda - powiedział

jakby od niechcenia porucznik West.

Słowa te zrobiły na Normanie piorunujące wrażenie.

- To pan uważa, poruczniku, że Wald został zamordowany? Ze złodziej klaserów i morderca Paula to jedna i ta sama osoba?

- Nie klaserów lecz albumu ze zdjęciami z czasów szkolnych. Wśród sielankowych scen i zabawnych sytuacji, które pan uwiecznił po wsze czasy znalazło się co najmniej jedno zdjęcie stanowiące, zdaniem mordercy Walda, poważną groźbę. Pamięta pan, o co pana prosiłem, prawda?

- Tak, oczywiście. I zdaje mi się, że tam gdzie trzymam wszystkie swoje fotograficzne szpargały muszą się znajdować negatywy.

- Skoro pan to wszystko odnajdzie, proszę natychmiast mnie zawiadomić. Ale tylko mnie, gdyż mam wszelkie powody uważać, iż gdyby się wydało, że kradzież albumu na nic się nie zdała...

- Myśli pan, że mi coś grozi? - przerwał Norman.

- Nie jestem tego całkiem pewien, ale lepiej nie ryzykować - odpowiedział powściągliwie policjant.

- Może zabiorę zdjęcia ze sobą dziś wieczorem do Wolsky'ego?

Wiem, że pan też jest tam zaproszony.

- Kto panu o tym powiedział?

- Ernest. Dzwonił, żeby mnie zaprosić i przy okazji powiedział kto u niego będzie - wyjaśnił Leo Norman.

118

- Czy powiedział panu z jakiej to okazji organizuje spotkanie?

- Nie, ale wydaje się, że pragnie oblać Nagrodę. To już należy do tradycji - każdy jego sukces bywał oblewany w gronie dawnych kolegów szkolnych i kilku przyjaciół.

- Ja nie należę ani do jednych, ani do drugich - stwierdził West.

- To fakt. Może Ernest pana polubił - powiedział jak gdyby z ironią Norman - A może uważa pana za swego, gdyż sporo pan wie o miasteczku i jego mieszkańcach należących do bliskich Ernesta.

- Może. Swoją drogą ciekaw jestem, kto namówił pana Wolsky'ego, aby mnie zaprosił? - powiedział West bardziej do siebie niż do swego rozmówcy.

- Żeby się o tym dowiedzieć najlepiej będzie przyjąć zaproszenie.

Wiem, że oprócz pana i mnie, i Wolsky'ego rzecz jasna, będzie także Larose, stary Murphy i Artur Kent.

- O której zamierza się pan tam zjawić, Norman? - spytał policjant.

- Koło ósmej. Uporządkuję pewne rzeczy. A jeśli mi się uda, może umyję karawan. Musi on być gotowy do służby na każde zawołanie - za-

śmiał się Norman.

Po wypiciu kolejnej filiżanki kawy Henry West pożegnał się. Wsiadł do zakurzonego samochodu i pojechał prosto na posterunek policji, gdzie czekał na niego sierżant Kennan.

- Cześć Henry - przywitał go sierżant, który wyglądał na zmęczonego czy znudzonego. Po wymianie kilku zdań West wiedział już, że Ted urażo-ny jest faktem, iż nie został zaproszony na wieczór do Wolsky'ego. Nigdy go tam nie proszono, ale skoro zaprasza się policjanta ze stolicy...

- Czy coś dowiedziałeś się na temat telefonu do Normana? - spytał

Kennana porucznik West.

119

- Nie. Ale wydaje się, że dzwoniło z miasteczka. Nic nie wiem także o tych klaserach.

- Wracam właśnie od Normana zamierza on zwrócić się do ciebie, abyś zaniechał śledztwa - znaczki odnalazły się w taki sam tajemniczy sposób jak zginęły. Może rzeczywiście chodziło o kawał, co o tym sądzisz? -

spytał niewinnie porucznik.

- Może. Ale sprawę mam zapisaną w swojej księdze i muszę ją doprowadzić do końca.

- Może ci pomóc? - zaproponował West.

Propozycja Westa doprowadziła sierżanta do wściekłości. Tego już było za wiele!

- Co ty sobie właściwie myślisz?! Masz mnie za debila? Sądzisz, że nic nie potrafię? Zjawił się wielki detektyw ze stolicy i wszystkich będzie pouczał! Gdyby nie ty, mielibyśmy święty spokój! To twoje szukanie dziu-ry w całym doprowadziło nawet do włamania! Tu, u nas! Nigdy czegoś takiego nie było. Zapominasz się, mój drogi! Tutaj ja jeszcze reprezentuję prawo! Tak, właśnie ja!

Przez cały czas Kennan przechadzał się szybkimi krokami po gabinecie.

Burza wisiała nie tylko w powietrzu dlatego też porucznik West doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli ulotni się z posterunku bez wdawania się w dyskusję z kolegą. Wrócił zatem do motelu, gdzie, po wypiciu wielkiej szklanki cudownie zimnego mleka, położył się na łóżku, aby się trochę

zdrzemnąć przed wieczornym spotkaniem u Wolsky'ego...

Tak jak rano i tym razem obudził go telefon od Normana. Porucznik był

wściekły - zasnął jak dziecko!

- W porządku, panie Norman, zaraz będę. Chyba się nic nie stało? -

upewnił się jeszcze policjant.

- Nie, dzwonię do pana, gdyż gospodarz niepokoił się pana nieobecnością. Myślał, że pan zapomniał.

West zmienił koszulę. Spojrzał na swoje wymięte spodnie i machnął

120

ręką. I tak innych nie miał ze sobą. W końcu przyjechał do miasteczka tylko na kilka dni. A jutro minie tydzień od chwili, gdy wszedł do „Błękitnego Anioła”....

Upał wydawał się trochę mniejszy, a niebo mniej przezroczyste. W samochodzie było duszno i mimo otwartych szyb, wszystko było lepkie. Burza była tuż, tuż...

W chwili, gdy West już opuszczał parking, przypomniał sobie nagle o zamówionym telefonie do stolicy. Zawrócił powoli z zamiarem przekazania recepcji, aby przełączyli rozmowę na numer telefonu Wolsky'ego. Jak było do przypuszczenia, w recepcji nie było żywej duszy. Wściekłym ruchem porucznik nacisnął taster dzwonka umieszczony przy biurku. Dopiero po kilkunastu sekundach pojawił się zarządzający motelem, trzymał w ręku pękata, oszronioną szklankę, w której pływały kostki lodu.

- Mają dzwonić do mnie ze stolicy. Zna pan numer telefonu profesora Wolsky'ego? Proszę powiedzieć panience z poczty, aby tam przełączyła rozmowę. To bardzo ważna sprawa.

Mężczyzna powoli postawił szklankę na bibularzu, odwrócił się i wyjął

z przegródki na klucze błękitny blankiet telegramu. Wręczył go Westowi.

- To przyszło do pana dwie godziny temu - stwierdził, beznamiętnie pracownik motelu, i

- Człowieku, dlaczego mnie pan nie zbudził?! - niemal wykrzyknął

West.

- Nie wiedziałem czy pan jest, bo nigdy nie zostawia pan klucza.

Porucznik machnął ręką i podszedł do drzwi, aby odczytać treść telegramu. Popijając ze szklanki, mężczyzna patrzył na niego. West odwrócił

się i już spokojnym głosem oznajmił, że dziś nikt nie zadzwoni. To, co 191

doniesiono mu ze stolicy wyraźnie poprawiło mu humor. Wrócił do recepcjonisty i wręczył mu z uśmiechem klucz od pokoju.

A więc było dokładnie tak, jak przypuszczał. Ciekawe jak on to wszystko wyjaśni - pomyślał West. Jedno jest pewne - telegram potwierdza jego alibi, jeżeli w ogóle ktokolwiek miałby w tej sprawie wątpliwości...

Pierwszą osobą, jaką porucznik spotkał wchodząc do willi Wolsky'ego był Leo Norman. Właściciel zakładu pogrzebowego znajdował się w znakomitym humorze, co nie było tylko spowodowane szczęśliwym zakończeniem sprawy zaginionych klaserów. Przekrzywiony krawat, zsuwające się okulary i trzymana w lewym ręku butelka ginu świadczyły o tym, że Norman nie tracił czasu. Wolną ręką poklepał policjanta po ramieniu i teatralnym szeptem oznajmił, że „ma co trzeba, tam gdzie trzeba”.

- Czy może mi pan to dać na tyle dyskretnie, żeby nikt nie zauważył? -

zapytał West.

- Ależ oczywiście, poruczniku, dla pana wszystko. Mam to w marynarce. Zaraz ją przyniosę. Zostawiłem ją chyba na krześle w altance.

Policjant nie zdążył ani odpowiedzieć Normanowi, ani wyrazić swego zdania na temat jego lekkomyślności, gdyż w holu pojawił się gospodarz, który również wyglądał na mocno zadowolonego z siebie.

- Wreszcie trafił pan do nas, Panie West. Myślałem, że już pan nie przyjedzie. Znowu jest pan na jakimś tropie? - zaśmiał się Wolsky.

- Nie „znowu”, lecz w dalszym ciągu - sprostował porucznik dając się zaprowadzić do salonu, gdzie reszta gości siedziała na fotelach i kanapie.

Wejście Westa zostało powitane serdecznym uśmiechem starego Kenta i bardziej powściągliwymi ukłonami, pozostałych.

- Przybył pan w samą porę, inspektorze - stwierdził Ernest Wolsky.

122

- Jako osobę postronną prosiłbym pana, aby zechciał pan rozstrzygnąć spór między Arturem a Peterem. Widzi pan, inspektorze, przepraszam - poruczniku, Artur zawsze głosi poglądy na temat rodu ludzkiego, które doprowadzają niemal do szału naszego burmistrza, człowieka niezwykle pragmatycznie nastawionego do rzeczywistości.

- Nie wiem na czym polega spór, ale z góry uprzedzam, że jako zwykły policjant, nie czuję się powołany do ferowania jakichkolwiek wyroków w kwestii, która wydaje mi się zbyt subtelna. Pan,

natomiast, jako naukowiec...

- Właśnie o to chodzi. Ja, jako naukowiec, jak pan powiada, jestem si-

łą rzeczy stronniczy, bo muszę zajmować stanowisko, które jest aprioryczne choćby przez to, że za nim kryje się określony bagaż naukowy. Pan, natomiast, reprezentuje głos zdrowego rozsądku. Zanim jednak dowie się pan o czym tu mówimy, chciałbym wiedzieć czego się pan napije?

- Właściwie wszystko jedno, aby było zimne i wilgotne - odparł policjant, który bez zaproszenia usadowił się na jednym z wolnych foteli.

- Dobrze, zaraz panu coś przygotuję, co mi nie przeszkodzi przedstawić argumentów stron. Otóż Artur twierdzi, i tu zgadza się z nim Phil, że światem rządzi bilans dobra i zła. Przy czym dobro i zło bilansują się w sposób stały w skali globalnej, co oznacza, że jeśli w danej chwili dobro jest górą w jakimś miejscu, to gdzie indziej przewagę musi mieć zło. Czy dobrze przedstawiam waszą tezę? - spytał Wolski zwracając się do Kenta i Larose'a.

- Niezupełnie, mój drogi - oświadczył starzec. - Może będzie lepiej, jeśli posłużę się przykładami. Wyobraźmy sobie, poruczniku, że to co ludzkość nazywa sprawiedliwością przybiera w skali naszego globu kształt powiedzmy jakiejś idealnej kuli o niezmiennych parametrach. Otóż jeśli 123

gdzieś w jakimś zakątku Ziemi zwycięża niesprawiedliwość, to oznacza wyłącznie to, że tylko w tym miejscu nie ma sprawiedliwości. Natomiast w tym samym czasie, gdzieś tej sprawiedliwości, jako absolutu dobra w stosunkach międzyludzkich, jest po prostu więcej. Czyli w sumie, w skali ludzkości i historii nic się nie zmieniło. Tyle tylko, „że gdzieś ktoś cierpi z powodu niesprawiedliwości, a gdzie indziej ktoś inny żyje radośniej. Czy pan mnie zrozumiał?

- Chyba tak, chociaż ten przykład ze sprawiedliwością wydaje mi się bardzo abstrakcyjny - stwierdził West.

- To może jeszcze inaczej - podjął Larose - Wie pan, poruczniku, że są kraje, gdzie dziś jeszcze ludzie umierają z głodu, i to dosłownie. Zgodzi się pan ze mną, że ilość protein na Ziemi jest liczbą stałą, najwyżej proteiny te istnieją w różnych zmiennych postaciach. Otóż skoro ten bilans nie może być zachwiany w skali globu, gdyż jest on faktem obiektywnie istniejącym, jeżeli gdzieś, ktoś jada do syta, a tym bardziej przekracza normy fizjologiczne, to siłą rzeczy, gdzie indziej ktoś umiera z głodu.

- I to samo jest ze szczęściem - zawtórował Larose'owi Artur Kent -

Naszym zdaniem, szczęście każdej jednostki ludzkiej tryumfuje, musi tryumfować kosztem czyjegoś nieszczęścia. Często jesteśmy świadkami takich sytuacji, ale nie pojmujemy na czym polega ów mechanizm. Najbardziej to widać w małżeństwach wtedy gdy pojawia się ten trzeci czy ta trzecia. On czy ona doprowadza do rozbicia małżeństwa i znajduje własne szczęście, a staje się to możliwe tylko poprzez nieszczęście porzuconej czy porzuconego. Te wszystkie fakty świadczą naszym zdaniem o istnieniu wszechobecnego bilansu dobra i zła. Ten właśnie bilans jest motorem ludzkiego działania. Czy pan się z nami zgadza?

- Zanim się wypowiem, chciałbym usłyszeć argumentację pana Murphy'ego - odparł dyplomatycznie West, co wywołało uśmiech u 124

Wolsky'ego, który zdawał się świetnie bawić ową dysputą.

- Powiem krótko, że te wszystkie bilanse są wymysłami jajogłowych.

Wierzę, że człowiek postępuje zgodnie z własnym interesem niezależnie czy działa w pojedynkę czy zbiorowo. A wynik tej działalności zależy z jednej strony od czynu, z drugiej zaś od ślepego losu. Weźmy na przykład Maud, moją córkę, ona postępowała jak chciała przed i po ślubie i...

- To już nie ma nic do rzeczy, mój drogi - przerwał Artur Kent, który zaraz zwrócił się do policjanta. Lepiej niech pan nam powie, co pan, o tym myśli?

- Jeśli mam być szczery, to obie koncepcje są dość ciekawe, aczkolwiek wcale nie nowe. Przy czym, i tu chyba pan Wolsky się ze mną zgodzi, wcale się nie wykluczają. Mało tego, można by nawet rzec, że się uzupeł-

niają czy pokrywają. Zresztą...

W tym momencie policjant ze stolicy nagle urwał w pół zdania, gdyż w drzwiach prowadzących do holu pojawił się Leo Norman. Nie miał okularów i widoczne ślady oparzenia podkreślały jeszcze bardziej bladość jego twarzy. Idąc za wzrokiem Westa, wszyscy odwrócili się w jego stronę. Ktoś z obecnych zaśmiał się cicho, myśląc pewnie, że ich kolega paskudnie sobie dogodził. Faktem było, że chwiejający się na nogach Norman, który jako właściciel zakładu pogrzebowego zawsze występował w nieskazitelnym ubraniu i nosił się z niezwykłą godnością, wydawał się w tej chwili raczej zabawny. Nie patrzył na resztę obecnych, którzy zaczęli go wołać, lecz jedynie na Westa, który szybkim krokiem zbliżył się do niego.

- Poruczniku, ja wszędzie szukałem. Nie mogę jej odnaleźć. Pewien jestem, że zostawiłem ją w altance. Słowo daję, poruczniku. Nie wiem co się stało...

- Co wy tam spiskujecie?! - zawołał z głębi salonu Wolsky. - Może wam przynieść coś do picia? - I nie czekając na odpowiedź, profesor 125

podszedł do Westa i Normana stojących nadal w progu salonu.

- Leo, co się stało? - zapytał raz jeszcze Wolsky.

- Nie mogę znaleźć marynarki - powiedział speszonego głosem Norman.

- Co ty pleciesz, przecież ona musi wisieć na wieszaku tam gdzie ją powiesiłem. Zostawiłem ją w altance i po prostu przyniosłem ją tutaj.

Leo Norman chciał jeszcze coś powiedzieć, ale porucznik West nie dał

mu dojść do słowa: - Zatem już po strachu. Zguba się znalazła. Chętnie bym się napił czegoś -

zimnego i oczywiście bez alkoholu, bo jako przedstawiciel prawa muszę dać przykład. Czy będę mógł pana zabrać do miasteczka?

- zwrócił się jeszcze do Normana dając mu w ten sposób do zrozumienia, że byłoby nierozsądne prowadzić wóz w stanie, w którym znajdował się w tej chwili.

Goście laureata Nagrody posiedzieli jeszcze około godziny, rozmawiając o różnych sprawach, a przede wszystkim o możliwościach nauki. Żegnając się z gospodarzem, Artur Kent raz jeszcze złożył mu gratulacje i podkreślił, że przyszłość ludzkości zależy właśnie od takich ludzi, dzięki któ-

rym postęp przestał być tylko dziennikarską formułą.

Zgodnie z propozycją, Leo Norman wsiadł do samochodu Westa. Policjant uruchomił natychmiast starter i manewrując biegami spytał pasażera czy mógłby dostać obiecane zdjęcia. Milczenie Normana i apatia, która nim zawładnęła były zbyt jednoznaczną odpowiedzią, aby West nalegał.

- Nie wiem jak to się stało. Przecież Ernest nic nie wiedział o zdjęciach - tłumaczył się Norman.

- Mogły wypaść z kieszeni, kiedy niósł marynarkę - zauważył West.

- Może, chociaż nie jest to prawdopodobne, gdyż były one w we-wnętrznej kieszeni, i zapiąłem ją na guzik.

126

- Kiedy pan zauważył brak zdjęć - spytał trochę bez sensu porucznik West.

- No, wtedy kiedy odebrałem marynarkę z szatni w przedpokoju.

Wiem na pewno, że były w kieszeni w chwili, gdy wieszałem ją na krześle w altance. Wyczułem je ręką, gdy o nich mówiłem Murphy'emu...

- Cooo?! - wykrzyknął policjant - przecież prosiłem, żeby pan nikomu o nich nie mówił. - I nie zwalniając szybkości obrócił się w stronę Normana patrząc na niego tak jakby go spostrzegł po raz pierwszy.

- Niech pan tak na mnie nie patrzy. Skąd mogłem wiedzieć, że miał

pan też na myśli Murphy'ego. To przecież nasz burmistrz. A poza tym jego na tych zdjęciach nie było - usprawiedliwił się Norman.

- No dobra, nie ma już o czym mówić. Właściwie to, co się stało dziś wieczorem potwierdza i tak moje przypuszczenia. Swoją drogą pan, panie Norman, mówiąc o tych zdjęciach na prawo i na lewo, zachowywał się jak prawdziwy samobójca - stwierdził policjant.

- Czyli tak jak Paul? - dodał z niepewnym uśmiechem Norman.

- Właśnie - powiedział jeszcze West dodając gazu w chwili, gdy samochód skręcił w szosę biegnącą ku miasteczku.

Zdjęcia

leżały rozrzucone na biurku Murphy'ego.

Była to pierwsza rzecz, jaką porucznik West zauważył, gdy wszedł do gabinetu burmistrza. Sekretarz wpuścił go zaraz po jego przybyciu oznajmiając, że pan Murphy spóźni się kilka minut i bardzo przeprasza za zwłokę. O

tym, że burmistrza nie ma w ratuszu wiedział West jeszcze zanim spotkał

127

sekretarza. Zatrzymał bowiem swój wóz nie opodal samochodu burmistrza: Za kierownicą siedział kierowca, który przy szczelnie zamkniętych oknach i pracującym na pełnych obrotach urządzeniu klimatyzacyjnym, przeglądał z umiarkowanym zainteresowaniem magazyn znany ze swej frywolności.

Podniósł wzrok znad płachty zadrukowanej golizną, gdy zobaczył obok porucznika Westa. Przez chwilę spoglądał na policjanta nie wykazując chęci nawiązania rozmowy. Ruchem ręki porucznik West dał mu do zrozumienia, że chciałby zamienić z nim kilka słów, a w tym celu niezbędne jest otwarcie bocznej szyby. Z wyraźną niechęcią kierowca nacisnął odpowiedni guzik i szyba, uruchomiona silnikiem elektrycznym, zaczęła wolno opadać.

Zatrzymała się w pół drogi i kierowca nadal patrzył na Westa tępym wzrokiem, tak jakby opuścił szybę całkiem przypadkowo.

- Dzień dobry panu. Mam spotkanie z panem Murphym, ale wolałbym zacząć od pana - powiedział urzędowym tonem policjant. Nie zrobiło to żadnego wrażenia na kierowcy, który odłożył magazyn tylko po to, aby zapalić papierosa.

- Czy mógłby pan mi powiedzieć, w których dniach tygodnia ma pan wolne? - ciągnął dalej West.

Kierowca zastanowił się chwilę i doszedł widocznie do wniosku, że mo-

że na to pytanie odpowiedzieć: - To zależy. Najczęściej jestem wolny w niedziele i poniedziałki. Nieraz nie biorę wolnego przez kilka tygodni i wówczas nadrabiam zaległości wyjeżdżając dokąd chcę na jakiś tydzień czy dziesięć dni - wyjaśnił beznamiętnie kierowca.

- Czy wówczas pan Murphy sam prowadzi samochód? - zapytał dalej policjant.

- Nie wiem. Zresztą nie mam prawa panu odpowiadać na pytania dotyczące mojego pracodawcy. Mam to obwarowane w kontrakcie. Jak pan 128

się pytasz o moje sprawy, to mogę odpowiedzieć - jeśli zechcę, oczywiście.

Ale jak o szefa, to milczę jak grób. Za dobrą mam tu pracę, rozumiesz pan?

- A gdzie teraz jest pan Murphy?

- W banku.

- Jednak pan mówi o swoim szefie - stwierdził ubawiony policjant. -

No dobra, jak trzeba będzie, to poprosimy pana na formalne przesłuchanie -

powiedział na pożegnanie porucznik.

- Jak będzie trzeba - potwierdził kierowca podnosząc szybę.

Henry West przyglądał się zdjęciom. Wiedział już teraz dlaczego zginął

album Normana, a następnie nowe odbitki. Jeżeli tydzień temu mógł mieć pewne wątpliwości co do rzeczywistych okoliczności śmierci Paulę Walda, teraz dzięki tym zdjęciom, dzięki rozmowom, których był przypadkowo świadkiem (czy naprawdę przypadkowo? przeszło mu nagle przez myśl) wiedział właściwie już wszystko. Jutro będzie mógł wrócić do stolicy i złożyć ostateczny raport.

Do gabinetu wszedł Peter E. Murphy. Zamienił jeszcze kilka zdań ze swym sekretarzem. Dopiero gdy zamknął drzwi za sobą jego sylwetka uległa nagle zmianie - West miał teraz przed sobą bardzo starego człowieka.

Murphy zbliżył się do niego wolnym krokiem i zachowywał się tak jakby chciał wyciągnąć rękę do swego gościa obawiając się jednocześnie, że za-wisnie ona w powietrzu. Ostatecznie zdecydował się na lekki ukłon i zaraz przeszedł na drugą stronę biurka. Nie proszony, West zajął miejsce w wielkim fotelu, w którym siadali wszyscy proszeni przez pierwszego obywatela miasteczka.

- Rozmawiał pan z moim szoferem - rzekł Murphy.

- Tak, ale nic mi nie powiedział oprócz tego, że był pan teraz w banku.

129

- Raz jeszcze przepraszam za spóźnienie. Ma pan pecha, poruczniku.

Mógłby pan myśleć, że jestem człowiekiem mało punktualnym.

- A tak nie jest? - spytał policjant, aby podtrzymać rozmowę.

- Ci, którzy dobrze mnie znają wiedzą, że na ogół zjawiam się o umówionej porze - wycedził burmistrz.

- To rzeczywiście mam pecha - oznajmił West i zaraz dodał - i o ile mi wiadomo, spóźnił się pan również u Paula Walda.

Burmistrz spojrział na policjanta i po chwili wahania powiedział: - Nie spóźniłem się. Ja tam w ogóle nie byłem. I nie zgadnie pan dlaczego - po prostu obawiałem się, że ja, Peter Edward Murphy, złamię się. Że zachowam się tak, iż moja Maud nigdy mi tego nie wybaczy. Miałem dosyć tej nienawiści do człowieka, który nie był godny drobnego ułamka moich my-

śli. Byłem chyba wtedy pod wrażeniem niedzielного kazania. Mowa była jak zwykle o miłości bliźniego, o przebaczeniu. Jak pan widzi, poruczniku, nic w tym nowego. Jednak tym razem słowa kaznodziei zrobiły na mnie dziwne wrażenie. I gdy dowiedziałem się, że Paul zamierza nas opuścić i prosić o wybaczenie za wszystko, byłem chyba gotów mu przebaczyć. W

ostatniej chwili rozmyśliłem się. To wszystko - urwał Murphy.

- A jednak pana widziano w pobliżu domu Walda - powiedział West spokojnie. Choć słowa te nie brzmiały jak oskarżenie, burmistrz nagle się ożywił:

- Oczywiście, że tam byłem. Mówiłem już, że zamierzałem pójść do niego. Bardzo nalegali i Wolsky i Kent. Ale w ostatniej chwili rozmyśliłem się. Czy pan to rozumie?! - niemal wykrzyknął Murphy.

- I to tylko dlatego, że nie chciał pan udzielić Waldowi rozgrzeszenia?

A może dlatego, że wiedział pan, że oskarżenia, którymi pan rzucał przez całe lata były li tylko wytworami pana chorej wyobraźni. Okazałoby się 130

wówczas, że to pan musi prosić Walda o przebaczenie - powiedział głucho policjant.

- I co jeszcze?! - zaczepnie odpowiedział mu Murphy.

- Tak jak ja, pan dobrze wie, że Wald nie popełnił samobójstwa. Być może wie pan również, kto go zabił - ruchem ręki West powstrzymał Murphy'ego, który chciał mu przerwać. - Ja natomiast wiem, że swoim postę-

powaniem zaliczył się pan sam do grona podejrzanych. Można by na przykład dojść do wniosku, że widząc, iż Wald panu umyka, postanowił pan wymierzyć sprawiedliwość. Własną sprawiedliwość. Niech pan pozwoli mi dalej mówić. Osobiście jestem przeświadczony, że pan tego nie zrobił. Nie wiem dlaczego - może z tchórzostwa, a może dlatego, że w pańskiej pod-

świadomości człowieka, który zawsze miał rację, tkwiło ziarno wątpliwo-

ści, czy rzeczywiście Wald zasługuje na karę, czy rzeczywiście to on spowodował śmierć pańskiej córki. Tego się nikt nigdy nie dowie, gdyż na ile pana poznałem jestem przekonany, że z chwilą gdy opuścę miasteczko, wróci pan do swoich głęboko zakorzenionych nawyków twardego człowieka. Niech pan mi tylko powie czy rzeczywiście siedział pan w swoim samochodzie cały czas? - zakończył West.

- Nie. W pewnej chwili poszedłem zobaczyć jak pracują ekipy naprawiające kanalizację. Wróciłem do wozu mniej więcej w chwili, gdy szef ekipy, którego poprosiłem, aby narzucił większe tempo, zarządził kilkugodzinną przerwę w dostawach wszelkiej energii i wody. W ten sposób roboty zakończono nad ranem - odpowiedział rzeczowo burmistrz.

- Czy gdy siedział pan w samochodzie tuż zanim pan wrócił do domu, zauważył pan kogoś w pobliżu domu Walda? - zapytał jeszcze policjant.

- Nie, zresztą zrobiło się ciemno, bo wyłączono światła w całym 131 miasteczku. A dlaczego pan pyta?

- Dlatego, że gdyby pan kogoś rozpoznał, to wiedziałby pan kto zabił

Walda - odpowiedział krótko policjant.

Obaj mężczyźni siedzieli teraz w milczeniu. Murphy myślał nad tym, że gdy odjeżdżał, światła samochodu wyłoniły z mroku sylwetkę, która wydawała mu się znajoma. Nie, to było niemożliwe. Ten policjant musi się mylić. Ciszę przerwał pierwszy porucznik West:

- Co do zdjęć, lepiej będzie, jeśli pan je zniszczy. One teraz nie mają większego znaczenia. Widzę zresztą, że sam pan doszedł do tego wniosku, skoro zamierzał pan mi je oddać. Wiem, co pan odczuł, gdy mówił panu o nich Norman. Te zdjęcia zostały wykonane, gdy pana córka była już zamężna. Można to zauważyć, po obrączce. Ale i po ślubie pan jako ojciec dokładnie pamięta, kiedy te sceny zostały utrwalone. Mogę panu powiedzieć, że nie ma powodów do niepokoju o pamięć córki. Wald był naprawdę ojcem tego dziecka, które miało przyjść na świat. I wie pan tak samo dobrze jak ja, że ten o którego pan się tak obawiał nie mógł zabić Walda.

Choć bardzo chciał. Bardziej niż pan.

Burmistrz cicho westchnął i przesunął zdjęcia w stronę policjanta, który powoli podniósł się z głębokiego fotela.

- Panie Murphy, mam do pana ostatnią prośbę. Niech pan jutro zorganizuje spotkanie wszystkich przyjaciół Maud. Niech pan zaprosi sierżanta Kennana, i mnie, rzecz jasna. Wymyśli pan z całą pewnością jakiś znakomity pretekst. I jeszcze jedno - obiecuję panu, że wszyscy wyjdą od pana tak jak przyszli, bez przykrej asysty.

- Dziękuję panu, panie poruczniku.

132

Sierżant Kennan

wszedł do rezydencji burmistrza nie spo-

tkawszy nikogo. Chodził tak cicho, że wyglądało na to, że się skrada. Przystanął w holu i rozglądał

się za właściwymi drzwiami, które powinny prowadzić do salonu. Nie wiadomo dlaczego, sierżant Kennan wstrzymywał

oddech jakby był na jakimś tropie. W rzeczywistości był po prostu wściekły. Na siebie i na tych mieszkańców miasteczka, którzy do ostatniej chwili zawracali mu głowę błahostkami wówczas, gdy minuty leciały, a on miał

zaproszenie do samego burmistrza. Było to pierwsze zaproszenie, do prywatnej rezydencji pana Murphy'ego, jakie sierżant Kennan otrzymał od czasów gdy został szefem miejscowego posterunku policji. A on się spóź-

nił! To było fatalne. Zdążył tylko założyć świeżą koszulę i kupić nowy krawat w dziale odzieżowym „Bazaru” - zawsze trzymał czystą koszulę w szafie pancерnej posterunku - i ruszył w drogę.

Kennan był zły na porucznika Westa, ponieważ myślał, że policjant ze stolicy będzie na niego czekał. Ciemnym korytarzem pachnącym dobrze utrzymanym parkietem doszedł do drzwi lekko uchylonych. Słyszał głosy. Sierżant nabrał powietrza przez szeroko otwarte usta - ktoś mu kiedyś powiedział, że właśnie w ten sposób oddychają spikerzy radiowi, aby nie było słychać, że biegli, aby wejść w ostatniej chwili do studia - i pchnął

lekko skrzydło wysokich drzwi. Wszyscy siedzieli w fotelach plecami do drzwi. Jedyne porucznik West stał oparty o gzyms kominka, trzymając w ręku jakąś szklankę. Mówił coś do zebranych, ale tak cichym głosem, przynajmniej tak się Kennanowi zdawało, że tam gdzie się znajdował nic nie było słychać. Phil Larose, który siedział bokiem i rozglądał się za czymś, zauważył Kennana i przywitał go skinieniem głowy. Wówczas to West -

133

jak mu sierżant zazdrościł tej swobody bycia! - zwrócił na niego uwagę i nie przerywając monologu zaprosił go gestem, aby się przysiadł bliżej, co też sierżant uczynił kłaniając się innym obecnym, którzy teraz dopiero go dostrzegli.

Peter E. Murphy podniósł się z głębokiego fotela i podszedł do Kennana, aby zapytać go na co ma ochotę. Po chwili burmistrz sam przyrządził

mieszankę whisky, coca-coli i drobno kruszonego lodu. Sierżant Kennan podziękował gospodarzowi i zajął miejsce bliżej kominka. W tym momencie porucznik West, rozglądając się po salonie, zwrócił się do Murphy'ego:

- Myślę, że już nikt więcej nie przyjdzie. Jeżeli pan pozwoli wyjaśnię obecnym, jaki jest cel tego spotkania.

- A Ernesta nie będzie? - przerwał mu Phil Larose, który dodał, zwracając się do sąsiadów, że przecież Wolsky również był zaproszony.

- Nie, Wolsky'ego nie będzie. Musiał nagle wyjechać. Zadzwoił do mnie z samego rana i prosił, abym wytłumaczył jego nieobecność - wyjaśnił

burmistrz, który przy ostatnich słowach spojrział na Westa.

- Myślę, że nieobecność pana Wolsky'ego nie ma w tej chwili większego znaczenia - potwierdził policjant - chociaż nie ukrywam, że z różnych względów wolałbym, aby właśnie teraz znalazł się wśród nas. Można być-

dzie jednak lepiej zacząć od początku, ponieważ widzę, że moje słowa nie są dla wszystkich całkiem jasne.

Na zapraszający gest Murphy'ego, aby zajął miejsce w wolnym fotelu obok niego, porucznik West dodał, że woli mówić na stojąco.

- To co mam do powiedzenia ma po trosze charakter wykładu, dlatego też lepiej mi będzie mówić stojąc. Nie mówiąc już o tym, że wobec niektó-

rych z was czuję się poniekąd winny. Ale taka jest reguła gry. Zanim bowiem policja dojdzie do sedna sprawy, którą się zajmuje, ma ona przykry 134

zwyczaj wtrącania się do prywatnego życia ludzi Bogu ducha winnych. I tym ludziom należą się przeprosiny, ich proszę o przebaczenie. A co do innych... Ale wróćmy do przyczyn, dla których ja, porucznik policji kryminalnej mieszkający w stolicy, znalazłem się w waszym miasteczku.

Wszystko zaczęło się od dwóch listów anonimowych, które trafiły do rąk prokuratora, a właściwie, gdy niejaki Paul Wald, człowiek dotąd zupełnie mi obcy, a panom dobrze znany, popełnił samobójstwo. Zdaniem obecnego tu sierżanta Kennana i większości miejscowej opinii, nie ulegało wątpliwo-

ści, że za śmiercią Walda nie kryła się żadna tajemnica. Mając dość życia Paul Wald postanowił skończyć ze sobą. Wszyscy w to uwierzyli, wszyscy z wyjątkiem autorów anonimów. Porucznik West sięgnął po szklanę, którą postawił na gzymsie kominka, napił się, następnie wytarł usta papierową chusteczką, którą wyrzucił do paleniska.

- W pewnym sensie jestem skłonny uważać, że tak jak to często bywa, i tym razem opinia publiczna miała rację.

Nie mam bowiem dziś wątpliwości, że Paul Wald był samobójcą.

Ostatnie słowa Westa zostały wypowiedziane tak cicho, że sierżant Kennan nie był pewien czy właściwie je zrozumiał. Dopiero zachowanie się sąsiadów przekonało go o tym, że Henry rzeczywiście powiedział, iż Wald popełnił samobójstwo. A zatem zaprosił on go tutaj, żeby mu publicznie przyznać rację...

- Widzę - kontynuował West - że zachodzi pewne nieporozumienie.

Aby je usunąć, muszę pokrótce wyjaśnić, że dla mnie, i chyba nie tylko dla mnie, samobójcą jest nie tylko osoba, która rzuca się w przepaść lub strzela sobie w łeb. Samobójca, to również ktoś, kto dla

uratowania kapelusza porwanego przez wiatr przebiega autostradę w godzinach szczytu, lub ktoś, kto zapala papierosa przy działającej pompie benzynowej lub chodzi po 135

lodzie przy pierwszych mrozach. Takich samobójców znamy sporo i o nich pełno w gazetach, tyle tylko, że z reguły pisze się o takich ludziach jak o niespełna rozumu. Ale jest jeszcze i inny typ samobójcy. Mam tu na myśli ludzi, którzy, choć świadomi niebezpieczeństwa postępują wbrew logice i ogólnie przyjętym zasadom. Co na przykład myśleć o człowieku, który gromadzi w swoim mieszkaniu różne rodzaje trucizny, umieszcza je wszę-

dzie - w piwnicy, na strychu, w kredensie, w szufladach mebli? W dniu, w którym zamiast cukru czy soli wsypie do potrawy arsenik trudno będzie mówić o nieostrożności czy nieszczęśliwej pomyłce... Otóż takim właśnie samobójcą był Paul Wald. Przez całe życie nagromadził wokół siebie tyle materiału wybuchowego w postaci niechęci, a następnie nienawiści, że nic dziwnego, iż któregoś dnia doszło do wybuchu. Z tego, co wywęszyłem, tak, wywęszyłem - nie wstydzę się tego określenia, choćby dlatego, że policjant powinien mieć dobrego nosa - otóż z tego wszystkiego, co zdołałem wywiedzieć się w miasteczku, nabrałem przekonania, że Paul Wald był

postacią dla ogółu mieszkańców mało sympatyczną, Niektórzy z was wprost go nie znosili, ponieważ waszym zdaniem to co udało mu się osią-

gnąć w życiu - choćby ożenek z córką pana Murphy'ego - obrażało wasze poczucie sprawiedliwości. Waszym zdaniem Wald nie miał prawa do jakichkolwiek prawdziwych czy pozornych sukcesów, gdyż od najmłodszych lat stanowił on źródło nieodwracalnych nieszczęść. A on jak gdyby się pysznił swoją bezkarnością. To musiało doprowadzić do tragedii.

Głośno pracująca rosiarka w ogrodzie wyraźnie przeszkadzała policjantowi, który podszedł do okna i nie pytawszy nikogo zamknął je. Wrócił na swoje miejsce przy pełnej ciszy.

- Mors ultima ratio, jak powiadali starożytni oraz sierżant Kennan 136

(ale nikt się nie uśmiechnął). Śmierć bywa rzeczywiście ostatecznym rozwiązaniem. Tyle tylko, że Rzymianie mieli tu na myśli, iż po śmierci koń-

czy się nienawiść czy zawiść. Natomiast w naszym przypadku śmierć stawała się jak gdyby apogeum nagromadzonej nienawiści. Paul Wald był

dlatego samobójcą, że uczynił wszystko, aby ktoś w końcu zdecydował się na zabicie go. Potencjalnych zabójców było w miasteczku wielu. Niektórzy mieli chęć porachowania się z Waldem natychmiast po tym, gdy spotkał ich niecny cios z jego strony. Ale rozsądek wziął górę i po latach nienawiść przerodziła się w niechęć czy antypatię. Był jednak ktoś, kto mimo upływu lat nie chciał zapomnieć, kto postanowił, iż usunie Walda spośród żywych.

- Res, non verba! - wyrwało się Kennanowi.

- Masz rację, Ted. Zaraz skończę z wywodami i przystąpię do faktów.

Na razie pragnę tylko jeszcze wyjaśnić, że jeśli człowiek, który postanowił

ostatecznie zniszczyć Walda, tak długo zwlekał, to jedynie dlatego, że obawiał się, iż usunięcie owej „kreatury” mogłoby zbyt drogo kosztować. Nie w sensie materialnym, rzecz jasna, lecz w jego odczuciu hierarchii potrzeb społecznych. Dlatego też opracował misterny plan, który miał pozwolić mu dalej istnieć w nieskazitelnej postaci po śmierci Walda. Uważał on bowiem, że gdyby musiał zapłacić za swój czyn, straty poniesione przez ogół byłyby większe niż warta była sama ofiara. Pod tym względem był on, jak widać, tak samo zadufany jak Wald. Tyle tylko, że na większą skalę.

Zapanowała nagle nieznośna cisza. Larose siedział ze spuszczoną głową, Leo Norman natomiast przyglądał się oczami pełnymi przerażenia burmistrzowi. Murphy wyraźnie zbladł - nie ulegało wątpliwości, że słowa porucznika zrobiły na nim wrażenie. Jedynie Artur Kent siedział nieporuszony i od czasu do czasu popijał jakiś likier z wąskiego kieliszka.

137

- W końcu postanowił uderzyć - podjął przerwany wątek policjant ze stolicy - ale nie własnymi rękami. Uważam, że on właśnie jest zabójcą.

Prawo w tej kwestii inaczej uważa i dlatego nie grozi mu żadna kara.

- O kim pan mówi! - bardziej wykrzyknął niż zapytał Larose.

- Rozumiem pana, Larose, rozumiem pańską niecierpliwość, ale chciałbym prosić pana i was wszystkich o jeszcze chwilę skupienia. To co zamierzam teraz powiedzieć ma istotne znaczenie dla całej sprawy. Zrozumiecie wówczas dlaczego morderca nie zabił, a zabójcą został zupełnie kto inny. Czy panowie pozwolą mi iść własną drogą? Obiecuję, że prowadzi ona do celu.

Cisza, która zapadła po tej prośbie została przyjęta przez Westa jako przyzwolenie.

- Może to co teraz powiem będzie brzmiało paradoksalnie w ustach policjanta, ale mam absolutną pewność, że odtworzony przeze mnie przebieg wydarzeń był właśnie taki. Stwierdzam zatem, że o ile potencjalny zabójca bezpośrednio nie zabił, to prawdziwy morderca jest człowiekiem, który działał z wyższych pobudek, z miłości do człowieka, do ludzi...

- Nic nie rozumiem - wyszeptał Leo Norman do sąsiada na tyle gło-

śno, że porucznik West urwał w pół zdania.

- Wszystko się za chwilę wyjaśni, panie Norman - powiedział West -

wszystko, pod warunkiem, że panowie będą śledzić całą sprawę od samego początku, czyli od chwili, gdy znaleziono Walda nieżywego na skutek za-trucia gazem. Mimo policyjnego raportu sporządzonego na miejscu, a zwłaszcza na skutek rozmów przeprowadzonych po otrzymaniu anonimów, doszedłem do wniosku, że orzeczenie o samobójstwie jest mocno wątpliwe.

Czy wiesz dlaczego, Ted? - West zwrócił się do sierżanta, a następnie nie czekając na odpowiedź podjął dalej: - Otóż dlatego, że Paul Wald zostawił

na widocznym miejscu list pożegnalny, który miał charakter testamentu.

Pomyślałem sobie, co by było, gdyby takiego listu nie było. Odpowiedź

nasuwała się sama: wówczas policja musiałaby prowadzić dokładniejsze śledztwo, aby dojść do niezbitego wniosku, że owa śmierć jest wynikiem bądź nieszczęśliwego wypadku, bądź działania z premedytacją, czyli mor-derstwa. Zabójca doszedł do tego samego wniosku, dlatego też wyciągnął

ten list na światło dzienne. Liczył na to, że miejscowa policja zadowolony się nim i zamknie szybko sprawę orzekając, że Wald popełnił samobójstwo w chwili ciężkiej depresji.

- A skąd wziął ten list? Przecież był napisany przez Walda. Co do tego nie ma chyba żadnych wątpliwości? - zapytał Phil Larose.

- Oczywiście, autorem słów znalezionych na stole w salonie był z całą pewnością Wald. Tyle tylko, że to nie był ani list pożegnalny, ani tym bardziej testament. Było to coś w rodzaju roli do nauczenia na pamięć, która miała zostać odczytana, a raczej wygłoszona pamiętnego wieczoru. Badania laboratoryjne wykazały niezbitcie, że tekst ten został napisany co najmniej na dwa tygodnie przed jego znalezieniem. O istnieniu tego tekstu mógł

wiedzieć zabójca, wiedział także mistrz ceremonii, czyli człowiek, który wszystko zaaranżował. Proszę zwrócić uwagę, że w tym liście czy tekście, Wald zwraca się do wszystkich z wyjątkiem jednej osoby. Dlaczego? Na to pytanie, które również sobie zadałem, znalazłem tylko jedną logiczną odpowiedź - mianowicie Wald nie mógł się żegnać z kimś, z kim w najbliż-

szym czasie miał ściśle współpracować. Przynajmniej tak sądził nie podej-rzewając, że propozycja profesora Wolsky'ego była tylko fortelem, a raczej prowokacją wobec was wszystkich.

Ostatnie słowa porucznika Westa nie wywołały żadnej reakcji. Widać było, że goście Murphy'ego odgadli sami kogo miał na myśli policjant 139

ze stolicy mówiąc wcześniej o autorze prowokacji. Zapanowała tylko głucha, nieprzyjemna cisza, którą przerwał znów głos Westa.

- Jak wykazało śledztwo i jak sami zapewne pamiętacie, każdy z was został zaproszony o określonej godzinie. Gdy z wami rozmawiano o tej uroczystości, dano wam do zrozumienia, że Wald zamierza wykorzystać to spotkanie, aby przeprosić niektórych, aby wyrazić skruchę przed zniknię-

ciem z miasteczka. W rzeczywistości przebieg zdarzeń miał być inny, o czym doskonale wiedział profesor Wolsky. Wiedział on, że Wald oznajmi wam, iż opuszcza miasteczko, gdyż czeka go błyskotliwa kariera, co do której nie miał cienia wątpliwości. Utwierdził go w tym przeświadczeniu Wolsky. Profesor liczył, że któryś z was nie przejdzie nad tym do porządku, że któregoś z dawnych kolegów Walda ogarnie wściekłość. A znając nastroje w miasteczku w kręgu dawnych znajomych Walda, może dojść do zabójstwa dokonanego w ataku furii. Ale profesor się przeliczył. Pomylił się zakładając, że nienawiść Larose'a, Normana czy Murphy'ego jest tak samo trwała i silna jak jego.

- A jednak ktoś zabił Walda - stwierdził spokojnie Leo Norman.

- Tak. Co do tego nie mam cienia wątpliwości. Ale zabójca nie był

tym, na którego liczył Wolsky... ..Niezależnie od tego, kto był bezpośrednim autorem śmierci Walda, dla mnie jej rzeczywistym sprawcą pozostanie wielki i sławny profesor Wolsky.

Tym razem słowa Westa wywołały reakcję. Norman nachylił się do Murphy'ego i zaczął coś gorączkowo mówić. Larose wstał nalał sobie whisky do szklanki i z butelką podszedł do starego Kenta, który wyraźnie się za czymś rozglądał. Porucznik West, po złamaniu kilku zapalek podjął przerwany wątek.

- Dodam, że postępowanie Wolsky'ego było logicznie przemyślane.

140

I na jego usprawiedliwienie, muszę powiedzieć, że profesor wiedział, iż ktokolwiek z możliwych zabójców przez siebie zaprogramowanych został-

by zdemaskowany przez policję, to kara, która spotkałaby go byłaby raczej niska. Zakładał nawet bez większego ryzyka omyłki, że orzeczenie sądu mogło uwzględnić zawieszenie, gdyż przy dobrym adwokacie przysięgli mogliby dojść do przekonania, że zabójca działał poniekąd w afekcie, gdyż został sprowokowany postawą Walda. Wolsky zakładał również, że gdyby on został zabójcą, spotkałaby go kara o wiele wyższa, bowiem jego motywby były mniej oczywiste i niższe w hierarchii odczuć społecznych reprezentowanych przez przysięgłych. A na to nie mógł sobie pozwolić, gdyż zawsze był zdania, i nie tylko on zresztą, że wyłączenie go z działalności naukowej w najpłodniejszym okresie jego życia byłoby niepowetowaną stratą dla nauki i ludzkiej społeczności.

- Ale po co mu śmierć Paula? - zapytał z niedowierzaniem burmistrz.

- W pana ustach, panie Murphy, pytanie to brzmi co najmniej dziwnie.

Przecież pan wie najlepiej, że Ernest Wolsky całe życie kochał pana córkę.

- Tak, ale...

- ... ale wybrała Walda? Otóż to. Wybrała Walda i Wolsky, tak jak pan uważał, że jest nieszczęśliwa. I tak jak pan wmówił sobie, że jej śmierć była jak gdyby skutkiem tego wyboru. Widział pan zdjęcia, które jeśli się nie mylę wypadły z kieszeni marynarki pana Normana. Mówią więcej o tym co łączyło Wolsky'ego z Maud niż niejedne plotki, które nigdy nie nabrały większego rozpędu, bo w miasteczku pana się obawiano. Po powrocie Maud i Walda do miasteczka, Wolsky stawał się ich częstym gościem. Ze zdjęć wiemy, że dążył do rozbicia tego małżeństwa. Jestem przekonany, że uważa on po dziś dzień, że z biegiem czasu udałoby mu się doprowadzić

do rozwodu. Ale śmierć zabrała Maud... Wtedy postanowił ukarać Walda. I zaczął szukać sojuszników. I wreszcie znalazł.

West zawiesił głos czekając jak gdyby na pytanie, które wyrwałoby się komuś z obecnych. Ale nikt się nie odezwał.

- Zabójca rozumował podobnie jak Wolsky. Znał go tak dobrze, iż wiedział, że jeśli Wald przeżyje swoje czterdzieste urodziny, to Wolsky wcześniej czy później, sam stanie się mordercą. I wtedy musiałby zapłacić.

Być może srożej niż kto inny choćby dlatego, że przysięgli mogliby stawiać wyższe wymagania moralne laureatowi Nagrody. Morderca nie mógł zatem dopuścić do tego, aby po swoim powrocie, Wolsky spotkał Walda żywego.

Nie sądzę, by zabójca działał z premedytacją. Po prostu wykorzystał pewne zdarzenie pozornie marginesowe. Gdy przyszedł po raz drugi do Walda już po północy - być może w celu sprawdzenia czy stało się tak, jak przypuszczał jego sławny pupil - stwierdził, że Wald jest już tak pod wpływem wypitego alkoholu, iż nie ma pojęcia o niczym. Na kuchni gazowej gotowała się woda na kawę, czy herbatę. Zamierzał wyłączyć dopływ gazu, ale w tym momencie zauważył, że płomień sam wygasa. Przypomniawszy sobie, że wła-

śnie o tej porze w miasteczku miał zostać wyłączony cały dopływ energii.

Nie zakręcił gazu! Zanim wyszedł, odkręcił korki, zamknął drzwi od kuchni. Przypomniawszy sobie wówczas o „liście” pożegnalnym. Wyciągnął go z kieszeni Walda i położył na widocznym miejscu. Nie sądzę, żeby się bał o własną skórę. Zrozumiał znaczenie tego listu dla przyszłego śledztwa. My-

śla, że raczej był to naturalny odruch samozachowawczy. Przecież on jeden znał niemal na pamięć treść tekstu, który Wald chciał wygłosić tego wieczoru, bo jego były uczeń prawdopodobnie zwrócił się do niego z zapytaniem czy napisane słowa pozornej skruchy trafią do byłych kolegów. Czy 142

tak rzeczywiście było? - zapytał cicho policjant zwracając się do nieruchomo siedzącego Artura Kenta.

Emerytowany nauczyciel skinął głową bez słowa. Sierżant Kennan podniósł się ze swego miejsca, ale porucznik West zatrzymał go w miejscu ruchem ręki. Peter E. Murphy chciał coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnował. Odezwał się wreszcie Artur Kent:

- Tak, panie poruczniku, tak było. Musiało to się tak skończyć. I mogę teraz powiedzieć, że w miarę upływu czasu dążyłem do tego, aby prawda wyszła na jaw. Jeśli się nie przyznawałem, to ze strachu. O, nie o siebie, tylko obawiałem się, iż będą mnie się pytać o motyw... Dlatego wysłałem ten drugi anonim. Głupstwo popełniłem z albumem zdjęć, bo ta kradzież, która miała osłonić Ernesta naprowadziła pana na właściwy trop, prawda?

- Niezupełnie. Potwierdziła tylko mój pogląd, że zabójca działał w czyimś imieniu. Nie wiedziałem tylko czy zabił zamiast Wolsky'ego czy zamiast pana Murphy'ego. Mam nadzieję, że pan burmistrz wybaczy mi tę szczerość.

W miasteczku

panował nadal taki żar jak przed dwoma ty-

godniami, gdy zjawił się tu policjant ze stolicy. Henry West pożegnał się już z sierżantem Kennanem, który teraz siedział w biurze czekając na tele-graficzne potwierdzenie nakazu. Nie miał wielkich nadziei, bo wiedział, że w piątek po południu nikt w stolicy nie kwapi się do załatwiania spraw urzędowych. Nakaz otrzyma najprędzej w poniedziałek rano. Przez dwa dni w miasteczku będzie przebywał zabójca! Tego nigdy nie było. Samochód Westa opuścił parking sprzed motelu i zraz nabrał prędkości. Ale policjant 143

zahamował za ostatnim domem. Na poboczu stał stary Kent. Gdy wsiadł do wozu i zajął miejsce obok kierowcy daleka błyskawica przecięła nagle pa-noramę na dwie niemal równe części. Obaj mężczyźni jechali w milczeniu aż do autostrady prowadzącej do stolicy. Patrząc w lewo na nadjeżdżające samochody, West zapytał:

- Kiedy się pan dowiedział od doktora Belhomme'a, że jest pan skaza-ny?

- I o tym pan wie? To było akurat wtedy, gdy Wolsky wspomniał mi o tym, że trzeba pomóc Waldowi w zorganizowaniu urodzin.

- Rozumiem. I nie ma rzeczywiście żadnych szans? - spytał jeszcze West.

- Nie, żadnych. W moim wieku białaczka nie daruje, a lekarze nie są skorzy do transfuzji, gdy są przeświadczeni, że to niewiele pomoże. I po chwili Kent dodał: - Może mają rację..

West nic nie odpowiedział. Myślał tylko o tym, że wiezie człowieka po-dwójnie skazanego. Przez ludzi i przez przyrodę. Przez przyrodę, która najwyżej za trzy, cztery miesiące spowoduje, iż zabójca Paula Walda nie stanie przed sądem. Tak, mors ultima ratio...